WŁ. L. ANCZYC

PRZYGODY PRAWDZIWE ŻEGLARZY I PODRÓŻNIKÓW

PRZYGODY PRAWDZIWE
ŻEGLARZY I PODRÓŻNIKÓW

Śledził ostrożnie, do jakiego narodu statki należały.

PRZYGODY

PRAWDZIWE

ŻEGLARZY I PODRÓŻNIKÓW

POŚRÓD DZIKICH LUDÓW KULI ZIEMSKIEJ

ZEBRAŁ

WŁ. L. ANCZYC

WYDANIE ÓSME
Z OŚMIU RYSUNKAMI W. GERSONA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1928

ALEKSANDER SELKIRK

na wyspie Juan Ferdinandez (1705—1709).

Spojrzyjcie na kartę Ameryki południowej. Na Oceanie Spokojnym, oblewającym zachodnie brzegi tego ogromnego lądu, o sto kilkadziesiąt mil od ziemi, leżą dwie małe wysepki, rzucone w przepaść ogromnych przestworów wody. Wysepki te nazywają się Juan Ferdinandez.

Jedna z nich, bliżej brzegów leżąca, zowie się z tej przyczyny Mas a Tierra (bliżej ziemi), druga dalej, nazwana Mas Fuero (bliżej oddalenia). Pierwsza na cztery mile długa i przeszło milę szeroka, jest górzysta i gęstemi lasami pokryta; druga stromo wybiega z bezdennych toni i jest znacznie mniejsza od swej towarzyszki.

Obydwie powstały skutkiem działania ogni podziemnych, które do dziś dnia jeszcze nie uspokoiły się, i dlatego częste trzęsienia ziemi je nawiedzają.

Wysepki te wsławiły się czteroletnim pobytem na nich majtka szkockiego, Aleksandra Selkirka, którego przygody nastręczyły Danielowi Foe, pisarzowi

angielskiemu, myśl napisania przypadków Robinsona Kruzoe.

Juan Ferdinandez, żeglarz hiszpański, odkrył je w roku 1563, i od niego otrzymały nazwę. Marynarz ten odbył mnóstwo podróży morskich i prawie całe życie przepędził na pokładzie okrętu. Widok też tych pięknych wysp, bujną roślinnością okrytych, obudził w nim tęsknotę do spokojnego życia i skłonił do osiedlenia się tutaj. Zabrawszy żonę i dzieci, zaopatrzywszy się w potrzebne narzędzia i zwierzęta, a głównie kozy, przeniósł się na wyspę Mas a Tierra i wybudował sobie tutaj osadę.

Przez kilka lat Juan Ferdinandez zażywał w swej rozkosznej siedzibie błogiego pokoju, ale nakoniec jednego lata flotylla hiszpańska zarzuciła kotwicę przy brzegach wyspy. Admirał zajął ją na własność korony hiszpańskiej, a widząc nadzwyczajną żyzność ziemi, postanowił założyć tutaj osadę. Jakoż wkrótce ponad zatoką wzniosła się mała forteczka i kilkanaście chat. Rozgniewany Ferdinandez, że mu zakłócono spokojność, zabrał rodzinę i na ląd stały powrócił.

Hiszpanie, nie znalazłszy na wyspie złota ani drogich kamieni, znudzeni samotnem życiem i ciężką pracą, porzucili nowo założoną osadę, która też wkrótce do szczętu zniszczała. Odtąd przeszło lat sto dwadzieścia nie słyszano prawie w Europie o wyspach Jana Ferdinandeza. Okręty płynęły zwykle inną drogą ku wyspom rozrzuconym po Oceanie Spokojnym, i czasem tylko, kiedy burza porwała statek na swe barki i popędziła ku północy, wystraszeni majtkowie, spostrzegł-

szy sterczące z łona wód czarne opoki wysp obu, drżeli od trwogi, ażeby wściekły huragan nie rozkruszył ich wątłego statku o skały nadbrzeżne.

W roku 1681 toczyła się zawzięta wojna między Anglją a Hiszpanją. Kapitan Watlin, dowodzący małym okrętem wojennym angielskim, ścigany przez przeważne siły hiszpańskie, dla omylenia pogoni skierował statek ku wyspom Juana Ferdinandeza i u brzegów bliższej zarzucił kotwicę. Ponieważ brakowało mu już żywności, a wyspa obfitowała w zwierzynę, Waltin wysłał kilku majtków na polowanie, a między tymi Indjanina z wybrzeży Moskito, bardzo zręcznego strzelca. W kilka godzin później wystrzały działowe wezwały myśliwych do powrotu na pokład, wrócili oni z upolowaną zwierzyną, tylko Indjanina niedostawało.

Kapitan chciał czekać na strzelca, lecz majtek, utrzymujący straż na szczycie masztu, dał znać, że w odległości ukazują się trzy statki nieprzyjacielskie; niepodobna było narażać się na walkę nierówną, a zatem rozpięto żagle.

Tymczasem Indjanin, zapędziwszy się za dzikim kozłem, ubił go nareszcie i obciążony zdobyczą wracał nad morze, lecz z największem zadziwieniem ujrzał znikający okręt. Pozostał więc mimowolnie na wyspie.

Dziki posiadał strzelbę, nieco prochu i kul, oraz wielki nóż myśliwski. Wkrótce wystrzelał całą amunicję, fuzja więc stała mu się całkiem niepotrzebną. Rozebrał ją na części, zapomocą skałki i dekla skrzesał ognia, rozpalił lufę do czerwoności i na twardej skale kuł głazem; nóż posłużył mu do nacinania

żelaza, a ponieważ był obeznany z kowalstwem, wykuwał z niego różne przedmioty, mianowicie też groty do strzał i haczyki do wędek.

Odtąd, mając łuk i strzały, mógł polować na kozy, które, przywiezione przez Ferdinandeza, zdziczały i rozmnożyły się w ogromne stada. Oprócz kóz zbierał na pokarm muszle, raki morskie i łowił ryby. Materjału na sznurki do wędek dostarczały mu jelita psów morskich, znajdujące się tu w obfitości. Po zazaspokojeniu tych najpierwszych potrzeb, pomyślał o zbudowaniu chatki.

Naścinawszy nożem cienkich pni drzewnych, zbudował sobie maleńką chatkę, pokrytą liśćmi palmowemi. Posłania dostarczył mu mech, a przykrycia kozie skóry, wygarbowane solą morską i wysuszone na słońcu; służyły mu one także za odzież, a że dziki od młodości przyzwyczajony był do życia bardzo skromnego, żył więc bardzo wygodnie.

W ciągu trzech lat, które Moskitańczyk przebył na wyspie, częstokroć zawijali do niej Hiszpanie, a dowiedziawszy się o pobycie na niej dzikiego, pragnęli go pochwycić kilkakrotnie; lecz Indjanin, znając doskonale wyspę, umiał w najniedostępniejszych kryjówkach szukać schronienia przed swoimi prześladowcami.

Nakoniec w roku 1684 okręt francuski zawinął do brzegów wyspy, a majtkowie, wylądowawszy na nią, znaleźli Indjanina. Dziki, doznawszy najprzyjaźniejszego obejścia, uraczył swoich wybawców ucztą z ryb

i koziego mięsa, a potem wraz z nimi opuścił miejsce wygnania.

Przez następne lat dwadzieścia obie wyspy stały pustkami, nareszcie zawitał tutaj Aleksander Selkirk, o którego pobycie podajemy krótką wiadomość.

Było to na początku ośmnastego wieku: Anglicy i Hiszpanie znowu staczali zawzięte boje na wszystkich wodach kuli ziemskiej. Hiszpanie z największem wysileniem bronili swego panowania na morzu, a Anglja, rosnąca coraz bardziej w potęgę, zadawała spróchniałej monarchji cios po ciosie i wkrótce miała ją przywieść do nicości. Nietylko floty wojenne obu państw walczyły z sobą, lecz mnóstwo korsarzy obu narodów, mianowicie też angielskich, polowało na statki kupieckie, albo też niszczyło miasta portowe w osadach.

Hiszpanie, władający Meksykiem i, oprócz Brazylji, całą południową Ameryką, posiadali tu bogate kopalnie srebra. Państwo to, pozostające pod władzą niedołężnych monarchów, uległych ślepo rozkazom Inkwizycji świętej, było wycieńczone zupełnie. Upadł przemysł, handel i rolnictwo, a mieszkańcy nie byli w stanie płacić podatków; z tej przyczyny skarb zostawał w największym niedostatku i czerpał jedynie zasoby z kopalń amerykańskich.

Srebro wysyłano z osad na okrętach, zwanych galjonami; Anglicy czatowali na nie po drogach morskich i bardzo często zabierali bogatą zdobycz, a gdy jej zabrać nie mogli, zatapiali galjony, nabawiając tym sposobem rząd hiszpański największych kłopotów.

Nakoniec Hiszpanie, chcąc ujść czujności swych

przeciwników, postanowili okręty, przewożące skarby, przeprowadzać drogą dalszą, lecz zato bezpieczniejszą, to jest z zachodnich brzegów amerykańskich, przez Ocean Spokojny, opływając Azję i przylądek Dobrej Nadziei.

Marynarze angielscy dociekli wkrótce tego podstępu, a admiralicja, to jest zarząd sił morskich Wielkiej Brytanji, wysłała w roku 1705 kilka okrętów, dobrze uzbrojonych, na Ocean Spokojny. Pomiędzy temi znajdowała się fregata »Święty Jerzy« pod dowództwem sławnego Dampierra i towarzyszący mu bryg »Pięć Portów«, który prowadził kapitan Stradling. Obaj kapitanowie byli mężni i pałali chęcią zmierzenia się z marynarką hiszpańską: Stradling atoli, będąc nader gwałtownego i kłótliwego usposobienia, poróżnił się wkrótce z swym towarzyszem i postanowił działać na swoją rękę.

Okręt »Pięć Portów« miał dzielną osadę, złożoną po większej części z marynarzy starych, doświadczonych i zaprawnych do boju, ale przytem chciwych sławy i łupów wojennych. Pośród nich znajdował się Aleksander Selkirk, majtek dobry, ale nadzwyczajnie gwałtowny i zuchwały.

Ojciec Selkirka mieszkał w Szkocji, w hrabstwie Fife. Tam też się urodził i wychował Aleksander. Skoro doszedł do jedenastego roku życia, rodzice posłali go do szkoły, ale chłopiec uczyć się chciał, a że w ówczesnych czasach nauczyciele nie umieli inaczej młodzieży zachęcać do nauki, jak tylko rózgą, więc

też Aleksander kilka razy uciekał ze szkoły do domu, gdzie znowu od ojca brał plagi.

Życie takie wkrótce mu się sprzykrzyło; pomimo odbieranej chłosty, młody Selkirk nie chciał się uczyć, oddał więc go ojciec do krewnego sędziego, mieszkającego o kilkanaście mil stamtąd, nad granicą Anglji, spodziewając się, że zdaleka od domu lepiej uczyć się będzie i zczasem wyjdzie na prawnika. Przebył tutaj kilka lat, ale w naukach nie postępował, a gdy go sędzia przymuszał do siedzenia za stołem i przepisywania papierów prawnych, potajemnie uciekł do Anglji i zaciągnął się na okręt.

Zdawało mu się, że tutaj będzie mógł robić, co mu się podoba, lecz wkrótce przekonał się, że na statku trzeba jeszcze być posłuszniejszym, aniżeli w domu. Rodzice byli dlań bardzo dobrzy; karcili go wprawdzie, ale ile razy udał się w pokorę, ojciec mu przebaczał i zapominał o wykroczeniu. Tymczasem kapitan okrętu nie przepuszczał płazem najlżejszego błędu i bardzo słusznie: bo gdyby na statku raz zakradło się nieposłuszeństwo, wszyscy narażeni byliby na zgubę.

Zuchwały młokos nie mógł się pogodzić z karnością marynarską i, po paru miesiącach pobytu na okręcie, umknął napowrót do Szkocji, ale zmienił nazwisko, bojąc się, ażeby go nie schwytano i nie karano jako dezertera.

Swoboda smakowała bardzo Selkirkowi, ale zato bieda dała mu się we znaki: nieraz dla utrzymania życia najmował się do ciężkiej pracy, a pomimo to często nacierpiał się głodu. Ponieważ miał już nieco

wprawy w robotach żeglarskich, porzucił wnętrze kraju i udał się do jednego z miast nadmorskich spodziewając się, że tam znajdzie łatwiejszy zarobek.

Przez pół roku w owem mieście portowem prowadził bardzo nędzne życie, naresznie nie mogąc już dłużej wytrzymać, postanowił poddać się karności marynarskiej i zaciągnąć się powtórnie do morskiej służby.

W tym czasie Anglja prowadziła wojnę na morzu, a prócz okrętów wojennych, które rząd wysyłał przeciwko nieprzyjacielowi, jak to już opowiadaliśmy wyżej, prywatni uzbrajali statki korsarskie. Stąd poszło, że marynarzy wszędzie brakowało, a kapitan Stradling, mający płynąć wraz z Dampierrem na Ocean Spokojny, przybył do portu, gdzie się znajdował Selkirk, aby dzielnymi Szkotami uzupełnić liczbę majtków na tę wyprawę.

Aleksander, przyciśnięty biedą, ochotnie uległ namowie sternika i wstąpił w służbę na okręcie »Pięć Portów«. Nędza nauczyła go posłuszeństwa, i przez pewien przeciąg czasu bardzo gorliwie pełnił służbę na statku. Kiedy jednak odżywił się i o dawnych nieszczęściach zapomniał, powróciła znowu dawna zuchwałość. Selkirk zawsze chciał tak robić, jak jemu się podobało, a nie tak, jak mu rozkazywano. Z początku wadził się tylko z majtkami, ale potem nie przepuścił i przełożonym, wkrótce też doczekał się bardzo smutnego losu.

Właśnie okręt przepływał około wysp Juan Ferdinandez, kiedy Selkirk, pokłóciwszy się z podmajstrzym

okrętowym, zranił go ciężko. Przestępstwo to oburzyło do najwyższego stopnia całą osadę. Gdyby kapitan nie miał litości nad młodością i głupotą Selkirka, byłby go niezawodnie śmiercią ukarał, lecz nie chąc jego zguby, dał mu do wyboru, albo odebrać pięćdziesiąt plag liną, albo też opuścić natychmiast statek i pozostać na pustej wyspie, około której przepływali.

Rozumie się, że zuchwały majtek wolał wysiąść na wyspę bezludną, aniżeli odebrać chłostę. Natychmiast więc spuszczono łódź na morze, wsadzono na nią Selkirka wraz z rzeczami należącemi do niego. Kapitan przez litość kazał dodać do tego cokolwiek narzędzi i żywności. Łódź popłynęła do brzegu i w zatoce Kumberlandzkiej wysadziła na ląd Selkirka. Kiedy obejrzał się dokoła, nie dostrzegł nigdzie żywego ducha, gdy przypatrzył się czarnym skałom, ponuro wystrzelającym z łona wód morskich, przeląkł się tej samotności i z płaczem błagał dowódcy łodzi, ażeby go wziął napowrót, chcąc raczej wytrzymać plagi, aniżeli zostać opuszczonym wśród niezmiernych przestworów Oceanu. Odniesiono się do kapitana Stradlinga, lecz ten ani słuchać nie chciał o prośbie Selkirka i rozkazał go pozostawić na wyspie. Wkrótce łódź odpłynęła do okrętu, który, podniósłszy kotwicę, zniknął z widnokręgu wyspy.

Selkirk więc pozostał sam jeden, oddzielony niezmierną wód przestrzenią od reszty świata.

Zapasy, które mu pozostawiono, składały się najprzód ze skrzyneczki z garderobą i bielizną; miał oprócz tego pościel, strzelbę, dwa funty prochu, nieco

kul, krzesiwo, skałki i kociołek; nakoniec Pismo Święte i parę innych książek.

Z początku, patrząc na odpływający okręt, gorzkiemi zalewał się łzami; później znękany wpadł w ponurą rozpacz, a nawet zaczął bluźnić przeciwko Panu Bogu, że go opuścił. Nie wiedział ten nędzny człowiek, że to, co uważał za największe nieszczęście, wyszło mu na dobre. W kilka bowiem dni Hiszpanie schwytali statek »Pięć Portów«, a ponieważ był to okręt korsarski, okuli całą osadę, jako rozbójników morskich, w kajdany i rozkazali im przez kilka lat pracować w kopalniach Ameryki południowej.

Selkirk uniknął tym sposobem niewoli, a los jego, chociaż bardzo dotkliwy, był nierównie lepszy, niż nieszczęśliwych towarzyszów, zmuszanych kańczugiem do ciężkiej pracy w wilgotnych, ciemnych i niezdrowych kopalniach, żywionych i odziewanych licho i tak dręczonych, że zaledwie połowa wróciła do Anglji, bo reszta z nędzy i nadzwyczajnej pracy pomarła.

Cierpienia Aleksandra były zupełnie innego rodzaju; porzucony na wyspie bezludnej, pozbawiony ludzkiego towarzystwa i wszystkich drobnych wygód, które się w Europie za nic uważa, pędził dni bardzo smutne Szczególnie też, przez kilka pierwszych miesięcy pobytu na wyspie, taka go dręczyła tęsknota, że kilkakrotnie myślał o odebraniu sobie życia. Jadł tylko wtenczas, kiedy mu dotkliwy głód dokuczył; zasypiał dopiero wówczas, gdy już ze znużenia wytrzymać nie mógł; nie ruszał się prawie z miejsca

i opuszczał siedzibę na brzegu morskim, kiedy trzeba było koniecznie udać się na wyszukanie żywności.

Ale wszystkie, choćby największe cierpienia czas łagodzi; powoli majtek zaczął się przyzwyczajać do swego położenia, a widząc, że patrzenie na morze na nic się nie przyda, że choćby najbardziej tęsknił i płakał, to mu łzy okrętu nie sprowadzą, poddał się woli Boskiej, pogodził ze swoim losem i począł nad tem rozmyślać, jakby sobie pobyt na wyspie uprzyjemnić.

Z początku, dopóki mu prochu starczyło, polował na dzikie kozy; gdy wystrzelał doszczętu amunicję, a nie umiał sobie sporządzić łuku i strzał, był zmuszony gonić je i chwytać w biegu, w czem nabrał tak wielkiej wprawy, że najszybsza koza nie uszła rąk jego. Ogień rozniecał na wzór dzikich ludzi, trąc dwa kawałki drzewa o siebie. W rozmaitych miejscach pobudował chatki na przechowywanie zapasów, a to z tej przyczyny, aby w razie wylądowania Hiszpanów, nieprzyjaciel nie znalazł i nie zniszczył naraz wszystkiego; nareszcie w jednej obszerniejszej chatce, skrytej pomiędzy skałami, urządził sobie sypialnię i w niej też w czasie dni słotnych przesiadywał.

Kto nie doświadczał, co to jest samotność, ten nie uwierzy, jaki ona zbawienny wpływ wywiera, a mianowicie też na ludzi zepsutych. Selkirk przed przybyciem swem na wyspę, przez cały czas pobytu na okręcie, nigdy nie pomyślał o modlitwie, nigdy nie podziękował Panu Bogu za jego dobrodziejstwa; teraz zaś sam, oddalony od ludzi, zaczął się gorąco modlić,

w czasie pracy śpiewał psalmy, czytywał Pismo Święte, a rozmyślając o swej przeszłości, żałował bardzo dawniejszych złych postępków.

Na żywności mu nie zbywało; oprócz koziego mięsa, miał także dostatek ryb, które w braku sieci poławiał następującym sposobem. Z łoziny plótł zastawki, któremi zagradzał ujścia strumieni, wpadających do morza, jak to u nas zwykli robić górale. Z początku dokuczał mu bardzo brak soli, ale wkrótce przyzwyczaił się bez niej obchodzić.

Skorupiaki morskie smakowały mu wybornie, jadał je albo surowe, albo przypiekane na węglach, niekiedy zaś gotowane w wodzie; czasami do rosołu z koziego mięsa dodawał raków morskich. Kozy chwytane przez Selkirka miały smak wyborny, albowiem nie posiadały odrażającej woni, jaką się oznacza mięso kóz europejskich.

W czasie czteroletniego pobytu na wyspie Juan Ferdinandez, Selkirk schwytał przeszło tysiąc kóz, z których większą połowę wypuścił wolno, naznaczywszy im tylko uszy, dla rozpoznania na przyszłość. Raz, ścigając kozę, zapędził się nad brzeg przepaści: gęste krzewy zasłaniały otchłań, Selkirk jej nie widział i wraz kozą stoczył się nadół. Gwałtowne uderzenie przyprawiło go o stratę zmysłów. Po kilkunastogodzinnem omdleniu przyszedł wreszcie do siebie, lecz był tak potłuczony, że zaledwie zawlókł się na drugi dzień do swej chaty, odległej o pół ćwierci mili, i później przez dni dziesięć nie był jej w stanie opuścić.

Wówczas to, nie mogąc niczem się zatrudnić,

po całych dniach czytywał biblję i niezmiernie zasmakował w tej księdze pełnej mądrości. Ile razy później napadła go tęsknota, albo zwątpienie w miłosierdziu Bożem, uciekał się do czytania Pisma Świętego, czerpiąc w niem wytrwałość, nadzieję i pociechę.

Powoli wracał mu dawniejszy wesoły humor; nieraz, zapominając o swojem smutnem położeniu, bawił się z oswojonemi kozami i, dzieląc ich igraszki z kożłętami, ścigał się i wesołe wyprawiał skoki.

Raz porzuciwszy nieruchawe życie, jakie prowadził z początku, począł odprawiać ciągłe wędrówki po wyspie, to dla dokładnego jej poznania, to dla wyszukiwania roślin i zwierząt, z których mógłby mieć pożytek. W czasie tych wycieczek znalazł drzewko podobne do mirtu, zwane pimentowem, z którego otrzymuje się ziarnka zwane angielskiem zielem. Drzewko to było mu bardzo pożytecznem; gałęzie przesiąknięte żywicą, a więc bardzo smolne, były niezmiernie przydatne na opał, a nadto wydawały dym aromatyczny, w którym wędząca się kozina nabierała nader przyjemnego zapachu; ziarna, mocno korzenne, stanowiły doskonałą przyprawę do ryb i pieczonego mięsa kożlego. Innym razem znowu napotkał palmę, której soczystych liści używają w tamtejszych stronach na jarzynę i dlatego zowią ją kapustą palmową. Tak pomnażała się wciąż liczba potraw, któremi wygnaniec urozmaicał swoje obiady.

Łagodny i przyjemny klimat wyspy wielkiem był dla Selkirka szczęściem: cóżby się z nim stało, gdyby, zamiast na wyspy Ferdinandeza, wysadzono go gdzieś

na północy? Któż wie, czy zdołałby przeżyć pierwszą zimę, a jeśliby ją nawet przeżył, przez jakie straszne przechodziłby koleje pośród śniegów i lodowatych tchnień północnego wichru, nie mając dobrze zabezpieczonego mieszkania. Tymczasem tutaj klimat był nadzwyczaj miły. Nie dokuczały ani upały podrównikowe, ani mrozy i śniegi w zimie, którą zastępuje kilkutygodniowa pora deszczów, poczem znów wraca wiosna w całej swej piękności i sile. W lecie niema skwarów, bo wiatry morskie odświeżają powietrze, a miła zieloność przez cały rok ziemię okrywa.

Przez cały czas Selkirk, wyjąwszy upadku ze skały, ani razu nie zachorował. Kiedy mu się suknie zdarły doszczętu, zrobił sobie opończę z kozich skór, obuwia zaś nie używał wcale. Z początku trudno mu było chodzić boso, lecz potem przyzwyczaił się, a skóra podeszew tak stwardniała, że bez trzewików mógł się obchodzić. Koszul posiadał tak znaczny zapas, że mu na cały czas wystarczyło. Kiedy nóż zużył mu się zupełnie, zrobił sobie inny z żelaznej obręczy, znalezionej na brzegu morskim, wyklepał ją najprzód na kamieniu, a potem wyostrzył na głaziku.

Jedna tylko okoliczność nie pozwalała mu żyć w zupełnym spokoju. Od czasu do czasu ukazywały się u brzegów wyspy okręty, a czasami nawet zarzucały w przystani kotwicę. Ujrzawszy żagiel, Selkirk wdrapywał się na skałę i z ukrycia śledził ostrożnie, do jakiego narodu statki należały. Na nieszczęście bywały to zawsze okręty hiszpańskie; gdyby majtkowie

dostrzegli go i dowiedzieli się, że jest poddanym Wielkiej Brytanji, pochwyciliby go natychmiast i uwieźli do kopalń, a może nawet i śmiercią ukarali; Aleksander więc krył się przed nimi. Zdaje się, że od schwytanej osady statku »Pięć Portów« dowiedzieli się o pobycie Selkirka, gdyż kilkakrotnie, przybiwszy do brzegu, wysyłali na ląd majtków, którzy przetrząsali nadmorskie lasy i skały, jakby kogoś szukając.

Jednego dnia oddział uzbrojonych, z okrętu hiszpańskiego wysłany, dostrzegł Selkirka i puścił się za nim w pogoń; lecz ten, szybki jak strzała, wymknął się ścigającym i schronił wewnątrz wypróchniałego drzewa. Hiszpanie przez cały dzień szukali go, lecz nadaremnie, i dopiero nad wieczorem, straciwszy wszelką nadzieję schwytania Szkota, odpłynęli na morze.

Nakoniec dnia pierwszego lutego 1709 roku, ukazały się na brzegach wyspy dwa okręty angielskie wojenne, jeden zwany »Książę« pod dowództwem kapitana Roggersa, drugi »Księżna«, którym dowodził Courtenay. Na pokładzie pierwszego znajdował się Dampierre, za jakieś przewinienie zdegradowany z kapitana na sternika okrętowego.

Kiedy oba statki zbliżyły się do wyspy, spuszczono szalupę na morze, a kilkunastu ludzi popłynęło ku lądowi przed samym wieczorem. Osada szalupy spostrzegła w oddaleniu ogień. Anglicy w mniemaniu, że Hiszpanie znajdują się na lądzie, natychmiast powrócili do okrętu, i dopiero nazajutrz, skoro się przeko-

nano, że nigdzie niema statku nieprzyjacielskiego, dowódcy wysłali dwa czółna dobrze uzbrojone.

Selkirk o świcie spostrzegł okręty, a przekonawszy się z budowy, że to są jego rodacy, wybiegł na spotkanie szalup. Zawieziono go na okręt, a Dampierre, ujrzawszy go, przypomniał sobie Selkirka i zaświadczył przed kapitanem, że wygnaniec jest dobrym majtkiem. Roggers zaproponował Selkirkowi, żeby się znowu do służby morskiej zaciągnął, na co też ten chętnie przystał.

W pierwszych dniach po przybyciu na okręt, Szkot nie mógł się rozmówić ze swymi towarzyszami, gdyż przez lat cztery nie rozmawiał z nikim, a zapomniawszy prawie zupełnie użycia mowy, zaledwie pół-słowa wymawiał. Kiedy kapitan rozkazał mu dać kielich rumu, dotknąć go nie chciał; gdy go namawiano koniecznie, żeby spróbował, uczynił to, ale natychmiast wypluł rum z obrzydzeniem i usta popłukał wodą. Przez resztę życia żadnego innego napoju oprócz wody pić nie chciał.

Kiedy kapitan dowiedział się od Selkirka, że na wyspie takie mnóstwo kóz się znajduje, wydał rozkaz, ażeby kilkunastu majtków, umiejących najlepiej strzelać, udało się na polowanie. Ma się rozumieć, że pomiędzy nimi był i Selkirk. Skoro psy ruszyły kozę, wszyscy puścili się w pogoń, lecz ani ludzie, ani zwierzęta dognać jej nie mogły: wtedy Selkirk popędził za nią z niewypowiedzianą szybkością, dopędził kozę i schwytał. Anglicy zdumieli się, widząc taką niezmierną rączość. Polowanie zresztą powiodło się wybornie.

Pomiędzy kilkudziesięciu ubitemi kozami, znalazło się jedenaście naznaczonych na uszach przez Selkirka.

W dniu 11 lutego okręty opuściły przystań, zabierając z sobą wygnańca. Z początku nie mógł on się przyzwyczaić się do noszenia obuwia, równie jak i do używania soli, od której od lat czterech odwykł zupełnie; zczasem jednak pogodził się z nią i później spożywał bez wstrętu solone potrawy.

Obydwa statki nie powróciły zaraz do Anglji, lecz przez dwa lata jeszcze krążyły po Oceanie Spokojnym, łupiąc i zabierając okręty hiszpańskie; dopiero w październiku 1711 roku okręt »Książę«, po opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei, wpłynął na Tamizę.

Opisanie przygód Selkirka wielkie w Anglji obudziło zajęcie. Rodzice przyjęli marnotrawnego syna z niewymowną radością, przebaczając mu dawne winy. Trzeba przytem nadmienić, że czteroletnia samotność wywarła nader zbawienny wpływ na burzliwego młodziana. Z gwałtownego stał się on łagodnym, a z zuchwałego powolnym i tak się w postępowaniu swojem odmienił, że wszyscy dawni znajomi poznać go nie mogli. Odtąd kochano go i szanowano, a Anglja pozyskała w nim zacnego i użytecznego obywatela.

Na tem kończymy opowiadanie przypadków Selkirka; mniemamy jednak, że nasi młodzi czytelnicy z chęcią dowiedzą się niektórych szczegółów o dalszych losach wyspy.

W kilka lat po odpłynięciu kapitana Roggersa, Hiszpanie, wylądowawszy tutaj, znaleźli ślady pobytu Szkota. Widząc mnóstwo kóz przebiegających wyspę

domyślali się, że marynarze angielscy przybywają tutaj dla zaopatrywania się w kozie mięso. Chcąc więc zniszczyć tę spiżarnię Anglików, generał-kapitan Peru wysłał tutaj parę statków, zaopatrzonych w myśliwców i psów, z rozkazem zupełnego wytępienia kóz. Wyprawa ta jednak chybiła celu; chociaż bowiem strzelcom udało się wybić ogromne mnóstwo tych zwierząt, jednakże część zdołała umknąć w najniedostępniejsze przesmyki gór i ukryć się przed zajadłymi nieprzyjaciółmi, a w dziesięć lat później liczba kóz podniosła się znakomicie.

W roku 1739, kiedy Anglja i Hiszpanja znowu wypowiedziały sobie zaciętą wojnę, rząd Wielkiej Brytanji wysłał silną flotę na Ocean Spokojny pod dowództwem admirała Ansona. Biegły i doświadczony ten marynarz przebył cieśninę Magellańską i dążył ku wyspom Juana Ferdinandeza. Obrawszy tutaj sobie przystań i obwarowawszy ją dobrze, mógł z niej z wielką bardzo korzyścią uderzać na bezbronne prawie wybrzeża Peru i Chili i pustoszyć nadmorskie miasta osad hiszpańskich.

Zaraz po wyjściu z cieśniny, przeciwne wiatry napadłszy flotę, rozproszyły wszystkie jej okręty, ale ponieważ kapitanowie pojedyńczych statków mieli rozkaz zebrania się przy wyspach Juana Ferdinandeza, przeto zwolna zgromadziły się wszystkie.

Żeglarze, doznawszy tylu przeciwności, nie mogli wyjść z zachwycenia na widok tych wysp rozkosznych, obfitujących w świeże mięso, w pożywne rośliny, ryby i raki morskie. Przez długi też czas pozostawali tutaj,

robiąc szczęśliwe wyprawy na zachodnie brzegi Ameryki południowej i znakomite odnosząc korzyści; niejeden okręt hiszpański bogato naładowany wpadł w ich ręce; niejedno miasto nadmorskie, ogromną kontrybucją okupywać się musiało od zupełnego zniszczenia. Burze jednakże panujące na Oceanie tak skołatały zkolei okręty angielskie, iż musiały opuścić swą dogodną siedzibę i wracać do ojczyzny. Przed odjazdem jednakże Anson pozasiewał na wyspie wiele zbóż i warzyw europejskich, które się doskonale udały.

Na odgłos klęsk, zadawanych osadom przez admirała angielskiego, rząd hiszpański wysłał ogromną siłę dla zniszczenia nieprzyjacielskiej floty; zanim jednak dosięgnęli kryjówki Ansona, już ten znajdował się o kilkaset mil morskich stamtąd, a Hiszpanie musieli poprzestać na zniszczeniu twierdz, wzniesionych przez Ansona.

W jedenaście lat później, rząd hiszpański postanowił tutaj zbudować fortecę, ażeby zapobiec na przyszłość sadowieniu się Anglików wpobliżu swych osad. Z niemałym kosztem wzniesiono twierdzę, lecz niedługo cieszyli się nią Hiszpanie; zaraz bowiem w następującym roku gwałtowny huragan, połączony z trzęsieniem ziemi, zburzył ją doszczętnie Gubernator, większa część załogi i kilkunastu osadników utraciło przytem życie.

Wreszcie wybuchła w południowej Ameryce rewolucja. Mieszkańcy jej, sprzykrzywszy sobie panowanie Europejczyków, postanowili ogłosić się niepodległymi. Po kilkuletniej, zaciętej wojnie, zdołali na-

reszcie wyprzeć Hiszpanów z Nowego Świata. Po ukończeniu wojny, dawne osady hiszpańskie rozpadły się na kilka państw, a wyspy Juana Ferdinandeza przypadły rzeczypospolitej Chili. Państwo to założyło tutaj osadę, lecz ta została także trzęsieniem ziemi zniszczona, i trzeba było ją opuścić.

W roku 1838 kapitan D'Urville, dowodzący statkiem francuskim, znalazł tam srebrnowłosego starca; Walpole zaś, dowódca okrętu amerykańskiego, w ośm lat później, majtka ze Stanów Zjednoczonych. Obadwaj prowadzili życie na wzór Robinsona Kruzoe.

Nakoniec w roku 1853 utworzyło się w Chili towarzystwo w zamiarze skolonizowania obydwóch wysp. Zdaje się jednak, że zamiar ten nie powiódł się, gdyż świeżo straszne wybuchy wulkaniczne nawiedziły wyspy, a ognie podziemne wciąż nią wstrząsając, zagrażają każdej osadzie niechybnem zniszczeniem.

JAN STADEN

w pierwotnych puszczach Brazylji (1549).

Na całej kuli ziemskiej niemasz krainy tak bogatej w pierwotne a ogromne puszcze, jak niezmierne cesarstwo Brazylijskie. Od wschodnich wybrzeży Ameryki południowej, od krańców Oceanu Atlantyckiego, aż po śnieżyste szczyty wulkanicznych Kordyljerów, po obu stronach Amazonki i jej rzek hołdowniczych, na stu tysiącach mil kwadratowych, zaległy nieprzejrzane lasy, do dziś dnia niezbadane jeszcze dokładnie we wszystkich swoich częściach.

Pośród tych puszcz dziewiczych taka rozmaitość drzew panuje, że rzadko kiedy napotkać można dwa jednakowe, obok siebie stojące, a częstokroć na przestrzeni jednego morga kilkadziesiąt zupełnie odmiennych wyrasta.

Drzewa niektóre dochodzą olbrzymiej wysokości i miąższu, o jakich mieszkaniec Europy wyobrażenia mieć nie może; jaką ma barwę kora, nie dojrzysz, bo tysiące lian i powojów najrozmaitszych gatunków tak gęstą siecią pnie obwinęły, że jej wzrok przebić nie zdoła. Co chwila tamują kroki nieprzebyte krzewy,

to olbrzymie paprocie, to pełzające po ziemi rośliny. Rozrosłe konary tak gęste tworzą sklepienie, że rzadko kiedy przez nie promień słoneczny przeniknąć zdola. Cała ta roślinność poplątana, pogmatwana, tworzy gąszcz nieprzebyty, tak, iż wędrownicy kroku naprzód bez użycia siekiery i noża zrobić nie mogą.

Środkiem tych puszcz płynie najogromniejsza rzeka na całym świecie, nosząca nazwę Amazonki lub Maranionu; prawdziwe to morze Śródziemne. Źródła jej biorą początek w olbrzymich Kordyljerach. O mil dwadzieścia od brzegów Oceanu Spokojnego, od miasta Lima górami oddzielone, leżą zaledwie o mil kilkanaście od zatoki Gujaquil. Maranion, przerznąwszy w największej szerokości ląd południowej Ameryki, wpada do Oceanu Atlantyckiego, ujściami zajmującemi szerokość mil dwudziestu. Z północy śpieszy ku niej olbrzymia rzeka Czarna (Rio negro), Yapura i Ica; z południa Ucayale, potężna Madeira, Purus, Tapayo, Xingu, nakoniec Toncantin, wpadający do wschodniego ramienia; wszystkie wyrównywają największym europejskim, przewyższają je nawet, a nam zaledwie znane są z nazwiska.

Niekiedy głębia puszcz całkiem odmienną przybiera postać. Wezbrane w porze wilgotnej rzeki nawalnemi deszczami, występują ze swoich koryt i zalewają niezmierne lasów przestwory. Niskie ich grunty przez ustawiczne powodzie zamieniają się zczasem w ogromne bagniska; po upływie lat nikną drzewa zgniłe w wodzie, rdzeń zwolna rozkłada się i na powierzchni wód tworzy warstwę rodzajnej ziemi. W buj-

nym tym klimacie przyroda zmusza wszystko do pracy; wnet warstwa owa porasta najpiękniejszą zielonością i zdaje się zapraszać strudzonego wędrowca, ażeby na jej aksamitnej spoczął pościeli.

Biada temu, co nie znając natury tych łudzących obszarów, skieruje ku nim swe kroki; wnet ugną się pod jego ciężarem, a nieostrożny w mgnieniu oka zniknie na wieki w bezdennej toni, lub stanie się łupem żarłocznych kajmanów, przewalających ogromne swe cielska w łonie bagnistych topieli.

Nieliczne gromady koczujących Indjan przebiegają puszcz przestwory; żyje w nich mnóstwo pum, jaguarów, kuguarów i innych mniejszych zwierząt drapieżnych; olbrzymie dusiciele czatują na drzewach; niezliczone roje jadowitych wężów kryją się pod korzeniami krzewów, a miljony ptactwa najrozmaitszej postaci i barwy zamieszkują rozłożyste drzew konary.

Na stu siedmdziesięciu kilku tysiącach mil kwadratowych, to jest na przestrzeni siedmnaście razy większej od Francji, żyje w Brazylji zaledwie ośm miljonów mieszkańców: najznakomitsza część przebywa nad wybrzeżami wchodniemi. Pomiędzy tą ludnością znajduje się przeszło trzy miljony Murzynów, a półtora miljona plemienia czerwonego, czyli pierwotnych mieszkańców tej części ziemi: resztę stanowią potomkowie Portugalczyków lub też Europejczykowie tutaj osiadający.

W czasie zdobycia mocarstwa Peru przez Hiszpanów, obliczono ludność indyjską na kilkanaście miljo-

nów; dzisiaj w całej Ameryce południowej żyje najwięcej miljon. Zdobywcy europejscy, wytępiający z najokropniejszem barbarzyństwem pierwotnych mieszkańców Ameryki, zajadłe wojny, które te ciemne ludy wiodą wciąż między sobą z największem okrucieństwem, a nakoniec wódka, ta zjadliwa trucizna europejska, i choroby, które biali z swej ojczyzny przynieśli, mianowicie też ospa, wytępiły takie mnóstwo ludzi z plemienia, że to niezawodnie w ciągu niewielu lat zupełnie ulegnie zagładzie.

Krainę tę odkrył Cabral, Portugalczyk, a papieże nadali ją na własność królom Portugalji. Początkowo nosiła nazwę ziemi Św. Krzyża, potem Brazylji. Zrazu rząd ograniczał się na wysyłaniu corocznie dwóch okrętów. Statki te przewoziły zbrodniarzy, skazanych w kraju rodzinnym na wygnanie, a brały wzamian do Europy rozmaite płody Nowego Świata, mianowicie też drzewa farbierskie.

Ponieważ liczni naówczas Indjanie niepokoili handel europejski i utrudniali wylądowanie, przeto rząd portugalski pozakładał na wybrzeżach małe warownie, pod opieką których wkrótce powstały kwitnące osady. Nareszcie w r. 1547 książę Suza, mianowany gubernatorem Brazylji, na rozkaz króla Jana III założył tutaj miasto Bahja.

Ponieważ nieludna Portugalja nie mogła dostarczyć stosownej liczby osadników, przeto awanturnicy ze wszystkich krajów europejskich zaczęli się zbiegać do Brazylji, ażeby szukać tu swego szczęścia.

Pomiędzy przybywającymi z starego świata

znajdował się Niemiec, Jan Staden, rodem z Homburga w Hesji, człowiek prostych obyczajów, ale bardzo poczciwy i pobożny. Był on, jak na wiek, w którym żył, dosyć wykształconym, odważnym i przedsiębiorczym; męstwo czerpał głównie w nieograniczonej ufności w miłosierdziu Bożem, i było mu z tem bardzo dobrze.

Rodzice jego, niezamożni mieszczanie, zaledwie sami utrzymać się mogli, Staden więc szukał zarobku, służąc w wojsku, lecz gdy czas służby upłynął, a nie było żyć z czego, postanowił udać się do Ameryki i tam szukać sposobu do życia.

Opuściwszy miasto rodzinne, Jan Staden udał się najprzód do Bremy, skąd popłynął do Holandji, gdzie wsiadłszy na statek naładowany solą, szczęśliwie dostał się do Lizbony, portugalskiej stolicy.

Przybywszy tutaj, sądził, że natychmiast służbę znajdzie, ale nadzieja go omyliła, gdyż przez parę miesięcy zostawał bez zatrudnienia; nakoniec oberżysta, u którego stał gospodą, postarał mu się o miejsce muszkietnika na okręcie kupieckim, odpływającym do Brazylji po ładunek drzewa farbierskiego.

Żegluga odbyła się szczęśliwie, ale trwała aż ośmdziesiąt cztery dni, bo okręty ówczesne, źle zbudowane, bardzo wolno płynęły, a marynarze nie znali dobrze drogi do Ameryki południowej. Statek zawinął do przystani Pernambuco, założonej niedawno przez rząd portugalski.

Nasz awanturnik przybył w bardzo krytycznej chwili, albowiem właśnie plemiona indyjskie, rozją-

trzone okrucieństwami białych, powstały w masie, a obsadziwszy nieliczne warownie europejskie, rozpoczęły ich oblężenie.

Forteczki te były liche i słabo ubezpieczone, po największej części składały się z drewnianych koszar, z grubych pni zbudowanych i otoczonych wkoło palisadą i głębokim rowem, napełnionym wodą.

Kiedy statek wiozący Stadena przybił do brzegów brazyliskich, dowódca jednej z takich warowni wysłał do gubernatora, prosząc o jak najprędsze przysłanie posiłków, a przynajmniej żywności.

Miejsce oblężone przez Indjan znajdowało się nad wąską zatoką, wrzynającą się głęboko w ląd stały. Słabą warownię otaczały niezmierne puszcze, rozciągające się aż do brzegów morskich. Indjanie umocnili zasiekami wstęp do lasów i podczas nocy kryli się w nich bezpiecznie, ponawiając w czasie dnia szturmy.

Osada broniła się wystrzałami z ognistej broni; dzicy miotali do twierdzy gradem pocisków, niekiedy opatrzonych w bawełnę i nasiąkłych żywicą, i używali ich na podobieństwo dzisiejszych rakiet kongrewskich, chcąc wzniecić pożar w twierdzy. Utarczki toczyły się bez wytchnienia; ale mimo zajadłości Indjan, nie zdołali oni dotąd odnieść najmniejszej korzyści, a Portugalczykom nie groziło inne niebezpieczeństwo, jak tylko brak żywności.

Jan Staden, posłyszawszy o przykrem położeniu białych, ofiarował się dowieźć żywność do fortecy;

powierzono mu więc łódź z kilkunastu ludzmi doświadczonego męstwa.

Aby dopłynąć do twierdzy, należało przebyć wzmiankowaną zatokę wobec dzikich, zajmujących oba jej brzegi. Z początku szło to jakoś pomyślnie, lecz w połowie drogi morze zaczęło odpływać, a łódź osiadła na piasku. Natychmiast dzicy obrzucili dokoła statek pękami suchego chróstu, pomiędzy którem znajdowało się mnóstwo tureckiego pieprzu. Buchnęły potężne płomienie, podniecone rękami Indjan, pragnących oddać szalupę na pastwę ognia. Żar, a przytem piekący dym pieprzu, groziły zagładą Europejczykom, i niezawodnie zginęliby wszyscy, gdyby wracający przypływ morza nie zalał płomieni, a statku nie podźwignął z mielizny. Staden szczęśliwie dostał się do miejsca przeznaczenia i zaopatrzył załogę w żywność.

Skoro dzicy ujrzeli, że im się zamiar nie powiódł, wymyślili inny sposób zniszczenia powracającego statku. Po obu stronach wąskiej zatoki rosły wysokie drzewa; popodcinali więc ich pnie, a uwiązawszy u wierzchołków powrozy ukręcone z lian, utrzymywali drzewa tak długo, dopóki szalupa nie nadpłynęła. Na dany znak runęły ogromne pnie do wody, lecz ich rosochate korony nie dosięgły statku, wytrysły tylko bałwany w górę, oblewając strumieniami wody śmiałych żeglarzy: łódź popłynęła szczęśliwie dalej. Zrażeni spełznięciem na niczem zasadzki, Indjanie odstąpili oblężenia, a Jan Staden popłynął zpowrotem do Europy.

Szesnastomiesięczna podróż, i doznane przez ten czas przygody nie odstręczyły awanturniczego Niemca od dalszych wycieczek: przeciwnie, chęć poznania Indyj, jak podówczas zwano południowe krainy nowego świata, zwiększała się z każdym dniem u niego i wyglądał tylko sposobności, ażeby znowu puścić się na ocean. Wkrótce po swem przybyciu do Europy dowiedział się, że Hiszpanie gotują wyprawę do ujść rzeki La Plata, postanowił więc przyłączyć się do niej.

Około świąt wielkanocnych r. 1549 flotylla, złożona z trzech okrętów, wypłynęła z portu Sant Lucar i po wielu niebezpieczeństwach dostała się wreszcie do brzegów Brazylji.

W dniu świętej Katarzyny eskadra zarzuciła kotwicę w przepysznej zatoce; powierzchnia morza, gładziutka jak zwierciadło, odbijała w swych wodach ciemny szafir nieba. Szczyty wyniosłych palm kołysały się wdzięcznie na wysmukłych pniach, przeglądając się w przejrzystych falach oceanu; wrzask zwinnych małp i różnobarwnych papug, zagłuszający żeglarzy, oznajmił im, że przybyli do odmiennego świata, do całkiem nowej krainy. Ale na wybrzeżu żywej duszy nie było widać, kilka tylko chat zapadłych stało nad morzem. Hiszpanie wylądowali, ścięli kilka palm z rodzaju sagowców i rozpalili ogień. Potem zapuścili się w okolicę, lecz któż opisze ich zadziwienie, gdy uszedłszy kilkadziesiąt kroków, nagle, na skale sterczącej na wybrzeżu, ujrzeli znak zbawienia. Do stóp krzyża przywiązane było dno od

baryłki, a na niem znajdował się następujący napis w hiszpańskim języku: »Jeżeli jaki okręt zabłąka się w te strony, niechaj da ognia z działa, a otrzyma odpowiedź«. Natychmiast wypalono z armaty, a wkrótce potem z zatoki, w gąszczu ukrytej, wypłynęło pięć łodzi długich, napełnionych dzikimi. Pomiędzy nimi znajdował się Europejczyk z wielką brodą, który, ujrzawszy Hiszpanów, zawołał: »Witam was, bracia moi, w zatoce Św. Katarzyny!« Tak przypadek zrządził, że biali właśnie wylądowali w dzień świętej, której nazwę zatoka nosiła.

Europejczyk ów żył od trzech lat pomiędzy dzikimi Karjosami; był on Baskiem i nazywał się Juan Ferdynand. Rząd hiszpański polecił mu zachęcać Indjan do uprawy korzeni manjoku, z których wyrabia się pożywna mąka, zwana kassawą. Tym sposobem starano się nagromadzić żywność dla zaopatrywania nią przepływających okrętów.

Flotylla potrzebowała właśnie żywności, cierpiąc jej brak dotkliwie, a osada niemało ucieszyła się, znalazłszy tak niespodziewane zapasy kassawy; okręty miały jeszcze przeszło 300 mil przebyć, zanimby dostały się do miejsca przeznaczenia, to jest do ujść rzeki Srebrnej (La Plata).

Żeglarze zabawili w zatoce przez pół roku pomiędzy gościnnymi Indjanami, i właśnie, gdy zamierzali podnieść kotwicę, zerwała się straszna burza i zatopiła dwa okręty, najmniejszy tylko pozostał. Cóż było robić? Dowódca wyprawy rozkazał swym

ludziom, ażeby większa część przerznęła się przez puszcze lądem.

Nieszczęśliwi ci puścili się w drogę, lecz mnóstwo ich wymarło z głodu, mała tylko ilość dosięgła celu. Pozostali na statku, a między nimi Jan Staden, popłynęli wzdłuż brzegów ku północy, gdzie Portugalczycy na wyspie Św. Wincentego założyli osadę. Już od kilkunastu dni byli w drodze i spodziewali się dopłynąć szczęśliwie do przeznaczonego miejsca. Kiedy niekiedy zawijali do brzegu, zbierając owoce lub jaja ptasie. Nakoniec według obliczeń dowódca osądził, że już wyspa Św. Wincentego jest w pobliskości. Nagle i niespodzianie zerwał się szalony huragan, a rozhukane morze, piętrząc się w niezmierne bałwany, pochłaniało prawie kruchy ów statek, który, porwany wściekłością gwałtownego żywiołu, pędził jak strzała. Wtem rozległ się trzask niezmierny, majtkowie padli na ziemię, okręt utkwił na skale. Wszystko wrzucono w morze, aby ulżyć statkowi. Powiodło się to, lecz nowe wzgórza fal piętrzą się coraz wyżej — błyskawice rozdzierają obłoki, grom bije po gromie, okręcik porwany falą pędzi ku skałom nadbrzeżnym. W tak strasznej chwili osada postanawia ratować się na łodziach; po niewypowiedzianych trudach dostaje się wreszcie do lądu, dziękując Bogu za cudowne prawie ocalenie.

Rozbitkowie nie wiedzieli wcale, gdzie się znajdują; trwoga ich ogarnęła, bo albo z rąk dzikich krajowców, lub też z głodu na bezludnym brzegu śmierć im groziła. Lecz gdy zdawało się, że już niema wcale

nadziei, nagle zabłysnął promień szczęścia; miejsce, na którem statek się rozbił, było zaledwie o parę mil odległe od osady Św. Wincentego.

Tegoż dnia jeszcze znaleźli Portugalczyków, a gościnnie od nich przyjęci, odetchnęli po tak okropnem przejściu. Wprawdzie utracili wszystko, lecz największy skarb, życie, Bóg im zostawił.

Do tej pory losy Stadena były ciągle związane z losami współtowarzyszów; w osadzie dopiero portugalskiej rozpoczynają się najniebezpieczniejsze jego przygody, i tylko jedynie niewzruszona ufność w miłosierdziu Bożem utrzymała go przy życiu, przez czas dziesięciomiesięczny, w którym niewypowiedzianych cierpień doznawał.

Osada portugalska Św. Wincentego znajdowała się na wysepce, wąziuchną cieśniną od stałego lądu oddzielonej. Naprzeciw niej na lądzie wznosiło się miasteczko Bertioga, opalisadowane, a tuż obok na kępie mała forteczka San Maro. Dokoła zalegały nieprzebyte lasy, w których przebywały plemiona czerwonoskóre.

Wpobliżu osady zamieszkiwali Tupiniki, żyjący w sojuszu z osadnikami, na południu Karjosy; na północ zaś dzikie, ludożercze ludy Tupinambasów, zaprzysiężone wrogi Portugalczyków. Od czasu do czasu wpadali oni w posiadłości Tupiników, aby tam nachwytać niewolników i pożreć jeńców. Podobne wyprawy zwykle robili dwa razy na rok, raz w listopadzie, gdy pewien rodzaj owoców, zwanych abati, dojrzewa, z którego Tupinambasy przyrządzali

sobie napój odurzający; drugi raz w sierpniu, podczas napływu niezliczonych gromad ryb w górę rzeki, kędy ikrę składają. Dzicy zabijali strzałami mnóstwo tych wodnych mieszkańców, suszyli i zabierali z sobą.

W tych więc dwóch porach trzeba było niezmiernie mieć się na baczności. Portugalczycy postanowili umocnić lepiej twierdzę San Maro i zaopatrzyć załogą; brakło tylko zdatnego dowódcy, któremuby można bezpieczeństwo jej powierzyć. Wkrótce Jan Staden pozyskał tyle zaufania, iż postanowiono mu oddać dowództwo; umiał on dobrze kierować działami, a przymiot ten ceniono wówczas niezmiernie. Przy pomocy Europejczyków i Indjan, Staden wybudował forteczkę z kamienia, umocnił ją działami i pilnie czuwał nad snującymi się dokoła dzikimi, upatrującymi dogodnej chwili do opanowania twierdzy.

Dni upływały spokojnie, zdawało się, że wcale nie zagraża niebezpieczeństwo. Wiatr szumiał w wyniosłych konarach puszczy; świetliki, ulatując gromadami w powietrzu, niewypowiedzianym wdziękiem przystrajały ciemne noce. Wszystko to rozbudzało w duszy Stadena pobożność ku Ojcu przedwiecznemu, Stwórcy tych niezliczonych cudów. Prowadził on życie samotne, i kiedy niekiedy odwiedzał go rodak, Heljodor Hesse, pracujący w pobliskiej cukrowni. W takich chwilach ożywiały się oblicza współziomków, myśl biegła ku stronom ojczystym, i miłe snuły się gawędki; czasam Heljodor, od kilku lat w tych stronach zamieszkały, opowiadał Stadenowi o zwy-

zajach i trybie życia Tupinambasów, co mu się w późniejszym czasie bardzo przydało.

Lud ten dziki, koczujący, nie miał stałych siedzib, lecz rad przenosił się z miejsca na miejsce; miał bardzo wiele wrodzonych zdolności, a przyroda obdarzyła go bogato. Mężczyźni wysokiego wzrostu, pięknie zbudowani, odznaczali się siłą, odwagą i zręcznością. Skóra ich, barwy miedzianej, nosiła na sobie najrozmaitsze rysunki; za całą odzież używali fartuszków, a raczej krótkich spódniczek, utkanych z różnobarwnych piór ptasich, a na głowach rodzaj korony z tegoż samego materjału. W dolnej wardze mieli wrośnięty kamień zielony, który uważali za największą ozdobę.

Broń ich stanowiły siekiery kamienne, maczugi, łuki, strzały i włócznie. Ogień rozpalali zapomocą tarcia dwóch kawałków drzewa nierównej twardości; żywili się rybami, zwierzyną, oraz mąką kassawy, którą gotowali w garnkach glinianych. Oprócz wody znali jeszcze dwa rodzaje napojów: jeden przyrządzany z owoców abati, a drugi z korzeni manjoku, który na ten cel żuto, a potem poddawano fermentacji, podobnie jak piwo u nas. Nad wszystkie jednak pokarmy przekładali ludzkie mięso, a główną zasadą ich religji nie było przykazanie: »Kochaj bliźniego twego«, ale »pożeraj bliźniego twego«.

Jan Staden, mając przez kilkanaście miesięcy niewolnika z pokolenia Tupinambasów, wyuczył się ich mowy z własnej ciekawości, nie przeczuwając, że się w ich ręce dostanie. Posłuchajmy, jak sam

opowiada swoje nieszczęsne przygody, doznane w czasie dziesięciomiesięcznej niewoli.

»Pragnąc zapasy żywności powiększyć, wysłałem jednego poranku zręcznego w łowiectwie niewolnika z plemienia Karjosów do puszczy, leżącej poza kanałem, przedzielającym ląd stały od forteczki, której byłem dowódcą. Około południa wrócił on, donosząc mi, iż tak wiele ubił zwierzyny, że trudno mu było samemu przynieść ją do twierdzy, i prosił, aby mu dodać kogoś do pomocy. Ażeby użyć przechadzki, postanowiłem sam iść do boru. Wybraliśmy się we dwóch po upolowaną zdobycz i, przebywszy kanał na lichem czółenku, zapuściliśmy się w gąszcz lasów.

Po raz to pierwszy oglądałem puszczę pierwotną w całej jej wspaniałości; w poprzednich wycieczkach, zajęty pokonywaniem przeszkód i niebezpieczeństw, nie zwracałem na nią uwagi. Po raz to pierwszy podziwiałem olbrzymie drzewa, których wysokie pnie dochodzą do bajecznej grubości. Wśród roślin splątanych, pogmatwanych, przeskakujących z drzewa na drzewo, roi się niezliczone mnóstwo ptactwa rozmaitego rodzaju. Papugi, tukany, pieprzojady, dzięcioły, drozdy, zachwycają oko świetnem swem upierzeniem, wydając najrozmaitsze odgłosy. W powietrzu niezmierne mnóstwo motyli, jaśniejących barwami najpiękniejszych kwiatów, walczyło o palmę pierwszeństwa z drobniuchnemi kolibrami, przelatującemi z drzewa na drzewo, jakby deszcz rubinów, szmaragdów, topazów i szafirów.

Oprócz tych napowietrznych mieszkańców, setki

małp różnej wielkości snuło się we wszelkich kierunkach, to bujając się na gałęziach, to wyprawiając skoki, lub też strojąc najpocieszniejsze miny; taki tam hałas panował, takie przerozmaite wrzaski, że przez długi czas nie umiałem sobie zdać sprawy z tego, co się ze mną dzieje, i błogi zachwyt duszę moją ogarnął.

Na dole rozpościerał się rodzaj miłego zmroku; palące promienie słońca nie zdołały przebić zielonego sklepienia pogmatwanych konarów; przesiąkłe wilgocią pary powietrze, ugniatając płuca, zaledwie dozwalało oddychać.

Ze strzelbą pod pachą, ścigając wzrokiem dziwne ruchy licznych mieszkańców puszczy, posuwałem się zwolna naprzód. Nagle ze wszystkich stron zabrzmiał wojenny okrzyk Tupinambasów. Pochwyciłem strzelbę, lecz zanim zdołałem jej użyć, już silnie uderzony pięścią w głowę, leżałem powalony na ziemi; równocześnie strzała przeszyła mi lewą nogę, i otrzymałem kilka pchnięć lancą lekkich, ale dotkliwych. Dzicy wpadli na mnie ze wszystkich stron; w jednej chwili wydarto mi strzelbę i kordelas, a całe ubranie poszarpano w kawały. Jeden pochwycił kapelusz, inny kaftan, ten chustkę, ów koszulę, i w mgnieniu oka byłem daleko gorzej od nich ubrany.

Okrzyki triumfu, skoki i tańce dzikich dały mi poznać, jak się ucieszyli z dostania w swą moc komendanta nienawistnej twierdzy. Zanim zdołałem się opamiętać, skrępowano mi ręce, a dwóch Indjan, pochwyciwszy pod pachy, powlokło mię ku małej za-

toce, w której były ukryte łodzie. Rzucili mię jak snop zboża na dno jednej z nich i odbili od brzegu, wciąż okazując gestami, że mię pożrą. Wszystko to odbywało się w największem milczeniu.

Flotylla kierowała się ku niewielkiej wysepce, leżącej opodal od osad naszych. Dzicy odwiedzali ją często dla zaopatrywania się w czaple pióra, które za najpiękniejszą uważali ozdobę. Już upłynęliśmy znaczny kawał drogi, i rzeczona wysepka znajdowała się nie dalej, jak o ćwierć mili, gdy nagle z poza niej wypłynęło kilkanaście łodzi, napełnionych Tupinikami, sprzymierzeńcami naszymi, nienawidzącymi śmiertelnie Tupinambasów.

Natychmiast flotylla, na której się znajdowałem, rozwija się do bitwy. Wojownicy gotują łuki i dziryty, wódz zaś potrząsa muszkietem, który od Francuzów, swych przyjaciół, otrzymał. Zawrzała walka, zaświstał w powietrzu grad pocisków, lecz groźny muszkiet milczał, bo wódz indyjski nie umiał go użyć; snadź przyszła mu myśl, ażeby się mną wyręczyć, gdyż poskoczywszy, przeciął me więzy, a dając muszkiet w rękę, zawołał:

— Bierz i strzelaj do tych wściekłych jaguarów, strzelaj natychmiast, bo ci czaszkę rozwalę.

Cóż było robić, z niechęcią nabiłem muszkiet i dałem ognia — ma się rozumieć, że wystrzeliłem ponad głowy moich sprzymierzeńców. Strzał ten, choć bezskuteczny, zachwiał odwagę dzikich, i już zabierali się do odwrotu, gdy wtem pokazały się poza nami nowe a liczne czółna Tupiników. Prześladowcy

moi, widząc nowy zastęp nieprzyjaciół, poczęli uchodzić, a chociaż przeciwnicy ścigali ich zawzięcie, jednakże zdołali umknąć szczęśliwie, dzięki zapadającej nocy.

Dowiedziałem się później, iż mój niewolnik dał znać Tupinikom o pochwyceniu swego pana przez wrogów, i dlatego poskoczyli mi na odsiecz, ale nieszczęściem zamiar ich spełznął na niczem.

Wkrótce ściemniło się zupełnie. Indjanie przybili do brzegu i wyciągnęli mnie na ląd. Szliśmy przeszło milę środkiem lasu, aż nakoniec cała gromada zatrzymała się na wzgórzu z drzew ogołoconem, gdzie roztasowała się obozem, wielkie rozpaliwszy ogniska.

W rozpiętym na gałęziach drzew hamaku leżałem, cierpiąc niewymowne bóle. Twarz napuchła mi tak od uderzeń, że prawie nic widzieć nie mogłem; rana w nodze nieopatrzona dokuczała mi nieznośnie. Dzicy nie dozwalali zmrużyć oka. Barbarzyńcy ci, obskoczywszy mię dokoła, miotali najobelżywszemi wyrazami, wyszczerzali zęby i mlaskali językami, rozpowiadając, z jaką rozkoszą będą pożerać moje ciało.

W takim okropnym stanie przebyłem całą noc, a równo z brzaskiem zerwali się z legowisk i przymusili, ażebym wstał z hamaka. Wsiedliśmy natychmiast na łodzie i wypłynęli na morze.

Z początku nam pogoda sprzyjała, lecz wkrótce czarne chmury zaciągnęły widnokrąg, a coraz silniejszy wiatr wzdymał bałwany. Łodzie Tupinambasów

jak gdyby lekkie łupinki orzechowe, poczęły pląsać po falach. W okropnem mem położeniu nie lękałem się wcale śmierci, i gdyby nie bojaźń obrażenia Opatrzności, żądałbym jej, aby raz nieznośne cierpienia zakończyć.

Dzicy wylękli się niezmiernie i zaczęli wydawać wycia rozpaczy; kiedy burza wzmagała się coraz bardziej, wódz przypadł ku mnie i zawołał rozkazującym tonem:

— Biały człowieku, twój Bóg, jak mówią, ma być daleko potężniejszym od naszych bożków, módl się do niego, żeby nas ocalił, a jeżeli to zrobi, uwierzymy w Boga chrześcijańskiego.

Przejęty żarliwością o nawrócenie tylu zbłąkanych pogan, zapominając o bólu ran i niebezpieczeństwie, upadłem na kolana, a złożywszy ręce, począłem wołać do Pana:

»O wszechmocny i wielki Boże! który Jonasza z paszczęki wielorybiej wyzwolić raczyłeś, który łódź Piotrową wyrwałeś z wściekłości fal morskich, okaż Twoje miłosierdzie niegodnemu słudze i rozkaż bałwanom i wichrom, aby się uciszyły; daj poznać moc Twoją tym dzikim poganom; daj im poznać, żeś Ty prawdziwym Bogiem! Nie dla mnie, Panie, nie dla mnie, nędznego grzesznika, ale dla chwały Twego imienia okaż Twoją potęgę, aby je wysławiali na wieki wieków. Amen!«

I łzy jak groch posypały się po mojej twarzy, a wzrok z ufnością wzniósłszy ku niebu, zapatrywa-

lem się w czarnych chmur nawały, oczekując stam tąd pomocy.

Aliści jak gdyby cudem wicher zwolniał, porozdzierały się ołowiane obłoki, okazując zdumionym Indjanom prześliczny szafir niebieskiego sklepienia; i zwolna, zwolna, spienione bałwany poczęły drobnieć, śnieżysta piana niknąć, łodzie coraz spokojniej unosiły się na wód powierzchni i stały się posłusznemi rękom sterników, jako stado łagodnych owieczek swemu pasterzowi. Dzicy z przestrachem i poszanowaniem wpatrywali się we mnie, a wódz ich zawołał:

— Biały człowieku, twój Bóg jest potężnym!

Po dwóch dniach pomyślnej żeglugi zawinęliśmy wreszcie do brzegu. W odległości paruset kroków wznosiła się wioska Tupinambasów, złożona z siedmiu ogromnych chat z gałęzi drzew uwitych, a mogących pomieścić po kilka rodzin. Na widok powracających rodzin, starcy, niewiasty i dzieci rojem wysypali się na wybrzeże, dziwacznemi okrzykami witając przybyłych; lecz wrzaski te przemieniły się w szalone wycia, skoro mię skrępowanego wściekła zobaczyła gromada.

Odepchnąwszy na bok otaczających mię wojowników, rozżarte megery rzuciły się na mnie, klnąc, szturchając, bijąc i okazując niepohamowaną radość. Wrzask ich ogłuszył mię prawie, z bólu padłem na ziemię i byłbym niezawodnie uległ zajadłości kobiet indyjskich, gdyby sam wódz nie pośpieszył mi na pomoc. Wojownik ten zakreślił włócznią krąg około

mnie i wyrzekł jakieś słowo, na którego dźwięk cofnęły się i tylko zdaleka ujadały:

— Biały! biały! dajcie nam białego, niech go rozszarpiemy zębami i napijemy się krwi tego, który przelewał krew naszych braci! Dajcie nam białego! dajcie nam wroga! O, jakaż rozkosz, pożreć nieprzyjaciela!

I stały dokoła z zakrwawionemi oczyma, rycząc jak hieny, a gdyby nie opieka wodza, byłyby mię może żywcem pożarły.

Na rozkaz owego wodza, zowiącego się Yperu Wassu, poprowadzono mię do chaty jego na pagórku leżącej. Straszliwy widok uderzył mię na wstępie: ponad drzwiami sterczały na kołkach dwie czaszki ludzkie jeszcze ze krwi nie oschłe, a więc pochodzące z świeżo zamordowanych jeńców, na ścianach poprzybijano golenie i żebra nieszczęśliwych; okropne te trofea odebrały mi ostatek nadziei, westchnąłem tylko i poleciłem się Bogu.

Straż wprowadziła mię do dużej izby, w pośrodku której stało szkaradne bożyszcze indyjskie, wykute z głazu: ogromna jego paszcza była cała sposoczona, snadź krwią niewinnych ofiar. Dwóch Tupinambasów, pochwyciwszy mię pod ręce, powlokło przed bałwana, trzeci porwał za głowę, a czwarty, wziąwszy w rękę ostry kamień, zbliżył się ku mnie. Myśląc, że już nadeszła ostatnia chwila życia, poleciłem się Bogu. Skończyło się jednak tym razem na ogoleniu brwi, obcięciu brody i ustrojeniu w różnobarwne pióra. Wiedzia-

lem, że w ten sposób dzicy zwykli stroić ofiary przeznaczone na pożarcie.

Poczem wszyscy upadli na twarz przed bożyszczem, a wódz zawołał:

— O, wielki Mango, objaw nam twoją wolę.

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy, poczem dał się słyszeć głuchy łoskot pod ziemią, a z paszczy bóstwa wybiegły przygłuszone słowa:

— Portugalczyk ma być zabity na ofiarę bogom!

Yperu Wassu wzniósł ciężką maczugę, lecz zanim wymierzył cios śmiertelny, krzyknąłem:

— Ja nie jestem wcale Portugalczykiem, ale Niemcem, przyjacielem Francuzów! Patrzcie na me włosy, na brodę, wszakże są jasne, a Portugalczycy, wasi nieprzyjaciele, mają zarost zupełnie czarny.

Słowa te zmieszały dzikich; żyjąc w przymierzu z Francuzami, nie chcąc ich sobie narażać zamordowaniem jeńca z przyjacielskiego narodu, odrzucili narzędzia mordercze i opuścili chatę, zostawiając mię samego.

Odetchnąłem swobodniej; wkrótce kilka tych samych kobiet, które mi przed chwilą groziły śmiercią, weszło do izby, obmyło i opatrzyło moje rany. Podały mi także nieco polewki z kassawy, którą zjadłszy zasnąłem.

Przez kilka dni następnych dzicy obchodzili się ze mną nader łagodnie, opatrując mię troskliwie i żywiąc dobrze. Przyszedłem do siebie, rany zaczęły się zasklepiać, i jedynie tylko brak odzieży uczuwa-

łem dotkliwie. Miałem coraz większą nadzieję, że mię zostawią przy życiu.

Jednego dnia o wschodzie słońca zasiadłem przed chatą wodza, wpatrując się stęsknionem okiem w niezmierzony ocean, oddzielający mię swemi przepaściami od ukochanej ojczyzny. Nagle w odległości spostrzegam żagiel. Pełen radości wbiegam do chaty, budzę śpiącego jeszcze wodza i opowiadam, że widać okręt europejski. Yperu Wassu zerwał się z posłania i wybiegł przed chatę.

— Ciesz się! — zawołał — oto twoi przyjaciele nadpływają.

W istocie był to okręt francuski; obawa i nadzieja wstrząsały mem sercem naprzemian — statek ten niósł mi zgubę lub ocalenie.

Wnet po całej osadzie rozległy się okrzyki. Indjanie obojej płci wybiegli ku brzegom, wiodąc mię z sobą. Malowniczy to był widok: gromada strojna w pióra, uzbrojona lancami, przyzywała żeglarzy coraz bardziej zbliżającego się statku. Nakoniec zawarczał kołowrot łańcucha kotwicznego, spuszczono szalupę, a kapitan w towarzystwie kilkunastu majtków i żołnierzy wysiadł na ląd.

Natychmiast poprowadzono mię do niego, a Yperu Wassu rzekł:

— Wodzu białych, powiedz nam, czy to jest syn twojego narodu?

— Co, ten nędznik ma być Francuzem! — odrzekł kapitan z pogardą. — Kto jesteś? — zapytał mię, mierząc nieprzyjaznym wzrokiem.

Upadłem na kolana, a złożywszy ręce, począłem wołać do Pana.

— Jestem Niemcem — odpowiedziałem.

— To łotr Portugalczyk — zawołał niesumienny Francuz — zabijcie go, przyjaciele, będziecie mieli smaczny kąsek.

W mgnieniu oka otoczyli mię dzicy, wywijając groźnie maczugami. Niegodziwość Francuza tak mię wzruszyła, że, zapominając o niebezpieczeństwie, zawołałem:

— Zły człowieku, niechaj ci Bóg mej śmierci nie pamięta!

Potem, upadłszy na kolana, zacząłem śpiewać psalmy pokutne. Czy śpiew ten uczynił wrażenie na dzikich, czy też mieli jakie inne powody, nie wiem, dosyć, że jeszcze i tym razem uszedłem śmierci.

Okręt francuski, nabrawszy drzewa farbierskiego, odpłynął. Znowu kilka dni przeszło spokojnie; nakoniec jednego poranka Yperu Wassu oznajmił mi, że mam się udać w drogę, nie powiedział jednak dokąd i poco. Znaczna gromada uzbrojonych Indjan otoczyła mię, wódz ruszył naprzód, za nim oddział wojowników, następnie ja pod strażą dwóch Tupinambasów, a kilkunastu innych zamykało pochód. Kobiety, starcy i dzieci pozostali w domu.

Przez trzy dni szliśmy ciągle ogromnemi lasami, zakładając co wieczór koczowiska; czwartego przed południem ujrzałem wieś, złożoną z kilkudziesięciu chat, w środku której, na wyniosłym pagórku, był dom wyższy i okazalszy od innych. Było to mieszkanie kacyka, a raczej króla całego plemienia. Nazywał on się Konjan Bebe; państwo jego rozciągało się

na mil kilkadziesiąt wzdłuż brzegów, i był jednym z najpotężniejszych władców pośród dzikich. Rezydencję otaczał podwójny rząd ostrokołu, a na frontowej ścianie domu piętnaście czaszek świadczyło o ludożerstwie Jego Kacykowej Mości. Westchnąłem, pomyślawszy, że napewne wkrótce przybędzie szesnasta... moja.

Kiedy mię przyprowadzono przed oblicze Konjana, pijaniuteńki był jak bela; ujrzawszy mię, powstał, lecz wcale nie dla uczczenia, ale dla obejrzenia pieczeni. Krok jego, chociaż chwiejący się od nadmiaru upajającego trunku, był wszakże poważny i majestatyczny, a rozwój muskułów okazywał niepospolitą siłę; w spodniej wardze tkwił duży, przezroczysty kamień zielony, a szyję zdobił łańcuch misternie z muszli wyrobiony i także przystrojony kamieniem.

Yperu Wassu opowiedział mu, kim byłem i za kogo chciałem uchodzić, a potem prosił, ażeby potężny król raczył mię przyjąć w darze na swą monarszą kuchnię.

— Kto jesteś? — zapytał Konjan Bebe.

— Jestem Niemiec, a naród mój nigdy nie podnosił broni przeciwko potężnemu plemieniu Tupinambasów.

— Kłamiesz! — zawołał groźnie kacyk — jesteś Portugalczyk niegodziwy i łgarz, jak oni wszyscy. Nienawidzę tych łotrów, a głównie dlatego, że mięso ich łykowate i chude. Zjadłem już pięciu i cie-

kawy jestem, czy ty nie będziesz smaczniejszy od tamtych?

Milczałem przerażony. Trwoga moja znać ucieszyła dzikiego ludożercę, gdyż przystąpił do mnie bliżej, a uderzywszy ręką po ramieniu, zapytał, bystro wpatrując się w oczy:

— Czy znacie moją potęgę, biali rozbójnicy?

— Wiemy, że jesteś panem na całem wybrzeżu i w głębi lasów.

—Ojcowie moi byli daleko potężniejszymi, ale odkąd wasze skrzydlate domy ukazały się na naszych brzegach, tysiące moich braci zginęło ze zdradzieckich rąk twoich ziomków. Ale zemszczę się straszliwie, i Konjan Bebe póty nie złoży wojennej siekiery, dopóki wszystkich Portugalczyków nie pożre i nie uwolni ziemi ojców od białej plagi.

Wyrzekłszy te słowa, odwrócił się ode mnie, a natychmiast dwóch dzikich pochwyciło mię i odprowadziło do jednej z chat, przeznaczonej na moje więzienie. Niedługo potem wszedł Yperu Wassu i rzekł mi przyjaźnie:

— Nie lękaj się, jeszcze dwa księżyce żyć będziesz, zanim nadejdzie wielka uroczystość bogów zemsty.

Przez dwa miesiące blisko zostawiono mię w spokoju. Nic nie robiłem, a karmiono mię bardzo troskliwie, abym utył i nabrał delikatnego smaku. Dzicy obchodzili się ze mną z pewnem uszanowaniem, nie przez życzliwość, ale dlatego, że przeznaczony na stół

kacyka kacyków byłem dla nich czemś świętem i nietykalnem.

Nareszcie zbliżyła się fatalna uroczystość. W wigilję tego dnia Indjanie ukąpali mię w rzece i całe ciało jakimś wonnym balsamem natarli. Wieczorem wyprowadzono mię na łąkę, wśród której kręgiem całe pokolenie stanęło. Znajdowałem się w samym środku. Bliskość śmierci i myśl o straszliwych mękach, które miałem nazajutrz wycierpieć, napełniały moją duszę niewypowiedzianym smutkiem. O mój Boże! dlaczegóż porzuciłem ojczystą strzechę; nie lepiejże cierpieć w domu nędzę, aniżeli w odległym kraju tak okropnie zakończyć życie? Jak w każdem strapieniu tak i teraz zwróciłem serce do Boga i, odmawiając w myśli modlitwy, wpatrywałem się w księżyc.

Dzicy zadziwieni tem, wskazali mię Konjanowi, który przystąpiwszy, zapytał:

— Dlaczego tak pilnie patrzysz w nocnego bożka?

— Bożek nocny jest bardzo rozgniewany na lud Tupinambasów.

Kacyk, lubo śmiały, zadrżał jednak na te słowa; pokrywając przecież swe wzruszenie, rzekł:

— I dlaczegóż bóstwo gniewa się na swych ulubieńców?

— Ponieważ chcą zamordować i pożreć białego, który im nic nie zawinił, i należy do narodu przyjaznego ludziom czerwonym. Widzę, iż wkrótce ukryje

się w czarne chmury, ażeby już nigdy więcej nie okazać wam swego oblicza.

Mowa ta, wypowiedziana poważnie, wielkie zrobiła wrażenie na dzikich; nie przypuszczali oni, ażebym odważył się kłamać. Konjan Bebe rozkazał mię odprowadzić nazad do więzienia, a uroczystość odłożono do nieoznaczonego czasu.

Od tego wieczoru Indjanie obchodzili się ze mną nietylko daleko łagodniej, ale z jakiemś bojaźliwem uszanowaniem, mniemając, że zostaję z związku z bóstwami. Wkrótce znaczenie moje powiększyło się jeszcze, gdy w czasie wybuchłej epidemji jeden z wodzów uległ chorobie, a gdy ta doszła do najwyższego stopnia, rozkazał mię przywołać i przyrzekł uroczyście, że wyprosi życie moje u króla, jeżeli za pośrednictwem mojej modlitwy odzyska zdrowie. Padłem na kolana i modliłem się ze łzami, błagając Pana Wszechmocnego, ażeby jemu zdrowie a mnie życie przywrócił. Prośby moje pokorne zostały wysłuchane: dziki powstał z łoża, a na jego prośby Konjan Bebe pozwolił mi zamieszkać w jednej chacie z owym wodzem, który mię pieścił, jak własnego syna. Od tej chwili było mi bardzo dobrze pomiędzy Indjanami. Te same kobiety, które przed pięciu miesiącami groziły mi rozszarpaniem, teraz obdarzały mię różnemi przysmaczkami, prosząc tylko, abym im sny tłumaczył; inne przychodziły, żądając, abym się modlił za ich chorych mężów lub dzieci; jednem słowem byłem uważany za świętego męża. — Z tem wszystkiem jednak dręczyły mię dwie rzeczy: tęsknota do swo-

ich i obawa, bo Konjan Bebe, chociaż nie nastawał teraz na moje życie, mógł jednak, upiwszy się, nabrać nagle chętki do zabicia mię i pożarcia, a w tamim razie ani prośby, ani największe starania nie zdołałyby mię uratować od śmierci. O ucieczce nie podobna było zamarzyć, a Indjanie nie myśleli wcale uwalniać człowieka, który podług powszechnego mniemania był im bardzo użyteczny.

W miesiąc później Tupinambasowie stoczyli zajadłą walkę z pokoleniem indyjskiem nieprzyjaznem i pochwycili kilku jeńców, pomiędzy którymi znajdował się także Portugalczyk. Gdy wojownicy powrócili z wyprawy, rozpoczął się straszliwy wrzask, przejmujący mię dreszczem, bo sobie przypomniałem ową chwilę, kiedy mię przyprowadzono do wsi indyjskiej.

Następny dzień naznaczony został na pożarcie jeńców: przez całą noc robiono przygotowania do tej piekielnej uczty, a wrzawa i nieustanne ryki mężczyzn i kobiet nie dozwoliły mi ani na chwilę zmrużyć powiek. Drżałem, lękając się, ażeby widok krwi nie rozjuszył Tupinambasów i nie zachęcił do zamordowania i mnie także, a z drugiej strony płakałem nad losem nieszczęśliwego brata Europejczyka, mającego zginąć śród mąk straszliwych, któremu nie mogłem dać najmniejszej pomocy.

Równo ze świtem zabrzmiały bębenki indyjskie, zrobione ze skóry rozpiętej na wielkich wydrążonych tykwach, i dał się słyszeć smutny odgłos fletów wydrążonych ze trzciny.

Wyprowadzono mię z chaty i postawiono tak, abym się wszystkiemu mógł dobrze przypatrzyć. Yperu Wassu przybliżył się ku mnie i rzekł:

— Niech się jeniec przyjrzy, jak będzie umierała blada twarz i trzej wodzowie Tupinkiów, i niechaj się modli do swego wielkiego Ducha, aby mu dał taką śmierć zaszczytną.

— Bodajeś połknął twoje życzenia — mruknąłem po niemiecku, a dziki, wziąwszy te słowa za jakąś przyjazną odpowiedź, ścisnął mię za rękę i odszedł.

W pośrodku osady stały rzędem wkopane cztery słupy, do których mieli być przywiązani wojownicy schwytani; przed temi słupami znajdował się dół wyłożony kamieniami, w dole tym były łuczywa smolne i mnóstwo chróstu, a nad niemi umocowano kocioł, napełniony olejem wyciśniętym z ziarn palmy Chrystusowej.

Rozmaite narzędzia do zadawania mąk porozkładano u podnóża słupów: były tam noże, strzały, oszczepy i obcęgi, słowem cały arsenał okrucieństwa.

Poprzed słupami, na pochyłości wzgórza, którego szczyt zajmowała chata Konjana Bebe, siedzieli w półkole znakomitsi wodzowie Tupinambasów. Ciała ich pomalowane były czerwoną ochrą, a na tem tle rozmaite zygzaki czarne nadawały im postać szatanów. Czuby włosów na szczycie głowy przybrane mieli w czerwone pióra papug, a pomiędzy temi sterczało jedno czarne, ogromne, ze skrzydła kondora. Ko-

bioty miały twarze ubarwione na czarno, gdyż im nie było wolno używać koloru czerwonego, należnego wojownikom.

Indjanie siedzieli w kuczki, mając brody wsparte na dłoniach, a łokcie spoczywające na kolanach. Sam tylko Konjan Bebe stał w pośrodku, a z oczu jego błyskała wściekłość, w ręku trzymał maczugę, strojną w pióra i rzemienie.

Poza kręgiem wojowników rozstawiło się tysiące Indjan; byli to zwyczajni wojownicy, dzieci i niewiasty, a cały tłum tupał niespokojnie i wydawał straszne okrzyki.

Nagle Konjan skinął maczugą, a na ten znak uciszyła się zgraja. Zdaleka zabrzmiały bębenki, muszle wydrążone i flety; była to muzyka żałobna, lecz zarazem dzika i przerażająca.

Z gęstwiny ukazał się orszak pogrzebowy. Na czele szedł czarownik, niby kapłan bożyszcz indyjskich. Miał on na głowie łeb jaguara, tygrysa brazylijskiego, którego skóra spadała mu na barki, w jednej ręce trzymał bębenek ze skóry ludzkiej, napiętej na tykwie, w drugiej włócznię długą, u której wisiało kilkanaście czupryn ludzkich. Na szyi miał łańcuch złożony z drobnych kosteczek i zębów pobitych nieprzyjaciół; do skóry przymocowano wypchane węże, jaszczurki i nietoperze, a na samym szczycie głowy niósł pęk piór szkarłatnych. Niepodobna opisać, jakie na mnie zrobiła wrażenie ta postać straszna i zarazem ohydna.

Za czarownikiem postępowało kilkunastu dzi-

kich w wysokich koronach z piór; jedni trzymali bębenki, uderzając w nie co chwila paleczkami, drudzy dęli w flety trzcinowe, inni wreszcie przygrywali na konchach. Za nimi szedł oddział zbrojnych wojowników, a w środku czterej jeńcy: pierwszy Portugalczyk, obdarty całkiem z odzieży, a następnie więźnie indyjscy, wystrojeni po swojemu jakby do boju. Na twarzach ich malowała się spokojność i powaga, postępowali śmiało i rzucali na swych katów spojrzenia obrażające, jak gdyby ich wyzywali do walki.

Orszak szedł krokiem powolnym i zatrzymał się przed obrzydliwem bożyszczem, wyrzezanem z drzewa, podobnem do tego, przed jakiem mnie pół roku temu stawiano; wszyscy upadli na twarz, a czarownik zawołał:

— O, wielki Mango, objaw nam swoją wolę!

I znów jak wtedy z paszczy bożka wyszła odpowiedź — snadź bożek był wewnątrz wydrążony, a w środku siedział jakiś oszust ukryty, który zawołał, udając wyrocznię:

— Wszyscy mają być pożarci, zanim słońce dojdzie najwyższego szczytu!

To miało znaczyć, że nieszczęśliwi mają być zamordowani, nim nadejdzie południe.

Na te słowa cały tłum zaryczał z wściekłością: Konjan Bebe wzniósł w górę maczugę, i znów głuche nastąpiło milczenie; kilkunastu czarno pomalowanych starców rozpaliło pod kotłem ognisko, chłopcy znosili chróst, aby płomienie coraz bardziej podsy-

cać. Wojownicy prowadzący jeńców przywiązali ich do słupów za nogi, w ręce zaś podali im siekiery, ażeby się mogli bronić. Europejczyk nie przyjął siekiery, ale podniósłszy oczy w górę, począł śpiewać psalm pokutny.

Widok ten i śpiew męczennika przepełnił żałością serce moje. Nie mogłem wstrzymać się dłużej, a nie zważając, co z tego wyniknąć może, poszedłem śmiało ku monarsze indyjskiemu, a skłoniwszy mu się do samych nóg, zawołałem:

— Wielki wodzu potężnego ludu Tupinambasów — ulituj się i nie odbieraj życia białemu człowiekowi, a Bóg ci to sowicie wynagrodzi.

Konjan surowo spojrzał na mnie, a potem zwróciwszy się ku swoim wojownikom, rzekł:

— Blady mąż śmiał uroczystość wielkiego Mango znieważyć, niechaj go pochwycą i zabiją razem z czterema jeńcami.

Zanim zdołałem się obejrzeć, już mię porwało czterech dzikich i krępowało mi ręce wtył, podczas gdy inni wkopywali słup piąty, a tak zamiast dopomóc memu współplemiennikowi, sam dostałem się w moc tych szatanów.

Wszystko było gotowe do rozpoczęcia męczarni. Lecz Indjanie mają zwyczaj przed zadaniem śmierci namawiać jeńców, aby przeszli do nich i pomnożyli szeregi wojowników. Konjan więc poszedł ku Portugalczykowi przywiązanemu do pierwszego słupa i rzekł poważnie:

— Tupinambasowie wiedzą, że wódz białych

jest odważny, i nie chcą odbierać życia tak walecznemu wojownikowi. Niechaj więc zaprzysięgnie wierność wielkiemu Mango i niechaj zapali fajkę przymierza z wojownikami Tupinambasów, a oni kochać go będą i dadzą mu za żonę jedną z swych córek. Niech wódz białych podda się próbom męki, aby okazał, że gardzi głodem, umie znosić boleść ognia i ostrza nożów, któremi natną mu wargę, aby w niej zielony umieścić kamień; niech okaże, że nie lęka się śmierci, a całe plemię opiewać będzie jego męstwo, i uczynią go jednym ze swoich wodzów.

Zamiast odpowiedzi Portugalczyk śpiewał:

»Z głębokości wołam do Ciebie, Panie,
»Panie, wysłuchaj głosu mego« i t. d.

— Czy chcesz wziąć wojenną siekierę?—mówił dalej Konjan — czy będziesz wojował z nami przeciw niegodziwym twym braciom, którzy zabijają białych Tupinambasów?

Biały śpiewał dalej psalm, nie patrząc nawet na wodza indyjskiego.

— Wojownik blady — mówił dalej Konjan, zapalając się coraz bardziej — wojownik blady zamyka swe uszy na przyjazną mowę wodza wodzów, i zamiast mu odpowiedzieć, śpiewa swój hymn bojowy.

Portugalczyk nie przestawał modlitwy.

— Więc nie przyjmujesz naszej ofiary! — krzyknął wściekle wódz indyjski. — Śmierć białemu!

— Śmierć, śmierć! — zawołały rozjuszone tłumy.

i rozjątrzony jak tygrys Konjan strzaskał nieszczęśliwemu czaszkę.

Wojownicy indyjscy poskoczyli ku zamordowanemu i poczęli chleptać krew płynącą z rany, poczem, podzieliwszy między najstarszych wodzów mózg, powlekli ciało i oddali je Indjanom czarno umalowanym, którzy zaczęli je piec nad rozniecionem ogniskiem.

Następnie dwóch Indjan przystąpiło do drugiego słupa, do którego był uwiązany jeden z wodzów tupinikińskich. Dzielny ten wojownik, mając ręce wolne, walecznie starł się z nieprzyjaciołmi i jednemu zadał ciężką ranę; pomimo to uległ wkrótce pod przewagą dwóch wrogów i padł trupem, a zwłoki jego, podobnie jak Europejczyka, powleczono do ognia.

Już tylko dwóch jeńców oddzielało mię od nielitościwych katów; modliłem się gorąco, polecając duszę Bogu.

Drugi Indjanin jeszcze dzielniej wytrzymał walkę, z dwóch przeciwników jeden zginął, drugi ciężko raniony musiał plac boju opuścić. Sądziłem, że cała horda rzuci się na niego, aby pomścić śmierć brata, lecz stało się całkiem przeciwnie.

Konjan Bebe na czele najznakomitszych wodzów udał się ku przywiązanemu jeńcowi i, stanąwszy naprzeciwko niego, zaczął śpiewać hymn wojenny na cześć walecznego nieprzyjaciela, wychwalając jego męstwo; następnie własną ręką rozciął krępujące go łyka i zaprosił go do grona naczelników indyjskich. Potem zapalił fajkę, a pociągnąwszy kilka dymów,

podał ją w ręce Yperu Wassu, a kiedy obeszła wszystkich, wręczył ją wodzowi nieprzyjacielskiemu i rzekł do niego:

— Niech waleczny Sunya Krów przyjmie tę fajkę w upominku od Konjana Bebe, wodza wodzów, i niech odtąd ostrza siekier i groty strzał wojowników odwrócą od siebie, a gałązka zielona połączy wiecznym pokojem dwóch strasznych nieprzyjaciół.

Sunya Krów przyjął z wielką powagą ofiarowaną fajkę, a urwawszy gałązkę powoju, rozdzielił jej listki między nieprzyjacielskich wodzów. Tak przymierze zostało zawarte.

Pozostawał jeszcze jeden jeniec indyjski.

Dziki ten jednak, zamiast brać przykład z męstwa swych poprzedników, za zbliżeniem się nieprzyjaciół począł drżeć na całem ciele i nie myślał wcale o oporze.

Na widok ten rozległ się głuchy szmer między widzami, który wkrótce zmienił się w wściekłe ryki.

Ustąpili dwaj wojownicy, a na znak dany przez Konjana, gromada niewiast, uzbrojonych w noże, rzuciła się ku nieszczęśliwej ofierze. Zaczęły się okrutne męczarnie, których nawet opisywać nie chcę, albowiem dusza wzdryga się na ich wspomienie. Trwało to przez kilkanaście minut, nakoniec wódz Tupiników poszepnął coś Konjanowi, a gdy ten skinął głową, Sunya Krów poskoczył ze swego miejsca i, rozepchnąwszy rozżarte baby, zatopił nóż w piersiach trwożliwego współziomka.

Trupa powleczono na bok i oddano na łup niewiastom, wrzeszcząc:

— Wojownik Tupiników miał w krzepkiem ciele serce niewieście, niechaj go więc pożrą kobiety, aby mięsem swojem nie wniósł tchórzostwa w ciała walecznych.

Teraz nadeszła kolej na mnie. Już byłem pewny, że za chwilę stanę przed najwyższym Sędzią, gdy wtem zaszła okoliczność, zmieniająca zupełnie stan rzeczy.

W chwili, gdy palono fajkę pokoju, horyzont począł się zaciemniać, czarne chmury zaległy przestwór niebieski; burza zbliżała się szybkim krokiem. Już grzmot huczał zdaleka, kiedy męczono ostatniego jeńca, a w chwili, gdy dwaj oprawcy zbliżyli się ku mnie dla stoczenia śmiertelnej walki, ognisty wąż rozdarł niebo, rozległ się huk straszliwy, a piorun, uderzywszy w chatę Konjana, ogarnął ją morzem płomieni.

Indjanie jękami napełnili powietrze.

Wśród ogólnej wrzawy wódz indyjski nie stracił przytomności, lecz dał znak groźną maczugą, ażeby się wszyscy uciszyli, i zawołał:

— Potężne Bóstwo białych nie chce, aby blada twarz padła pod ciosami Tupinambasów, i w gniewie swoim ugodził ognistą strzałą w chatę wodza wodzów. Niechaj więc waleczny wojownik białych zachowa swe życie i pojedna swe Bóstwo z plemieniem czerwonych.

To rzekłszy, przystąpił do słupa i porozcinał

więzy, poczem wojownicy indyjscy podnieśli mię na barki, wydając okrzyki na cześć moją, w tym samym czasie lunęły potoki deszczu i zagasiły pożar, przez co znaczenie moje jeszcze się więcej podniosło.

Tak więc po raz drugi cudem uniknąłem śmierci. Bóg miłosierny nie opuścił swego mizernego sługi. Sunya Krów po uczcie ludożerczej został uwolnioniony i odprowadzony śród okrzyków aż do granic posiadłości Konjana.

Od owej chwili, która do ostatniej godziny życia pozostanie w mojej pamięci, upłynęło jeszcze parę miesięcy do mego oswobodzenia. Przez cały ten czas doznawałem od dzikich niemal takiego samego uszanowania jak sam Konjan Bebe. Wojownicy po każdej wyprawie składali mi część łupów; stare niewiasty nazywały mię swoim najukochańszym synem; ze wszystkiego atoli pokazywało się, że nie myśleli mię wcale uwolnić. Dzicy uważali mię za mogącego bardzo wiele u Pana Boga, sądzili więc, że dopóki między nimi będę zostawał, Bóg chrześcijan zachowa ich pod swoją opieką. Dozwalano mi przechadzać się po całej osadzie, a nawet w przyległych lasach, ale zawsze kilku Indjan szło opodal i strzegło mych kroków, a tak o ucieczce nie mogłem nawet marzyć. Życie takie stało się dla mnie nieznośne, i gorąco prosiłem Stwórcy, aby mię z rąk Tupinambasów uwolnił. Jednego dnia Konjan Bebe, wybierając się w podróż, kazał mię przywołać i rzekł:

— Wielka łódź skrzydlata stanęła u brzegów; znajdują się na niej Francuzi; wódz czerwonych pozwala wojownikowi białemu, ażeby udał się nad morze i ucieszył ze swymi braćmi.

Podziękowałem kacykowi, a w godzinę potem ruszyliśmy w dwudniową podróż, którą wszyscy, nie wyjmując nawet indyjskiego królika, odprawiali piechotą, mnie tylko na noszach transportowano, może przez uszanowanie, a może dlatego, żebym nie uszedł.

Kiedyśmy stanęli na miejscu, kapitan statku wysiadł na brzeg, a spostrzegłszy mię, zaczął się wypytywać, jakim sposobem dostałem się w moc Indjan. Opowiedziałem mu wszystkie moje nieszczęsne przygody. Zacny ów Francuz, nie tak jak niegodny jego współziomek, zaczął mię pocieszać, poczęstował szklanką wina; zapewnił, że wkrótce zakończy się moja niewola, i rozkazał majtkom, aby mię zaopatrzyli w ubiór, gdyż byłem nagi jak dzicy.

Na drugi dzień rano, Konjan Bebe został zaproszony na okręt wraz z żoną i czterema naczelnikami indyjskimi i ze mną. Skorośmy przybyli, zastawiono stół, nie szczędząc jadła i wina. Po obiedzie zaprowadzono Indjan na pokład, gdzie znajdowały się rozłożone podarki dla króla i jego podwładnych. Konjan był z nich niezmiernie zadowolony i ofiarował wzamian kapitanowi francuskiemu rozmaite płody swej ojczyzny, między któremi znaj-

dowało się kilka diamentów, przenoszących stokrotnie wartość towarów podarowanych dzikim.

Kiedy zamiana szła w najlepsze, a obie strony oświadczyły sobie uczucia przyjaźni, nagle ze trzydziestu majtków, uzbrojonych w szable i muszkiety, wpadło na pokład i, zwróciwszy broń przeciwko kapitanowi, domagało się mego uwolnienia.

Napróżno kapitan tłumaczył im, że jestem własnością Konjana Bebe, zuchwali majtkowie wołali, że jeżeli mię nie uwolni, natychmiast zamordują go.

— Cóż brat mój na to mówi? — zapytał kapitan wodza indyjskiego — majtkowie moi chcą odebrać swego brata, a przyjaciel potężnego wodza Indjan nie ma sześćdziesięciu ramion jak oni, lecz tylko dwa, i nie może bronić własności potężnego Konjana Bebe.

— Niechaj mój brat biały przywoła Tupinambasów z brzegu, a oni ukarzą nieposłusznych.

Majtkowie usłyszawszy to, powiedzieli kapitanowi, że jeżeli odważy się zawezwać pomocy dzikich, zamordują go natychmiast. Wtedy kacyk indyjski rzekł do majtków:

— Król królów ludu czerwonego, dla ocalenia życia swemu przyjacielowi, daruje Francuzom swego niewolnika bladego, niechaj go wezmą z sobą.

Majtkowie wydali okrzyk na cześć wodza, a sternik, wystąpiwszy naprzód, zawołał:

— Mężny Konjanie, przyjmij za twą dobroć w podarunku tę skrzynkę. — To rzekłszy, skinął,

i dwaj majtkowie postawili u stóp wodza skrzynię, w której znajdowały się: wojenny topór, tuzin siekier i ze dwa tuziny wielkich nożów.

Kacyk ucieszył się niezmiernie z tego podarunku, a następnie, obróciwszy się do mnie, zaczął łzy wylewać i mówił poważnym głosem:

— Idź, synu mój, z braćmi twymi ku wschodowi słońca, lecz niechaj w duszy twej pozostanie pamięć gościny u Tupinambasów, a jeżeli kiedy źle ci będzie w swojej chacie rodzinnej, jeżeli ci zabraknie kassawy, ryb i zwierzyny, wracaj do nas, a będziemy cię witali pieśniami i wybudujemy dla ciebie chatkę.

I począł mię ściskać, a żona uklękła przy mych nogach i oblewała ręce moje łzami, nazywając mię najukochańszym synem. Nakoniec Indjanie wsiedli do swych łodzi, a ja, ucieszony niespodziewanem uwolnieniem, upadłem na kolana i dziękowałem Bogu za oswobodzenie.

Kiedyśmy podnieśli kotwicę, kapitan objaśnił mię, iż ze swoimi ludźmi całą tę komedję ułożył, ażeby dzikich nie obrazić, a mnie uwolnić. Podziękowałem mu serdecznie i ofiarowałem się wzamian służyć przez całą podróż na jego statku jako artylerzysta.

Żegluga nasza nie odbyła się bez przypadku; na trzeci dzień rano ujrzeliśmy okręt portugalski i musieliśmy z nim stoczyć bitwę. Zwycięstwo nam posłużyło; statek nieprzyjacielski, ciężko uszkodzony, zaledwie zdołał ujść niewoli; ja opłaciłem jednak wy-

graną ciężką raną, z powodu której przez czas żeglugi leżałem w hamaku. Może mię też Pan Bóg ukarał za to, że walczyłem przeciwko dawnym moim sprzymierzeńcom.

Nakoniec, po trzechmiesięcznej żegludze dnia 22 lutego 1555 roku zarzuciliśmy kotwicę w porcie Honfleur, leżącym w prowincji francuskiej, zwanej Normandją. Odpocząwszy przez kilka dni w tem mieście, wsiadłem na okręt angielski, na którym dostałem się do Londynu, a stamtąd na statku holenderskim do Antwerpji«.

Na tem Jan Staden kończy swoje opowiadanie.

Powróciwszy do ojczyzny, wydał opisanie swych przygód, które z niezmiernem zajęciem było czytane. W owych bowiem czasach nie było ani pism perjodycznych, donoszących wciąż wiadomości ze wschodnich części świata, ani też ciekawych książek, obznajmiających z obyczajami odległych ludów czytelnika, nie wyruszającego nigdy z zakątka rodzinnego.

Doznawał też nasz podróżnik wielkiego poważania u swych współziomków, którym się wydawało, że nadzwyczajnych rzeczy dokazał, i którzy odbycie podróży do Brazylji i pobyt pomiędzy ludożercami za nierównie większą rzecz uważali, aniżeli my podróż z Ameryki do Europy balonem odbytą.

ROZBITKI.

I.

Przed kilkudziesięciu laty żyła w Batawji, stolicy posiadłości holenderskich, na wyspie Jawie, zacna, dobra i szczęśliwa rodzina angielska.

Pięć osób ją składało; rodzice młodzi jeszcze i troje dzieci, z których najstarsza Sara liczyła lat 14, młodsza Nelly lat 10, a najmłodszy syn Jerzy zaledwie dziewiątego roku dochodził.

Sir John Woodburne, ojciec, pochodził z znakomitej, lecz niezbyt bogatej rodziny, a jako syn młodszy musiał, wedle praw angielskich, ustąpić całego spadku po rodzicach starszemu bratu. Całem jego majątkiem było błogosławieństwo rodzica, mały zasób gotowizny, dobra głowa, niezmierna chęć do pracy i żelazna wytrwałość. Ożenił się młodo, z panienką nader miłą, która wniosła mu jeden z najpiękniejszych posagów, to jest czystość serca i zamiłowanie cnoty i pracy. Oboje przy silnej woli, pracując szczerze, dorobili się sporej sumki. Sir John powziął zamiar przeniesienia się do Batawji, gdzie nierównie łatwiej ma-

łemi pieniędzmi można było robić korzystne handlowe interesy, jak w samej Anglji.

Po kilku latach mozolnych zabiegów majątek Johna wzrósł znacznie, a parę szczęśliwie dokonanych spekulacyj uczyniło go jednym z najbogatszych osadników w Batawji. Zdawało się, że nic im teraz nie brakuje do szczęścia. Otoczeni wszelkiemi wygodami, kochający się tkliwie, zajmowali się jedynie wykształceniem ukochanych dziatek. Pomyślność jednak ziemska jest nader nietrwała i znikoma, i zawsze należy być przygotowanym na cios, który lada chwila, a najprędzej wtenczas, gdy najszczęśliwsi jesteśmy, uderzyć może. Wkrótce też rodzina Woodburnów doznała najokropniejszej doli.

Straszna zaraza, zwyczajna w tamtych stronach, a zwana żółtą febrą, nawiedziła Batawję. Jedną z najpierwszych jej ofiar była pani Woodburne. Zrażony tym ciosem niespodziewanym ojciec, lękając się o życie ukochanych dziatek, umyślił na zawsze porzucić złowrogą ziemię, groźną zabójczym klimatem. Sprzedał więc plantacje, odstąpił swe zakłady fabryczne i interesy bankierskie nowym przybyszom, a zabrawszy dzieci i najmilsze mu pamiątki dawnego szczęścia, wsiadł na okręt odpływający do Portsmouth.

Żegluga morska nie była w owych czasach ani tak prędka, ani tak bezpieczna, jak dzisiaj. Cudowna potęga pary nie opanowała jeszcze wówczas burzliwych fal oceanu. Podróż statkami żaglowemi, zależącemi od kaprysu wiatru lub groźnej ciszy morskiej, była długa i męcząca, zwłaszcza też dla małych dzia-

tek. Nic dziwnego, że Sir John wsiadł na okręt z bijącem sercem i tajemną trwogą w duszy. Jedyne swe skarby, troje lubych dzieci, powierzał rozhukanemu żywiołowi; od śmierci oddzielała je tylko ściana desek, a pierwszy lepszy huragan, lub hak pod powierzchnią fal ukryty, mógł pochłonąć na wieki całą nadzieję stroskanego ojca.

Jedyną pomocą w tej podróży i ulgą w trwodze była dlań Miss Skott, guwernantka dzieci: ta zastępowała im matkę o tyle, o ile obca osoba jest w stanie matkę zastąpić. Biedne sieroty często, w dniach smutku i żalu za ukochanym i straconym aniołem, w jej objęciu znajdowały ulgę, ona ich łezki ocierała, ona rozmaite z niemi o matce prowadziła rozmowy, przywodząc im na pamięć każde jej słowo, każdą przestrogę, każdą pieszczotę. Miss Skott nie była ani młoda, ani piękna, ale bardzo miła i dobra. Srebrny włos, przebijający gęsto przez ciemne kędziory, nadawał jej powagę, a słodkie słowa pociągały młodociane serduszka. Cóż dziwnego, że dzieci bardzo pokochały guwernantkę, a ojciec pod tym względem przynajmniej był spokojniejszy.

O świcie, w dniu przeznaczonym na odjazd, cała rodzina wraz z ochmistrzynią udała się na cmentarz, gdzie spoczywały zwłoki matki. Każde, pomodliwszy się do Boga, urwało po kwiatku, zabrało po bryłce ziemi na pamiątkę, zostawiając wzamian perły łez na upominek najdroższej istocie, któremi obficie jej grobowiec skropiło.

Ojciec i dziatki rzucili się na zimny kamień

i długo, długo przyciskali go do ust rozpalonych. Wtem wystrzał z działa dał im znać, że nadeszła chwila rozstania. Głośny płacz wydarł się z piersi dziatek. Nakoniec, jak wszystko na świecie, tak i pożegnanie musiało się skończyć; wszyscy pośpieszyli do portu, a za chwilę okręt rozwinął żagle, ażeby na zawsze porzucić zabójcze wybrzeża Jawy.

II.

Okręt, na którym jechali do Europy, zwał się Eagle (orzeł). Słusznie nosił tę nazwę, albowiem lekka jego budowa zupełnie jej odpowiadała. Kadłub wysmukły i zgrabny nie zanurzał się głęboko, czyli, wedle wyrażenia marynarzy, nie wiele brał wody. Wysmukłe, nadzwyczaj wysokie, a stosunkowo cienkie maszty, dźwigające mnóstwo żagli, czyniły go więcej podobnym do brygantyny korsarskiej, aniżeli do pocztowego statku. To też gdy wiatr pomyślny a niezbyt mocny dozwolił rozpuścić wszystkie żagle na Orle, statek sunął się po falach morskich z nieporównaną szybkością, pędził lekko jak ptak, którego mianem go ochrzczono.

Osada zwinna i karna, gotowa na najmniejsze skinienie kapitana spełnić jak najściślej jego rozkazy, odważna aż do szaleństwa, niemałą otuchą napełniała strwożone serce ojca. Rodzina Woodburne zajmowała jedno z najpiękniejszych mieszkań okrętu. Miljoner zapłacił z chęcią drogo za przewóz, byle tylko uko-

chanej rodzinie nie zbywało na wszelkich wygodach. Obszerny, jak na statek, salonik mieścił w sobie fortepian, obrazy, kwiaty i wykwintne umeblowanie, ponad salonikiem znajdował się pokoik, mieszczący parę szaf napełnionych doborowemi dziełami dla młodocianego wieku, kilka wygodnych, zawieszonych u pułapu foteli, aby osoby czytające nie doznawały wstrząśnień statku. W pośrodku okrętu, gdzie najmniej kołysanie uczuć się dawało, zawieszono łoża miękko usłane. Nie brakło i ptasząt ładnie śpiewających, zamkniętych w przepysznych klatkach. Dwie figlarne maleńkie małpeczki igraszkami swemi rozpędzać miały nudy podróży. Zapasy zaś żywności, wykwintnie i troskliwie wybrane, zabezpieczały rodzinę przez czas długiej podróży od używania zwykłej strawy żeglarskiej, od nieznośnego solonego mięsa, fasoli i sucharów.

Tkliwą opiekę troskliwego ojca w najmniejszej drobnostce łatwo było poznać, to też dziatki, a osobliwie starsza i rozsądniejsza Sara, dziękowały mu ze wzruszeniem, że tak o wszystkiem pamiętał, że starał się wszelkiemi siłami zatrzeć w ich umyśle wrażenia nudnej i jednostajnej podróży i trudów z nią połączonych. Nelly tymczasem, z wyższą nad swój wiek uwagą, rozpatrywała wszystko, ażeby zapamiętać, gdzie się co znajduje, i na każde skinienie ojca usłużyć; mały zaś Jerzy jak iskra biegał po wszystkich kątach, zaczepiał ptaszki, darł się z małpkami i nie posiadał się z radości, że płynie na okręcie.

Najdrobniejszy szczegół na statku zajmował go niezmiernie, męczył kapitana wciąż zapytaniami: na

co są działa? jak się nabijają? do czego służą kotwice? naco reje? poco majtkowie drapią się na maszty? jak się wyciąga flaga na szczyt masztu? co na niej namalowano? naco jest na statku kompas i igła magnesowa? jakim sposobem kieruje się okręt? jak można z wiatru bocznego korzystać, ażeby płynąć prosto przed siebie? i tysiące podobnych zadawał mu pytań. Kapitan, człowiek dobry i lubiący dzieci, o ile mu tylko dozwalał czas, chętnie we wszystkiem Jerzego objaśniał, i zachwycała go nawet żywość i ciekawość dziecka, tem więcej, że ani jedno z tych pytań niedorzeczne nie było.

Zwykle wieczorem zgromadzała się cała rodzina w bibljotece, gdzie obsiadłszy stół dokoła, słuchano z uwagą Sary, czytającej ciekawe rzeczy. Nelly zatrudniała się jakąś robótką. Jerzy zwykle rysował różne przedmioty, należące do okrętu, tak długo, dopóki znużenie nie wytrąciło mu z rąk ołówka. Wtedy udawali się na spoczynek do swych wiszących łóżek.

Pierwsze trzy dni żeglugi były dla nich nieznośne. Jakkolwiek dzieci wychowane w nadmorskiem mieście niejednokrotnie robiły z rodzicami wycieczki na morze, jednakże nie mogły one oswoić ich o tyle z kołysaniem okrętu, ażeby małych podróżników zabezpieczyć od choroby morskiej.

Lubo morze było spokojne, i okręt lekko fale przerzynał, jednakże biedne dzieci ucierpiały dosyć. Wkrótce atoli z ustaniem słabości wróciła rzeźwość i wesołość umysłu, a w tydzień potem zupełnie przyzwyczaiły się do nowego trybu życia.

Dziewiątego dnia podróży, gdy właśnie Orzeł znajdował się na wysokości wysp Małdywskich, około północy zerwał się silny wicher zachodni. Rodzina cała, przebudzona trzaskiem bełkowania okrętu i uderzaniem drzwiczek pokładowych, z przerażeniem porwała się na równe nogi.

Sir John, pragnąc się dowiedzieć, czy jakie niebezpieczeństwo zagraża okrętowi, wybiegł na pokład. Młodsze dzieci z trwogą tuliły się w objęcia Sary. Nelly głośno płakała. Jerzy zaś, chociaż chciał udawać mężczyznę, pobladł i trząsł się z trwogi. Co chwila uderzał grom straszliwy, szalony wicher dął z niepohamowaną gwałtownością, a w przerwach burzy słychać było świst piszczałki kapitana, zapomocą której wydawał rozkazy, oraz krzyki majtków, walczących z huraganem.

Ojciec wkrótce powrócił, uspokajając dzieci, iż to przemijająca burza; na jego twarzy jednak malowała się niespokojność. Poszedł do biurka, wyjął papiery i kosztowności, a umieściwszy je w wodotrwałym pugilaresie, zawiesił na piersiach; żadne z dzieci tego nie uważało, wyjąwszy Sary, której bacznemu oku nie uszedł żaden ruch ojca. Poznała, iż prawdziwe groziło niebezpieczeństwo, zadrżała nie o siebie, lecz o ojca i rodzeństwo.

Tymczasem burza wrzała wciąż z równą mocą. Okręt, miotany siłą fali, raz wybiegał na szczyt ogromnych bałwanów, to znów pogrążał się w przepaści, kołysanie było tak gwałtowne, iż podróżnicy nasi, aby nie upaść, musieli zająć swe łóżka. Choroba mor-

ska znów dzieci trapić poczęła, a biedny Sir John gorące myślą zasyłał modły do nieba i oczekiwał z utęsknieniem poranku, mając nadzieję, że wraz z nim potęga burzy zwolnieje. Zaświtał wreszcie dzień pożądany, lecz mimo to nie uspokoiła się nawałnica. Okręt pędził na wschód z niewypowiedzianą szybkością, pomimo, że wszystkie żagle zwinięto; deszcz lał jak z cebra, wicher ani na chwilę dąć nie przestawał. Sir John udał się powtórnie na pokład dla wybadania kapitana. Odważna Sara wysunęła się za nim i stanęła na stopniach, wiodących na górę z kajuty, pragnąc dowiedzieć się raczej najprzykrzejszej prawdy, niżeli w niepewności zostawać.

— Panie Favart — zagadnął Sir John kapitana — powiedz mi szczerze: czy jest jaka nadzieja ocalenia?

— Hm — odrzekł kapitan — byłem nieraz w gorszem położeniu, a udało się wyjść cało.

— Tak... lecz pan nie możesz za nic zaręczyć?

— Okręt mój jest silnie zbudowany, osada zręczna i odważna, reszta należy do Boga.

— W której stronie jesteśmy?

— Wiatr pędzi nas na wschód, przeszło 150 mil odbiegliśmy z naszego kierunku, jeżeli burza uspokoi się wkrótce, z łatwością odzyskamy straconą przestrzeń, jeżeli zaś przeciągnie się długo... naówczas...

— Okręt nie zdoła się oprzeć wichrowi? — zapytał niespokojnie John.

— Ba, gdyby nas burza zaskoczyła na Atlantyku, okręt mój nie lękałby się stawić czoła najgwał-

towniejszemu huraganowi, lecz tu, w pobliżu Nowej Gwinei, wśród tego morza zarosłego ławicami koralowemi, trzebaby mieć statek ze stali, aby...

Wtem trzask przeraźliwy zagłuszył słowa kapitana, który z największą szybkością puścił się ku przodowi okrętu.

— Co to jest? — zapytał z przerażeniem John przebiegającego majtka.

— Maszt przodowy strzaskany! — odrzekł.

— Usuń się pan! Usuń! jeżeli nie chcesz skąpać się w morzu — krzyknął ktoś zboku. Sir John cofnął się na schody kajuty, zatrzasnąwszy drzwiczki, a wtem ogromny bałwan przeleciał przez pokład pochylonego okrętu, zmiatając wszystko.

— Dzieci! — zawołał ojciec, wpadając do kajuty — odwagi! odwagi! może wkrótce okręt ulegnie rozbiciu, nie trwóżcie się, Bóg nas ocali, tysiące ludzi wyszło cało ze straszniejszych wypadków!

— Ojcze — rzekła spokojnie Nelly — nadzieja w Bogu, a jeżeli spodoba się Opatrzności, abyśmy umarli, czyż nie zobaczymy tem prędzej kochanej mamy?

— O, jabym się bardzo z tego ucieszył — dodał Jerzy — mama była taka dobra, taka śliczna.

Dwie łzy spłynęły po twarzy ojca, wyciśnięte słowami dzieci. Widząc to, Jerzy rzekł wesoło:

— Nie płacz, kochany ojcze, my nie umrzemy, alboż to nie umiem pływać wybornie; ty uratujesz Sarę, a ja wezmę na siebie Nelly, bo kobiety nigdy sobie radzić nie potrafią, co innego my, mężczyźni.

— Osobliwie też tacy, jak ty, mój wielki mężczyzno — zawołała, śmiejąc się, Sara — niech ojciec ratuje Nelly, ja wolę twoje silne ramiona, mój Herkulesie.

Słysząc te żarciki dzieci, Sir John uspokoił się nieco. Zdawało się, jakby i morze je usłyszało, gdyż zmniejszyła się nieco gwałtowność burzy, okręt jednakże pędził z niepohamowaną gwałtownością.

Tak przeszedł dzień cały, a po nim znowu nastąpiła noc długa. Słychać było tylko świst wiatru i skrzyp masztowania; od czasu do czasu drzwiczki i okiennice trzaskały, przerywając i tak już niespokojny sen naszych podróżnych. Nad ranem jeszcze zmniejszyła się nieco siła wichru. Sir John przebudzony z utęsknieniem wyglądał pierwszych promieni słońca, pełen nadziei, że się zbliża godzina ocalenia.

Nareszcie zabłysnął upragniony dzień, niebo zaczęło się wypogadzać, a ojciec, nie budząc dzieci, właśnie wybierał się wyjść na pokład, aby dowiedzieć się o położeniu okrętu, kiedy nagle rozległ się straszliwy łoskot, połączony z nader silnem wstrząśnieniem. Sir John, pomimo silnej budowy, nie mógł utrzymać się na nogach, a Sara wypadła z łóżka; ojciec zerwał się i pobiegł na górę, kędy panowało ogromne zamieszanie. Nikt mu odpowiedzieć nie chciał; usłyszał tylko te słowa złowieszcze: Okręt rozbity! Woodburne nie tracił odwagi, zbiegł natychmiast napowrót do kajuty, i nie tracąc na chwilę przytomności, rozkazał dzieciom wrzucić na siebie lekkie ubranie, poczem zbił naprędce tratewkę z desek, pozbiera-

nych u stóp tylnego masztu, i wyprowadził dzieci na pokład.

Wicher ucichł zupełnie, tylko wzburzone fale morskie z gwałtownością uderzały o boki okrętu. W oddaleniu widać było rysujące się na błękicie nieba wysokie góry.

— Siedem stóp wody! — zawołał utykacz szpar okrętowych — woda wdziera się trzema otworami, zatkać ich niepodobna, w największym tkwi odłam skały koralowej i wstrzymuje gwałtowność napływu.

— Spuszczać szalupę i czółno! — krzyknął kapitan. W mgnieniu oka spuszczono szalupę, kapitan zwrócił się ku tylnemu pokładowi, ażeby Sir Woodburne'a najprzód do niej wsadzić, ale zanim rodzina przebyła całą długość okrętu, już szalupa, przepełniona majtkami, odbiła od okrętu.

Rozgniewany tym postępkiem kapitan porwał tubę i krzyknął na uchodzących, aby natychmiast zwrócili, ale wobec niebezpieczeństwa śmierci karność wolnieje, więc i majtkowie, znajdujący się w szalupie, nie zważając wcale na rozkazy dowódcy, szybko robili wiosłami. Kapitan, nie posiadając się z gniewu, poskoczył ku działu, wycelował do szalupy, pochwycił lont, lecz w chwili, gdy miał wypalić, Sir John, wyrwawszy mu lont z ręki, rzucił na ziemię i zadeptał nogą.

— Panie! — krzyknął kapitan gwałtownie.

— Kapitanie — odparł zimno Anglik — nie dopuszczaj się niepotrzebnego okrucieństwa; wszyscy stoimy nad grobem, chęć zachowania życia targa

wszelkie węzły karności; lada chwila pochłonie ich wściekły żywioł, po cóż go uprzedzać.

W tej chwili ogromna fala dognała szalupę i pogrążyła w przepaściach morskich.

— Czółno na wodę! — zawołał dowódca.

Zaturkotały koła windy, brzęknął łańcuch, czółno przez chwilę zawisło w powietrzu i już kołysało się na rozhukanych bałwanach.

— Najprzód Sir Woodburne i dzieci! — krzyknął kapitan, odtrącając tłoczących się majtków.

Zrobiono przejście, lecz Anglik nie ruszył się z miejsca.

— Daruj pan — rzekł do kapitana — że nie korzystam z twej grzeczności, po wypadku z szalupą nie ufam czółnu i wolę moją tratwę.

— Jak pan chcesz — mruknął z urazą kapitan — wypełniłem mój obowiązek. — Infirmerja naprzód!

Sir John, przecisnąwszy się przez tłum majtków, przy pomocy kilku ludzi spuścił na morze tratwę wraz z dziećmi do niej przywiązanemi, a schwyciwszy wiosło, pomagał wątłemu statkowi przerzynać morskie fale.

Trudno wypowiedzieć trudy i cierpienia biednego ojca, pasującego się z strasznym żywiołem, starającego się nadać kierunek licho skleconej tratwie, zalewanej co chwila wodą. Dwadzieścia minut żeglugi wydały się dwudziestu godzinami. Z czterech piersi wzniosły się westchnienia do nieba, błagając o wzajemne ocalenie, i snadź Bóg wysłuchał tych wes-

tchnień, gdyż statek szczęśliwie dostał się do brzegu. Silny bałwan wyrzucił go na piasek, nadbiegł drugi i poniósł o kilka sążni dalej. Ojciec z szybkością myśli przeciął sznury, pochwycił dzieci za ręce i uchodził z niemi jak można było najprędzej w głąb wybrzeża z obawy, ażeby nowe wód natarcie nie uniosło uratowanych na pełne morze.

Nakoniec po wielkich usiłowaniach, brnąc po kolana w rozmiękłym piasku, dosięgli skały wyrastającej jak wieżyca z brzegu morskiego. Z wierzchołka jej widać było niezmierny obraz; ale na całym widnokręgu nic nie było widać oprócz nieba i wody. Ocean ciskał się gwałtownie, fale biły o piasek, okrywając się mleczną pianą; wicher dął z niepojętą siłą, pędząc kłęby białych obłoków na zachód.

— Ojcze, — rzekła Nelly — co to znaczy, że nie widzę wcale okrętu?

— Zapewne go już bałwany morskie pochłonęły.

— A czółno kapitana? — pytała Sara z niespokojnością — nigdzie go nie dostrzegam.

— W takiem wzburzeniu wód trudno, aby się je mogło na powierzchni dostrzec.

— A kapitan? — zawołał Jerzy — gdzie jest kapitan? Gdzie jest mój drogi przyjaciel?

— Uspokój się, któż wie, może go Bóg ocalił.

Wtem od morza dał się słyszeć przytłumiony krzyk.

Wszystkich oczy zwróciły się w tamtą stronę. Fale morskie miotały kawałem drzewa, do którego przyczepiony rozbitek wołał ratunku.

Bystre oko Sary rozpoznało płynącą osobę.

— To Miss Skott, nasza biedna guwernatka! — zawołała — ach, mój ojcze, jakże ją uratujemy!

W jednej chwili wszyscy czworo zbiegli ze skały, śpiesząc ku brzegowi, a ojciec, pomimo utrudzenia, postanowił rzucić się wpław na pomoc tonącej. Napróżno dzieci otoczyły go wieńcem rąk, błagając, ażeby nie narażał życia.

— Jakto, więc chcecie, ażebym dozwolił zginąć tej, co wam zastępowała matkę? Puszczajcie mię, Bóg będzie się mną opiekował.

Dzieci nie śmiejąc zatrzymać ojca, opuściły ręce. John rzucił się w wodę i po nadludzkich wytężeniach dopłynął do guwernantki.

— Trzymaj się pani drzewa, a za chwilę będziesz ocalona.

Opłynąwszy deskę, zaczął ją popychać ku brzegowi, gdy wtem biedna kobieta, skołatana wysileniem i trwogą, straciła prawie zmysły i zamiast trzymać się zbawczego kawałka masztu, puściła go, i schwyciwszy swego wybawcę za szyję, konwulsyjnie ściskać ją poczęła.

— Puszczaj mię! puszczaj! — wołał Anglik, napróżno usiłując się wydobyć z rąk tonącej. — Puszczaj mię! bo oboje zginiemy!

Lecz Miss Skott, jak każdy tonący, jeszcze silniej wpijała ręce w ciało wybawiciela i w mgnieniu oka oboje zniknęli pod wodą. Po dwakroć dzielny pływak wydobywał się na wierzch, usiłując uchwycić płynącą belkę. Próżne wytężenia, odbiegły go siły,

i oboje zanurzyli się po raz trzeci, a tym razem żadne nie wypłynęło.

Podwójny krzyk rozległ się z brzegu i morza, to ostatnie pożegnanie ojca z dziatkami...

III.

W pierwszej chwili przestrachu i rozpaczy biedne dzieci wpadły w stan odrętwienia. Nadzieja i trwoga miotały naprzemian ich serduszkami. To być nie może, aby ich najukochańszy ojciec utonął. On wypłynie, morze wyniesie go na ląd. Bóg taki miłosierny, Bóg nie dopuści, aby zostały sierotami. Lecz nadzieja z każdą chwilą niknęła, dreszcz trwogi wstrząsał całą ich istotą, nakoniec rozpacz ścięła ich serca lodem.

— Boże! mój Boże! Nasz ojciec! Ojcze! Ojcze! czyż nie słyszysz twych dzieci?

— Ojcze! ojcze! pójdź do nas! — wołał Jerzy, załamując rączęta.

Ale dokoła było cicho i głucho. Tylko z trojga piersi wydobywały się łkania tak rzewne, z ocząt płynęły łzy tak gorące, rozpacz sierot była tak wielka, że nawet głaz nie zdołałby się oprzeć.

I upływały godziny, biegło słońce po niebie, a troje sierot jak trzy posągi boleści wpatrywało się nieruchomem okiem w przestwory morskie, śledząc swą zgubę.

Nakoniec Nelly od wysilenia zemdlała. Widok ten zbudził Sarę z odrętwienia, zerwała się, zaczerp-

nęła ręką wody i ocuciła siostrzyczkę. Potem zaczęła oboje z niewymowną miłością tulić do piersi, a łzy i pocałunki naprzemian spadały na czoła dziatek. Nakoniec zebrawszy wszystkie siły, najstarsza siostra rzekła:

— Nelly, Jerzy, przestańcie płakać. Ojciec nasz cieszy się w niebie z ukochaną mamą. Cienie ich tu gdzieś około nas unoszą się, one strzec będą naszych kroków. Straciliśmy rodziców, ale mamy jeszcze ojca w niebiesiech. On nas nie opuści. Pomódlmy się do Stwórcy; On nas wzmocni, On nas ocali.

I padłszy na kolana, wzniosła ręce ku niebu, w głos wołając:

— Wszechmocny Boże! Ojcze sierot i nieszczęśliwych! Racz rzucić okiem na biedne sieroty, pomocy Twej wzywające. Nie daj nam marnie ginąć zdala od rodzinnego kraju. Daj siłę do wytrwania w przeciwności, chęć do pracy, rozsądek w postępowaniu.

Potem, wziąwszy za ręce oboje, rzekła:

— Odtąd ja będą waszym ojcem i matką. Przestańcie płakać, nabierzcie odwagi, bo nam jej bardzo potrzeba. Musimy teraz myśleć o sobie. Tam na wzgórzu las rośnie, pójdźmy ku niemu, a może znajdziemy pożywienie i nocleg.

I ruszyła mała gromadka piaszczystem wybrzeżem, z trudnością łzy wstrzymując. Ani cudny błękit nieba, ustrojony chmurkami, pozłoconemi zachodzącem słońcem, ani różnobarwne kamyczki i muszelki prześliczne nie zajmowały dzieci. Nic nie wi-

działy, tylko wzburzone morze i ukochanego ojca walczącego ze śmiercią.

Nakoniec po półgodzinnej wędrówce dostały się do celu podróży. Wspaniały, wysokiemi drzewy zarosły bór leżał przed niemi. Gęste krzewy otaczały pnie tak, iż trudno było przedrzeć się w głębie jego. Tysiące ptaków gwarliwym śpiewem żegnało gwiazdę dzienną, idącą spocząć w kryształowym pałacu oceanu.

Wszedłszy do lasu, ujrzeli mnóstwo drzew magnoljowych z owalnym liściem i pięciopłatkową koroną. Ponad niemi strzelały na 120 stóp w górę kazuaryny, których włosiate kępy liścia naśladowały końskie buńczuki, lecz jeszcze wyżej wznosił dumne czoło eucalyptus z liściem niebieskawym, jak gdyby mąką posypanym. Wszystkie te wspaniałe drzewa nie miały w obecnej chwili najmniejszej wartości dla Sary, oko jej szukało krzewu, którego owoce mogłyby odwilżyć podniebienie i pokrzepić strudzone ciało. Nakoniec z radością ujrzała niewielki krzak czerwonym owocem okryty.

— Ach, to jamboza — zawołała Nelly, kierując oko w stronę, którą jej palec starszej siostry wkazywał — wszak można jeść jej owoce?

— Nie inaczej — odpowiedziała Sara — lecz nie jedzcie dużo, bo owoc ten, choć smaczny, na czczy żołądek może wam zaszkodzić.

— Ach, jakie to przewyborne — mówił Jerzy, połykając orzeźwiające jambozy. Biedne dziecko, na widok owoców zapomniało o dopiero co minionem nieszczęściu.

Sara odwołała rodzeństwo od krzaków, nagląc do pośpiechu, gdyż jeszcze przed nocą należało wynaleźć miejsce stosowne na nocleg. Wkrótce weszli na małą dolinkę, w której rosło kilka palm daktylowych i kokosowych. Dzieci poczęły zbierać owoc leżący pod drzewami, gdyż o zerwaniu wysoko rosnących nawet marzyć nie było można. Daktyle migiem zniknęły w żołądkach zgłodniałych, ale kokosów zawierających pożywne ziarno i posilające mleko nie było czem otworzyć.

— Porzućmy kokosy — radziła Nelly — gdy twardej skorupy rozbić niepodobna, pocóż je dźwigać.

— O nie, — zawołał przemyślny Jerzy — wolę je złożyć pod tą skałą, przecież znajdzie się jaki sposób na otwarcie orzecha.

Tymczasem śród szumu liści dawały się słyszeć od czasu do czasu złowrogie wycia i dzikie, nieznajome głosy zwierząt czy ptaków. Słońce chyliło się ku zachodowi, a zbłąkane rozbitki jeszcze nie wynalazły schronienia na nocleg; można sobie wystawić ich niespokojność i trwogę. Sara dodawała im wprawdzie męstwa, lecz sama zaledwie z największem wysileniem potrafiła pokryć bojaźń. Jerzy począł płakać. Nelly zaś, tuląc się do siostry, ciągle wspominała o ojcu, jak gdyby pragnęła jego pomocy.

Gdyby choć na drzewo schronić się było można, ale niepodobna tego wymagać od dzieci wychuchanych i wypieszczonych. Tylko dzicy w ich wieku umieją jak małpy i wiewiórki wspinać się zręcznie na wierz-

chołki palm kokosowych. Trzeba więc było szukać innego schronienia.

Sara spostrzegła wielką kępę krzewów, których kończaste i na dwa łokcie blisko długie liście, plącząc się z sobą, tworzyły zielony, nieprzebity wał.

— Patrzcie — zawołała Sara — jakie przepyszne miejsce na nocleg, gdybyśmy się tylko mogli dostać w środek tej kolczastej fortecy, zaręczam wam, że żadne zwierzę nie przerwałoby nam spoczynku.

— Co to za krzaki? — zagadnęła Nelly

— To zamja, czyż jej nigdy nie widziałaś?

— Nie, kochana Saro, ale jakże się tam dostaniemy, toż nam kolce ciało poszarpią.

— Poczekajcie, poobwijam was całkiem w twarde liście, tym kijem podniosę gałęzie i wsunę się pierwsza, a wy za mną, tylko powoli i ostrożnie.

Zaczęła się mozolna robota, tem bardziej, że Nelly nie mogła sobie dać rady, a Jerzy, zmęczony i śpiący, zamiast pomagać, jeszcze przeszkadzał siostrze.

— Wstydź się, Jerzy, przecież jesteś mężczyzną, ty to nam, ale nie my tobie powinniśmy dopomóc. Jeżeli będziesz się tak krzywił i opuszczał, to cię tu zostawię, a gdy przyjdzie lampart lub tygrys, ciekawa jestem, jak sobie poradzisz.

Słowa Sary rozbudziły ambicję chłopca, otrząsnął się z odrętwienia i nader czynnie i zręcznie zaczął jej dopomagać do rozsuwania liści zamji; wkrótce wszyscy troje byli gotowi i przy pomocy długich kijów podnosząc pełzające gałęzie krzewów, po dość

długiej i uciążliwej przeprawie dostali się nakoniec w głąb gąszczu.

Na szczęście w samym środku znajdowało się nieco wolnego miejsca, w którem mogli pomieścić się wybornie. Sara urządziła jakie takie posłanie. Sierotki pobożnie zmówiły pacierz, prosząc Stwórcy, ażeby otoczył je swą opieką w tej odludnej pustyni, a potem, uścisnąwszy się serdecznie ze łzą w oku a myślą w sercu o ukochanym ojcu, zasnęły, trzymając się za ręce.

IV.

Lube promyki wschodzącego słońca zbudziły wcześnie małych wygnańców. Jerzy zerwał się pierwszy, i zdziwiony widokiem dziwnego legowiska, nie mógł sobie zrazu przypomnieć, gdzie się znajduje. Po chwili dopiero oprzytomniał, wypadki smutne dnia wczorajszego żywo stanęły mu w pamięci; rozpłakał się biedak na myśl o stracie ukochanego ojca i rozbudził Sarę swem łkaniem.

— Co ci jest, Jerzy? — zawołało dziewczę, szybko stając na nogach.

— Nic, nic, kochana Saro, przyszedł mi na myśl tatko. O mój Boże! mój Boże! już go nigdy nie zobaczymy.

— Cicho! cicho! mój aniołku, swym płaczem przebudzisz biedną Nelly; niechaj ona przynajmniej zapomni o naszem nieszczęściu.

Ale Nelly już nie spała i wkrótce wszyscy troje w wspólnym uścisku we łzach tonęli.

Sara jednak rychło opamiętała się i rzekła:

— Moi drodzy, płacz nie powróci nam tatki. On już szczęśliwy spoczywa po strapieniach życia na łonie Stwórcy. On nie potrzebuje naszej pomocy, lecz my musimy szczerze wziąć się do pracy, bo inaczej marnie zginiemy. Dalej żwawo wynośmy się z tego krzewistego więzienia, trzeba pomyśleć o żywności i wynalezieniu innego miejsca na nocleg.

— Czy długo tu będziemy bawić? — zapytał Jerzy, ocierając łzy.

— Dopóki Pan Bóg nie ulituje się nad nami i nie wyzwoli nas z tej odludnej wysepki.

— Miss Skott nieraz mię nauczała, że wszystko, co tylko chcemy, możemy uprosić u Pana Boga — zawołała Nelly — pocóż więc chodzić szukać schronienia i żywności i męczyć się daremnie, lepiej poklękajmy i módlmy się dopóty, dopóki nas Pan Bóg, jak Izraelitów z Egiptu, nie wyzwoli z tej pustyni.

— Pan Bóg wprawdzie nieraz wielkie czynił cuda i czynić je zawsze może, bo jest wszechmocny, ale nie na żądanie ludzkie, tylko wtenczas, kiedy się Jemu podoba. Kto zamiast pracować i radzić sobie, prosi Boga o pomoc, opuszcza się i po całych dniach modli, oczekując cudu, ten bardzo źle robi i grzeszy. Sam Stwórca wyrzekł: pracuj człowiecze, a ja ci dopomogę. Więc też tego się trzymajmy, pracujmy, starajmy się, a niezawodnie nas Najlitościwszy nie opuści i pobłogosławi naszej pracy. Dalej Jerzy! ty, chociaż

najmłodszy, jesteś mężczyzną i powinieneś przodować siostrom we wszystkich wyprawach. Trzeba wyjść z tej kryjówki.

Jerzy pochwycił kij i sunął naprzód, ale w zbytniej gorliwości, chcąc się godnym pokazać zaufania Sary, tak szybko zapuścił się w głąb kolczastych zarośli zamji, że zahaczywszy się, rozdarł bluzę od góry do dołu. Nelly także uszkodziła swe sukienki, i Sara nawet nie wyszła bez szwanku. Biedne dzieci, dostawszy się nazewnątrz kryjówki, wyglądały jak gromadka żebraków w łachmanach.

Pomimo tej niemiłej przygody, było im dosyć przyjemnie. Prześliczny poranek tchnął świeżością powietrza; mnóstwo ptasząt, siedzących na gałęziach drzew, witało swym śpiewem wschodzące słońce. Owe przeraźliwe i nieznane głosy, które wczorajszego wieczora tak wystraszyły sieroty, były to krzyki papug, w świetne, różnobarwne przyodzianych pióra. Zwierząt dzikich nie dostrzeżono wcale, oprócz gromady małp, wykonywujących zabawne skoki na gałęziach palm kokosowych i daktylowych.

Jerzy, ujrzawszy te pocieszne zwierzątka, zaczął się śmiać do rozpuku i naśladować ich ruchy; wnet dostrzegły go małpy, a snadź rozgniewane przedrzeźnianiem, z szybkością błyskawicy poczęły odrywać kokosy i daktyle, miotając je na swego małego nieprzyjaciela. Chłopak, zręcznie unikając pocisków, drażnił coraz bardziej małpy, ciskając na nie kamieniami; tym sposobem nagromadził bez trudu znaczny zapas posilnych i smacznych owoców.

— A widzisz, siostrzyczko, że się przecież na coś przydałem. Otóż dzięki małpom mamy przewyborne śniadanie.

Po zaspokojeniu głodu samemi daktylami, gdyż orzechów kokosowych mimo niezmyślonej chęci nie można było otworzyć, nasi wędrowcy puścili się na wyszukanie jakiegoś schronienia. Wkrótce na wysokości góry, przytykającej do morza, na samym brzegu lasu, Nelly dostrzegła w skale zagłębienie, jakby płytką grotę, w której jakkolwiek mogli się schronić w czasie burzy, ale była za szczupła, aby w niej urządzić mieszkanie.

Sara uważnie rozejrzała się dokoła. Obok skały rósł wysoki sagowiec, gatunek palmy z nader długiemi korzeniami, które wyrastały w części ponad ziemią. Snadź potok podpływający podpłukał ziemię. Z wielką pracą udało się naszym rozbitkom przeciągnąć część tych korzeni ku skale, umocować je włóknami i utworzyć gatunek ściany pomiędzy brzegiem groty a drzewem sagowca. Przestrzeń próżną pomiędzy włóknami zapełniły dzieci kamieniami i ziemią, którą Nelly i Jerzy zbierali w wielką żółwią skorupę, znalezioną na brzegu, i nosili ją Sarze, a ta ubijała pośród korzeni. Tym sposobem utworzyła się zagroda na cztery łokcie długa, a na trzy wysoka, otaczająca w połowie wejście do jaskini.

Należało teraz ściankę tę połączyć z jaskinią rodzajem dachu. Do tego potrzebne były kije, których jeden koniec wsparty na ścianie a drugi na skale służyłby zamiast krokwi do zawieszenia liści.

Sieroty udały się nad morze dla wyszukania ja-

kichś szczątków z rozbitego okrętu. Wyprawa udała się nadspodziewanie. Na piasku nadbrzeżnym leżało mnóstwo kawałków drzewa, porozbijanych pak, duże wiosło. Dzieci znosiły to wszystko w jedno miejsce, pracując usilnie.

Naraz Jerzy, który się udał nieco dalej poza krzaki, wydał krzyk przeraźliwy. Przelęknione siostry nadbiegły ku niemu dla zbadania przyczyny strachu. Na wybrzeżu leżał trup majtka, którego widok wydarł okrzyk przerażenia z piersi chłopaka. Z początku rozbitki odskoczyły od zmarłego, przejęte okropnością widoku, lecz wkrótce Sara, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zawołała:

— Nie uciekajmy, wszakże to nasz bliźni, nieszczęśliwy towarzysz naszej niedoli. Trzeba pogrzebać ciało, aby nad nim nie pastwiły się drapieżne ptaki.

Po krótkiej naradzie dzieci umyśliły naznosić jak najwięcej kamieni, zrobić rodzaj ogrodzenia dokoła zwłok, a potem przysypać je piaskiem. Jerzy, który zwolna oswoił się z widokiem zmarłego, odważył się poszukać w kieszeniach jego, czy się nie znajdzie coś, coby nieboszczykowi na nic się nie przydało, a im mogłoby być pożyteczne. I w istocie znalazł duży nóż z krzesiwem, zwój hubki, krzemień, kapciuch z tytoniem i fajkę. Dwa te ostatnie przedmioty pozostawiono przy umarłym, a nóż, hubkę i krzemień Jerzy zabrał, mówiąc:

— Nie gniewaj się na nas, kochany majtku, że ci zabieramy twą własność, ale wiesz o tem może, że jesteśmy opuszczeni i bardzo nieszczęśliwi, a twój nóż i krzesiwo jest dla nas nieocenionym skarbem.

Po czterech godzinach usilnej pracy udało się naszym rozbitkom zagrzebać zmarłego tak dobrze, że ani ptaki, ani zwierzęta dzikie nie zdołałyby dostać się do ciała. Poczem brzegiem morza zaczęły iść napowrót ku swej zagrodzie. Po drodze w załomku skały Nelly znalazła kilka jaj jakiegoś morskiego ptaka, Sara zaś z niezmierną radością spory młot do połowy zagrzebany w piasku. Nelly niosła wraz z Sarą na dwóch długich drążkach kilkanaście kawałków drzewa i desek, Jerzy zaś kilka muszli i małego raka morskiego, którego schwytał.

Zmordowani pracą, ciężarem i długą drogą, już o zmroku dowlekli się do swego mieszkania. Tymczasem hubka wyschła w kieszonce Jerzego, skrzesano ognia, i przy usilnem dmuchaniu rozpalili nakoniec ogień pod wysokim pniem palmy kokosowej. Upieczono w popiele jaja i raka, a parę daktyli i świeża kryniczna woda dopełniły wspaniałej uczty, po której dzieci układły się na spoczynek, dziękując gorąco Stwórcy za tyle dobrodziejstw, jakich w ubiegłym dniu doznały.

W nocy jakiś huk gwałtowny rozległ się dokoła. Wystraszone dzieci zerwały się ze snu: Nelly mniemała, że to wystrzał działowy na morzu, Sarze zdawało się, że jakiś głaz oderwał się od skały i stoczył do morza, Jerzy zaś twierdził uporczywie, że grzmiało. Dokoła jednak zaległa cichość, huk nie powtórzył się więcej, a sieroty znowu usnęły.

Na drugi dzień zrana dowiedziały się o przyczynie nocnego niepokoju. Pień drzewa palmowego,

pod którym rozniecono ogień, przepalił się i runął, a upadek jego sprawił ów łoskot.

— O mój Boże, jakaż to szkoda tak pięknego drzewa — zawołała Nelly ze smutkiem.

— Wcale nie szkoda — odparł Jerzy. — Patrz, co tu owoców leży na ziemi; gdyby się pień nie przepalił, nigdybyśmy ich nie dostali.

— Ciekawa jestem, czem je otworzyć? — zagadnęła siostrzyczka.

— Znajdzie się na wszystko sposób — odrzekł chłopczyna — nie święci garnki lepią, poradzę ja tym twardym ichmościom, a od czegóż młot i kamienie.

— Mnie jeszcze więcej cieszą liście kokosowe, aniżeli orzechy — zawołała Sara.

— A jakiż z nich możemy mieć pożytek?

— Będziemy mieli przewyborne pokrycie dachu.

— Alboż to bananowemi pokryć nie można?

— Nie, moja duszko, gdyż liść bananowy prędko więdnie, tymczasem widziałem, jak kokosowe, pokrywające dachy chat dzikich, doskonale się utrzymują. Pójdź, Nelly, ja będę obrzynała liście, a ty noś je do naszej zagrody. Ach! jakież to doskonałe zdarzenie.

Sara zapomocą ostrego noża, znalezionego wczoraj, nazrzynała mnóstwo liści, a Nelly napociła się niezmiernie, znosząc je do jaskini. Obiedwie, potężnie zmęczone, zaledwie około południa ukończyły swą pracę i usiadły w cieniu groty wypocząć nieco.

Tymczasem nadbiegł Jerzy i zawołał z triumfem:

— Patrzcie, i ja nie zmarnowałem czasu, udało mi się otworzyć kilka orzechów kokosowych, cóż to

za pyszne mleko, a jakie jądro! Jedzcie i pijcie, bo ja posiliłem się już znakomicie.

Po smacznym obiedzie, zmęczone rodzeństwo przespało się cokolwiek, a potem wzięli się znowu do pracy około zakończenia zagrody; uzbierane kawałki drzewa i desek wybornie im do tego posłużyły. Na wieczór, zagrodzenie wysokie blisko na cztery łokcie otoczyło jaskinię. Teraz mogły zasypiać bezpiecznie, nie lękając się wcale napadu dzikich zwierząt; brakowało tylko jeszcze dachu do urządzenia nałego i wygodnego domku.

Następnego dnia pracowita Sara pobudziła rodzeństwo o świcie. Wszyscy troje wzięli się usilnie do pracy, ustawiając rodzaj pochyłego belkowania, naśladującego dach. Len nowozelandzki (phormium tenax) posłużył im wybornie do łączenia z sobą pojedynczych kawałków drzewa. Wkrótce pokryto, jakby wielkiemi kawałkami blachy, kokosowem liściem drzewianą klatkę. — Pomiędzy ścianką i skałą Sara zostawiła niewielki otwór, którym można się było dostać do wnętrza, gdyż obawiała się zostawić przejście w zagrodzie, a to dlatego, iżby się zwierz jaki nie dostał do środka. Wyrównano ziemię i ułożono kobierzec z kokosowych liści. Poczem, uzbierawszy mnóstwo mchu i suchego ziela z widłaka (lycopodium), przygotowali sobie miękkie i ciepłe posłanie. Tym sposobem mieli nietylko wygodną ochroną od deszczu i zimna, ale nadto bardzo wygodne mieszkanie; to też ciesząc się niem, na drugi dzień po ukończeniu, dzieci prawie wcale nie wyszły, wypoczywały tylko, posilały

się dawniej uzbieranemi zapasami i snuły rozmaite plany ulepszeń na przyszłość.

Lecz po tak mile spędzonym dniu i przyjemnem wywczasowaniu się, trzeba było znowu wrócić do pracy i czynnego życia. Wczorajszy zapas daktyli zupełnie się wyczerpał, a samych kokosów jeść nie można. Dzieci uradziły, aby rozejść się w różne strony, niezbyt daleko od mieszkania, na wyszukanie żywności. Jerzy, pomimo iż przyrzekł siostrom nie odchodzić od jaskini, zapuścił się nad morze i przyniósł kilka muszli, raków morskich, oraz kilkanaście jaj, z których parę było dużych; Nelly nazbierała jambozy i pełno daktylów; Sara nakoniec przybyła, zginając się pod ciężarem jakichś długich roślinnych torebek

— Co to takiego masz, Saro? — zapytała z ciekawością Nelly, pomagając siostrze złożyć ciężar na ziemię.

— Sama nie wiem — odpowiedziała tamta. — Chodząc po lesie, spostrzegłam wywróconą palmę, na której rosły te osobliwsze worki. Obejrzałam je uważnie, i zdaje mi się, iż się nam na coś przydadzą. Suknie nasze, i tak już dosyć uszkodzone, kolce zamji podarły w kawałki; trzeba koniecznie pomyśleć o nowych. Otóż zdaje mi się, że z tych worków palmowych uda nam się je zrobić.

Dzieci poczęły ciekawie oglądać zdobycz. Worki te mogły mieć półtora łokcia długości; składały się z rdzawych, cienkich i błonkowatych włókienek, nader ściśle z sobą połączonych, i tworzyły doskonałą tkaninę, w której trzeba było tylko wyciąć otwory

na głowę i ręce. Nóż majtka wybornie do tego dopomógł, a Sara z pociechą ujrzała, iż z woreczka będzie wyborna sukienka. Następnie więc dwie jeszcze największe pochewki wyprawiła w ten sposób, powycinała otwory, i nowa garderoba była gotowa.

Troskliwe siostry ustroiły najprzód braciszka, któremu w tym stroju było bardzo wygodnie. Wysuszone włókno lnu zelandzkiego, którego przed kilku dniam znaczny zapas sieroty uzbierały, posłużyło za przepaskę. Jerzy z radością pozbył się starych sukienek i pysznił się swym nowym ubiorem. Zkolei obie dziewczynki przywdziały także ubrania palmowe. Sukienka Nelly, ściągnięta paskiem, wykazywała zgrabność jej figurki, ginącej wprzódy pod łachmanami starej odzieży; mała elegantka, chcąc się jeszcze lepiej przystroić, ubrała się w niebieskie kwiatki i zrobiła sobie naszyjnik z rozmaitych ziarnek czerwonych i czarnych, przedziurawiając jagody kolcami zamji i nawlekając na włókienka lniane.

Pochewki palmowe, użyte do zrobienia nowych sukienek, przydały się jeszcze rozbitkom i na inne posługi; zapomocą kolców i włókienek lnianych porobiły sobie majteczki wygodne i czapeczki siatkowe na głowy. Jerzy sporządził z liści nadmorskich coś na kształt parasolek, utkwiwszy je na pręcikach; z kory drzewa, zbitej dobrze młotkiem, porobił gatunek sandałów, bardzo im potrzebnych, gdyż dawne obuwie podarło się w kawałki; nie były to wprawdzie eleganckie trzewiki, ale przecież wygodnie można było

w nich chodzić po twardych głazach, a tego też tylko dzieci potrzebowały.

Od tej chwili wszystkie wycieczki były im daleko łatwiejsze do wykonania, brak sukni i obuwia nie przeszkadzał już więcej. Zaraz też w kilka dni później zapuścili się na odleglejszą wycieczkę. Jerzy opakował się zapasami żywności; Sara zaś znaczyła drogę, nacinając korę drzew, ażeby nie zbłąkać się zpowrotem. Przebywszy przeszło milę lasu, dostali się na brzeg niewielkiego jeziora, na którem pływało kilkanaście czarnych łabędzi.

— Ach, mój Boże! — zawołał Jerzy — dlaczegóż nie mam strzelby, mielibyśmy wyborną pieczeń.

— Miałżebyś sumienie zabijać te biedne ptaki, wszak one nawet nie uciekają przed nami.

— Miałażbyś sumienie zjeść kawałek pieczeni, której już od miesiąca nie kosztowałaś? Jaka litościwa, a zaręczam, że zajadałabyś bez litości pulchne udko łabędzie. Tymczasem jednak myślę poprzestać na jajach, które tu niezawodnie gdzieś się w zaroślach ukrywają. Dalej, panienki, na zwiady, wstyd byłoby wracać z próżnemi rękoma do naszego pałacu.

Znaleziono około dwudziestu jaj. Gromadka, złożywszy je w bezpiecznem miejscu, wziąwszy kilka na sporządzenie obiadu, w dalszą puściła się drogę. Przebywali naprzemian to kwieciste łąki, to gaiki i laski, aż nareszcie wydostali się na brzeg morza. Szeroki na parę mil kanał oddzielał ląd, na którym byli, od innego, rozciągającego się daleko. Jerzy wybiegł na wzgórek w nadziei, że dostrzeże jaki okręt, ale nada-

remnie, cała przestrzeń, okiem nieprzejrzana, była samotna i pusta. Jednak chłopczyna dojrzał nad brzegiem jakiś czarny przedmiot zanużony w połowie w wodzie. Natychmiast przywołał siostry i rzekł:

— Ciekawy jestem, co to być może?

— Pójdźmy i zobaczmy, a dowiemy się natychmiast, co to takiego.

— A nie lękasz się? Może to kajman, albo inny potwór morski? Czy pamiętasz kajmany opodal Manilli, którycheśmy się lękali?

— Nie bój się, Jerzy, wcale to nie jest podobne do kajmana, nie rusza się wcale, i jak mnie się zdaje, jest to szczątek jakiegoś rozbitego statku.

Dzieci zeszły z pagórka i pośpieszyły nad brzeg morski. O kilkanaście kroków od niego utkwił w morzu zdruzgotany w połowie bat. Fale morskie zapełniały go w części, jednakże woda była dość płytka.

— Co myślisz, Saro, — zagadnął Jerzy — gdybyśmy, pobrawszy się za ręce dla lepszego oporu falom morskim, przeszli te kilkanaście kroków, możebyśmy coś pożytecznego na statku znaleźli.

— Na to nie przystanę — odpowiedziała Sara — choć morze nie głębokie, zanadto jednak nam się dało we znaki, żebyśmy się mieli wdawać lekkomyślnie z tym zdradzieckim żywiołem; wszak widzisz, teraz morze odpływa, zaczekajmy jeszcze parę godzin, a może całkiem odejdzie, i wtedy bez trudu dostaniemy się na statek.

— A cóż tymczasem będziemy robili?

— Ugotujemy sobie obiad.

Wędrowcy, porzuciwszy wybrzeże, puścili się ku bliskiemu lasowi i w cieniu drzew rozłożyli obozowisko. Nelly nazbierała suchych gałązek, Sara skrzesała ognia, i wnet buchnął płomień. Tymczasem Jerzy przyniósł z nad morza parę skorupiaków, wydobył z kieszeni resztę daktyli i w muszli przyniósł wody z bliskiej krynicy. Za chwilę obiad był gotów. Na szerokim liściu bananowym Sara ułożyła morskiego raka, kilka jaj pieczonych i owoce. Nelly uzupełniła wety jambozami, których tu wiele rosło, a uczta strudzonym i zgłodniałym wybornie smakowała.

Po obiedzie, Jerzy przebiegając po lasku, znalazł parę orzechów kokosowych; kiedy zatrudniał się dobyciem jądra, Sara, zbierając włókno wewnątrz orzecha znajdujące się, rzekła do rodzeństwa:

— Czy wiecie, co mi przyszło na myśl? — Wszak pamiętacie kokosowe maty, jakie mieszkańcy wysp Filipińskich tak zręcznie splatają? Mamy poddostatkiem przy naszej jaskini tego materjału, od jutra więc zacznę próbować, może mi się uda wykonać coś podobnego.

— A na cóż nam się mogą maty przydać? — zapytała Nelly.

— Porobimy sobie z nich rodzaj dywanów do przykrycia ziemi w jaskini.

— Przewyborna myśl! Będziemy mieli królewskie posłanie! — zawołał Jerzy. — Otóż szkoda i tych włókien, dalej siostrzyczki, obierzmy je do szczętu. Ty, Saro, będziesz majstrem, Nelly czeladnikiem, a ja waszym terminatorem.

Wybieranie i równanie włókien zajęło im parę godzin czasu, tak, że skończywszy całą tę robotę, spojrzeli ku brzegowi morskiemu. Bat, skutkiem odpływu, znajdował się już na suchym lądzie.

Wszyscy troje na wyścigi pobiegli ku statkowi, ale nadzieje ich zawiedzione zostały. — Wkońcu znaleźli tylko pęk sznurów i kilkanaście gwoździ.

— Myślałem — rzekł Jerzy z nieukontentowaniem — że tu znajdziemy jakie zapasy, tymczasem nic niema.

— Alboż to mało — mówiła Sara — zobaczysz, jak nam się te sznury i gwoździe przydadzą; ale czekaj, tu coś jest w piasku.

I szybko a zręcznie poczęła odgrzebywać piasek, który połowę statku pochylonego pokrywał.

— Patrzcie! patrzcie, co to jest? — rzekła Sara, wyciągając z piasku jakieś naczynie.

— Kociołek miedziany! — zawołały dzieci z radością.

I w istocie, był to kociołek, mogący objąć parę garncy wody.

Zachęceni tem odkryciem, poczęli kopać jeszcze głębiej i oprócz kociołka znaleźli jeszcze obcążki i duże dłóto.

Wieczór zapadał, a nasi podróżni, zaskoczeni zmrokiem, pomyśleli o spoczynku. Niełatwo było znaleźć stosowne miejsce; nie było tu ani zarośli zamji, ani jaskini, w którejby można bezpiecznie noc przepędzić. Nareszcie wypatrzyli drzewo grube i wypróchniałe, w którem, choć niewygodnie, wszycy troje

pomieścić się mogli. Wsunęli się więc w głąb pnia, a zastawiwszy otwór kamieniami, ułożyli się na spoczynek. Sara jednak budziła się za najmniejszem szelestem, przyrzekając sobie, że już nigdy nie puści się na tak daleką wycieczkę.

Skoro tylko pierwsze promienie słońca zabłysły, natychmiał podróżnicy opuścili wnętrze wypróchniałego drzewa. Jerzy i Nelly prostowali pokurczone ciało, a Sara uderzała rękoma o piersi dla rozgrzania się.

— Niemasz to jak nasza luba chatka — zawołała młodsza siostrzyczka — i ciepło i dobrze wyspać się można, nie tak jak w tym szkaradnym pniu; całe ciało mię boli od niewygodnego noclegu.

— Przepraszam — rzekł z powagą Jerzy — gdyby wszyscy ludzie tobie podobnie myśleli, nie znalibyśmy ani Ameryki, ani Australji.

— Tem lepiej, bo rodzice nasi nie opuściliby w takim razie Anglji, i my nie bylibyśmy skazani na przebywanie w tej odludnej pustyni.

— Myślmy o powrocie do domu — odezwała się Sara — nie chciałabym drugiego noclegu w lesie przepędzać.

— Ja sądzę — rzekł Jerzy — że mając obcążki, trzebaby z nich skorzystać i wydobyć jak najwięcej gwoździ z tego czółna; każdy kawałeczek żelaza przyda nam się bardzo, a nie tak prędko powrócimy w to samo miejsce.

— Dobrze radzisz, braciszku, a więc bierzmy się do pracy, tylko śpiesznie, bo jeszcze bardzo daleko do domu.

Dzieci zajęły się usilnie robotą, lecz pomimo wybornych obcęgów, szła ona bardzo wolno, gdyż gwoździe zardzewiałe tkwiły bardzo mocno w wilgotnem drzewie. Przecież po parogodzinnej pracy udało się wydobyć kilkadziesiąt sztuk gwoździ.

Zabrawszy kociołek, obcęgi i pęk sznurów, gromadka puściła się brzegiem morskim w kierunku przeciwnym wczorajszemu. Postanowiono innego dnia wyprawić się dla zabrania jaj łabędzich, znalezionych wczoraj, a teraz dążyć inną drogą, ażeby tem lepiej poznać wyspę. Każde dźwigało deskę oderwaną z bata, co jednak wcale nie przeszkadzało Jerzemu skakać, a Nelly wyśpiewywać. Sara tylko sama postępowała w milczeniu.

Po całodziennej podróży, przerwanej tylko parogodzinnym w południe spoczynkiem, ujrzeli nakoniec skały i piękny sagowiec, znaczące ich chatę. Jerzy, pragnąc jak najprędzej dostać się do ulubionego mieszkania, wyprzedził siostry i pierwszy przebył zagrodę. Dziewczęta, zwolna idące za nim, nagle usłyszawszy krzyk chłopca, pędem pobiegły, a Sara z bijącem sercem od trwogi wspięła się na ściankę, wołając:

— Co się tu stało?

— Nic — odrzekł Jerzy — już po wszystkiem, ale wierzcie mi, żem się niemało przestraszył.

— Co takiego? — zapytała nadbiegająca Nelly.

— Wyprzedziwszy was — opowiadał Jerzy — wbiegłem na mur i skoczyłem zeń na dół równemi nogami. Wtem czuję coś miękkiego pod sobą, i nagle

jakieś zwierzę porywa się z pode mnie. Na szczęście nie straciłem przytomności, lecz w tejże chwili raz i drugi uderzyłem je młotem, panicz palnął mię łapą w bok, lecz nowy cios pozbawił go zmysłów i oto leży rozciągnięty na ziemi; lecz tu tak ciemno, że nie mogę rozeznać, jakie to zwierzę.

Przy pomocy Sary Jerzy podniósł zabite stworzenie. Było co dźwigać, gdyż ważyło najmniej 30 funtów. Skoro je wyrzucono poza mur, Sara poznała przy słabem świetle zmroku, że to jest kangur. Znać pod niebytność mieszkańców chatki chciał skorzystać z wygodnego schronienia i obrał je sobie za legowisko.

— Trzeba będzie jutro wynieść tego nieproszonego gościa gdzieś daleko, bo jak się psuć zacznie, zapowietrzy nam chatę — radził Jerzy.

— O nie, braciszku — rzekła Sara — jutro rano ściągniemy z niego skórę, która nam się bardzo przyda, z mięsa będziemy mieli przewyborny obiad.

— Alboż to mięso kangura jeść można? — zapytała Nelly.

— Kapitan Brown, który u naszego ojca niekiedy bywał, opowiadał mi, że w Nowej Holandji pieczeń z kangura uważają za przysmak.

— W Nowej Holandji? — zawołał zdziwiony Jerzy — alboż my jesteśmy w Nowej Holandji?

— Tego z pewnością twierdzić nie mogę — odpowiedziała Sara — jednak musimy być na jakiej wysepce blisko jej brzegów, skoro się tu kangury znajdują, gdyż w innych stronach świata wcale ich niema.

Sara i Nelly wkrótce się położyły i usnęły, ale Jerzy miał sen bardzo niespokojny. Różne plany snuły mu się po głowie, przerywając spoczynek; noc wydawała mu się niezmiernie długa, i nie mógł się brzasku doczekać.

Kiedy dziewczęta obudziły się zrana, zadziwiło je to niezmiernie, że nie ujrzały brata obok siebie. Troskliwa Sara wybiegła do otworu, ale wnet uspokoiła się, ujrzawszy Jerzego, zajętego obciąganiem zwierza.

— Oto ranny ptaszek z ciebie, cóż cię tak zerwało? — zapytała Sara.

— Kto ma na głowie tyle co ja — odrzekł poważnie — ten dospać nie może.

— A cóż to takiego masz na twej małej główce?

— Najprzód trzeba kangura ze skóry obedrzeć — już go wypatroszyłem — potem trzeba kuchnię urządzić, pieczeń dla was upiec...

— To do mnie należy — przerwała Sara z uśmiechem — spodziewam się przecież, że mi urzędu gospodyni nie odbierzesz.

— Alboż ty to potrafisz? — rzekł chłopiec z lekceważeniem. — Trzeba ci wiedzieć, że ja wam pieczeń przyrządzę po indyjsku. Powiedzże mi, jeżeli tak wyborną gospodynią jesteś, jak się po indyjsku pieczeń robi?

— Tego nie wiem, ale ciekawa jestem, od kogo nauczyłeś się tej przyprawy.

— Wyczytałem to w podróżach, które mi nasz

drogi ojciec sprowadził z Londynu. Zaraz zobaczysz, jaki to wyborny sposób.

— Wszakże nie myślę, żebyś zaraz brał się do robienia obiadu, dopiero szósta, a do południa mamy najmniej siedm godzin.

— Już ty się nie wtrącaj do mojej roboty. Przyrządzenie pieczeni po indyjsku bardzo długiego wymaga czasu. Ot, jeżeli chcesz mi pomóc, to wykop dół na łokieć głęboki, a ty, Nelly, uzbieraj kamieni.

Obie siostry, nie chcąc się sprzeciwiać zamysłom brata, wzięły się gorliwie do roboty. Nelly, naznosiwszy kamieni, pomagała Sarze zapomocą ostrej muszli kopać dół, według zarządzenia Jerzego.

Wkrótce wszystko było gotowe. Jerzy nazbierał suchych gałęzi, ułożył je w dole, którego spód i boki starannie kamieniami wyłożył, a wkrótce potężny ogień buchał, do którego chłopiec wciąż dorzucał drzewa.

Poczem przywołał siostry do leżącego kangura i rzekł im:

— Te dwie tylne ćwiartki będą na pieczeń, z przodków zaś spróbujesz, Saro, ugotować rosół.

— Z największą chęcią — odpowiedziała Sara, dziwiąc się niezmiernie rezolutności brata — lecz nie wiem, jaki to będzie rosół bez soli.

— Czy sądzisz, że i o tem nie pomyślałem? — zawołał z triumfem Jerzy.

To rzekłszy, poskoczył szybko do chatki i z kątka jaskini wyciągnął muszlę, w której znajdowało się kilka garści soli.

— W istocie sól — rzekła Sara, kosztując — ale skądże ją wziąłeś?

— Uważałem dawniej, przechadzając się po brzegu morskim, że w muszlach, leżących na piasku, powysychała woda morska, zostawiając sól; otóż dziś o brzasku wybiegłem nad morze i z kilkudziesięciu muszli oskrobałem sól, i tyle się uzbierało.

— Kochany Jerzy — zawołała Sara, okrywając go pocałunkami — nigdy nie myślałam, żebyś był tak przemyślny, żebyś nam tak wiele mógł dopomagać.

— Ho, ho! czy ty myślisz, siostrzyczko, że na tem koniec. Trzeba ci wiedzieć, że ja mam jeszcze wiele, wiele innych pomysłów. A najprzód skorupę żółwia, poniewierającą się około naszej chatki, oczyszczę, i będziemy z niej mieli coś nakształt miednicy lub miski. Dalej, ze sznurów, któreśmy znaleźli wczoraj, porobię nici, a Nelly, która umie robić siatkę, zrobi mi sieć na ryby, a potem...

— Wszystko to prześliczne projekty — przerwała Nelly — lecz zagadawszy się, zapomniałeś zupełnie o pieczeni, a tu ogień wygasł prawie zupełnie, przy czemże ją upieczesz?

— Właśnie też na to czekałem — odrzekł Jerzy spokojnie — nie lękaj się o pieczeń, potrafię ją bez ognia przyrządzić.

To rzekłszy, poskoczył ku dołowi, w którym się ogień palił, wygarnął węgle i popiół, wydobył zapomocą kija kilka rozpalonych kamieni, poczem wziął ćwiartkę kangura, zbił ją mocno kamieniami, owinął

Jerzy, uśmiechając się, położył przed każdą z sióstr łyżkę.

ją w bananowe liście, ułożył w dole, przyrzucił rozpalonemi kamieniami, a następnie przysypał ziemią, udeptawszy ją starannie.

— Ciekawa jestem bardzo, coto z tego będzie? — odezwała się Nelly, kręcąc główką. — Nie chce mi się wierzyć, aby twoja pieczeń upiekła się naprawdę.

— Daj mu pokój, siostrzyczko — szepnęła Sara — nie odbierajże mu nadziei uczęstowania nas indyjską pieczenią.

Tymczasem czynny Jerzy nie dał próżnować Nelly i wziął się z nią do rozplątywania części znalezionych sznurów, a Sara, siedząc przy kociołku, układała włókna kokosowe, z których miano pleść maty.

Na tej pracy zeszło im kilka godzin, a kiedy zbliżała się południowa pora, Sara, umieściwszy kociołek na kilku kamieniach, nalała do niego wody, obmyła łopatkę kangura i zaczęła gotować rosół. Nelly zasłała liściem kokosowym szeroki głaz, który miał służyć zamiast stołu do obiadu, i pokładła koło niego mniejsze kamienie, mające reprezentować stołki. Jerzy gdzieś znikł, i obie siostry troszczyły się, że go tak długo nie widać.

Nareszcie mały kuchmistrz przyszedł cokolwiek zmęczony, obejrzał z zajęciem stół i rzekł:

— Wszystko to bardzo ładne, kochane siostrzyczki, tylko nieszczęściem ani wazy, ani półmiska, ani talerzy niema, a ja przez cały ranek napróżno sobie suszyłem mózg, czemby zastąpić nakrycie, lecz trudno, jakoś to będzie! Saro! a czy gotowy rosół?

— Już od godziny, ale czem go jeść będziemy, nie mając łyżek?

— Skoro tylko jest rosół, mniejsza o łyżki.

— A twoja pieczeń?

— Cierpliwości! Przynieśmy tu tylko kociołek z rosołem. Słusznie zrobiłaś, Saro, żeś go żółwią skorupą przykryła, aby nie wywietrzał. Będziemy mieli królewski obiad.

Założywszy gałązkę w uszy kociołka, przenieśli go pod ścianę chatki i zasiedli do obiadu. Nelly odmówiła modlitwę, a Jerzy, uśmiechając się, położył przed każdą z sióstr łyżkę.

Ciekawi zapewne jesteście, czytelnicy moi, z czego te łyżki były. Otóż przemyślny chłopak znalazł nad brzegiem morza kilka muszli płaskich, podobnych do tych, jakie u nas znajdują się nad rzekami, a których studenci używają do rozcierania farb. W tych tedy muszlach wywiercił w cieńszym końcu małe otwory, wprawił w nie krótkie kijki i tym sposobem zrobił coś bardzo podobnego do łyżek.

Dziewczęta niezmiernie ucieszyły się tym wynalazkiem braciszka. Natychmiast wzięto się do rosołu, który chociaż bez włoszczyzny i korzeni, przewybornie im smakował.

— Ach, co za rosół, jak żyję tak dobrego nie jadłam! — zawołała Nelly.

— Ani ja! — rzekł Jerzy. — Niech żyje kochana Sara! Od trzech tygodni nie mieliśmy nic ciepłego w ustach, jakiż Pan Bóg łaskaw, że nas takiem dobrodziejstwem obdarzył.

— A pamiętasz, Jerzy, jak często grymasiłeś przy stole, i Miss Skott niemało nieraz nagniewała się na ciebie, że przebierasz w potrawach.

— Byłem bardzo nierozsądny, siostruniu; żebym dzisiaj miał te potrawy, jakie nasi służący jadali, oblizywałbym paluszki, i bądź pewna, że jeżeli kiedykolwiek Pan Bóg nas z tej pustyni wybawi, poprawię się zupełnie i nigdy w życiu nie odważę się grymasić.

Po zjedzeniu rosołu i sporego kawałka mięsa gotowanego, małe towarzystwo uczuło się tak posilonem, iż nie miało najmniejszej chęci do jedzenia pieczeni. Za poradą więc Sary, zostawili ją na potem, poprzestając na kilku daktylach i garstce jagód jambozowych.

Po południu Sara zaczęła próbować pleść maty; Nelly znów, dla której Jerzy wystrugał wałeczek i igiełkę z drzewa, ochoczo wzięła się do dziergania siatki na ryby; chłopczyk zaś znikł i zaledwie w trzy godziny później do sióstr powrócił.

— Gdzieżeś to tak długo bawił, Jerzy? — zapytała Sara.

— To moja tajemnica, i pozwólcie mi ją zachować, dopóki sam nie będę mógł jej objaśnić, Bądźcie tylko przekonane, że ściąga się ona do naszego wspólnego użytku. A teraz, moje kochane siostrzyczki, trzeba wam wiedzieć, że mnie się chce jeść bardzo. Nie wiem, czy i wam już głód dokucza, bo jeżeli jeszcze nie, to gotów jestem poczekać.

— Owszem, prosimy pana kuchmistrza, żeby nas raczył uczęstować przyobiecaną indyjską pieczenią.

— Natychmiast — odrzekł Jerzy, poskoczywszy w miejsce, gdzie mięso wraz z kamieniami zagrzebał. Sara i Nelly poszły ku niemu, ciekawe zobaczyć, co się zrobiło przez ten czas w dole. Jerzy szybko ziemię odrzucił i jeszcze nie wydobył mięsa, kiedy już aromatyczny zapach rozszedł się dookoła.

— W istocie, to coś będzie przepysznego — zauważyła Nelly — dobywaj prędzej, bo umrę z niecierpliwości zobaczenia twojego dzieła.

Nakoniec Jerzy wydobył z dołu dużą, czarną bryłę, tak gorącą, że ją natychmiast musiał złożyć na ziemi.

— Śliczna historja! — zawołała Nelly — spaliłeś pieczeń na węgiel.

— I mnie się tak zdaje, biedny braciszku — dodała Sara.

— Ja zaś wcale się o to nie boję — rzekł Jerzy spokojnie; gdyby się tak stało, jak mówicie, to byłoby ją czuć przypaleniznę, ale nie miałaby tak przyjemnego zapachu.

— Słuszna uwaga, a więc czekamy cierpliwie.

Jerzy odjął najprzód zwęglony liść, potem pooskrobywał nieco części nadwęglone, a następnie, umieściwszy mięsiwo na kamiennym stole, na którym z rana jedli obiad, zawołał uroczyście:

— Szanowne panie! Oto pieczeń karaibska, na którą mam zaszczyt was zaprosić.

— Wszakże mówiłeś, że to będzie pieczeń in-

dyjska, a teraz nazywasz ją karaibską — rzekła Nelly.

— Karaibska czy indyjska, to wszystko jedno, albowiem w mojej książeczce czytałem, że Karaibowie są Indjanami.

— Przyjmujemy to objaśnienie za dostateczne — mówiła Sara — lecz ty, braciszku, który od paru dni okazałeś się tak przemyślnym na drodze wynalazków, powiedz, czy przypadkiem nie wykoncypujesz nam jakich narzędzi, któremi mogłybyśmy twoją sławną pieczeń pożywać?

— Oto jest para shefieldskich widelców, które chciejcie przyjąć ode mnie, panny siostry, jako dowód wysokiego poważania dla waszych paluszków

I w samej rzeczy podał im dość zgrabnie wystrugane z twardego drzewa widelce, sam zaś, wbiwszy trzeci w pieczeń, począł ją nożem rozbierać, ale mu jakoś szło nienajzgrabniej.

— Pozwól, Jerzy, żebym cię wyręczyła — rzekła Sara, biorąc nóż od niego. — Można być przewybornym fabrykantem noży i łyżek, piec przewybornie pieczeń na sposób karaibski lub indyjski, ale jej nie umieć rozbierać.

— Przepyszny smak! — mówiła Nelly, skosztowawszy mięsiwa — jak żyję, nic tak dobrego nie jadłam, prędzej Saro, skosztuj!

Sara zdanie siostry potwierdziła. W istocie, pieczeń była niezmiernie krucha i soczysta, a upieczona w zamknięciu, nie straciła nic zapachu, jak to się

zwykle dzieje, gdy się piecze mięso na otwartem powietrzu.

Po podwieczorku dzieci wyszły na brzeg morski przejść się cokolwiek, a spacer ten po całodziennej pracy bardzo im był przyjemny; właśnie, gdy młodsze rodzeństwo nad tem się zastanawiało, Sara odezwała się w te słowa:

— Rozmyślałam, że najlepiej będzie, jeżeli sobie porządek dnia rozłożymy. Otóż podam wam projekt, na który, myślę, że się zgodzicie. Rano, po śniadaniu, weźmiemy się do plecenia mat, a tymczasem Jerzy wyjdzie na zbieranie kokosów, daktyli, jaj ptasich, słowem żywności. Na parę godzin przed obiadem weźmiemy się do nauki...

— Do nauki? — przerwała zdziwiona Nelly — a jakże będziemy się uczyli, kiedy ani książek, ani papieru, ani atramentu nie mamy?

— Będę was uczyła z pamięci religji, historji świętej, dziejów naszego kraju, zresztą wszystkiego, co tylko sama umiem; wszak sami macie niezłe początki. Co się tyczy pisania, widziałam w lesie drzewo z białą, bardzo gładką korą, zupełnie do kory brzozowej podobną, tylko daleko szerszą i równiejszą. Odchodzi ona bardzo łatwo od drzewa; uzbieramy jej znaczny zapas, to nam papier zastąpi. O pióra nie trudno, bo gdzie tyle ptactwa uwija się nad brzegiem, to i pióra się znajdą. Zresztą nad jeziorem zapewne są i gniazda łabędzie; może uda się pochwycić jednego z tych ptaków, a trzeba wam wiedzieć, że pióra łabędzie wyborne są do pisania.

— Ale skądże atramentu weźmiemy, wszakże on nam najpotrzebniejszy? — zapytał brat.

— Wszak znasz, Jerzy, atramentowce (Sepia). Mnóstwo ich uwija się około przylądka pod skałami; chwytać je łatwo, a wiesz, że czernidło tych stworzeń używa się do wyrabiania ciemnej farby, zwanej sepją, którą malarze posługują się. Otóż mamy i atrament.

— Jak ty umiesz doskonale radzić, siostrzyczko. Myślałem, że tylko mężczyźni zdolni są do wynalazków — zawołał Jerzy — ale czekaj, będę się starał dorównać ci, jeżeli nie przewyższyć cię w tej sztuce.

— Po obiedzie będziemy robili dalsze wycieczki. Mam nadzieję, że za każdą coś zyskamy, czembyśmy mogli uprzyjemnić pobyt na naszem wygnaniu.

W ten sposób upływały im dnie, aż nakoniec zbliżyła się pora deszczów, czyli tamtejsza zima. Przed jej nadejściem wygnańcy zakrzątnęli się około zaopatrzenia swej chatki. Ponieważ przez kilka miesięcy liście dach pokrywające od słonecznych promieni zniszczały, zastąpiono je przeto deskami z pak i łodzi, znajdowanemi na wybrzeżu; na to dopiero położono cztery lub pięć warstw liści palmowych, tak, iż chatka zupełnie była zabezpieczona od deszczu.

Przez ten czas Jerzy częstokroć się oddalał z domu i czasami po kilka godzin zostawał w lesie. Sara z początku bardzo się tem niepokoiła i pytała, coby robił w borze. Chłopczyk zbywał ją zawsze krótko, tłumacząc się, że wychodzi za żywnością. Jakkolwiek odpowiedzi te nie zaspakajały troskliwej

siostry, jednak udawała, że poprzestaje na nich, wiedząc dobrze, że braciszek zapewne ukrywa się z jakąś dla nich niespodzianką.

Nakoniec jednego poranku Jerzy przybiegł rozpromieniony radością, trzymając w ręku duże dwie przeszyte strzałami papugi.

— Patrzcie, siostrzyczki, oto moja tajemnica; troszczyłyście się nieraz, że długo przebywam w lesie, niewiadomo dlaczego i poco. Teraz przyznaję się wam, że zrobiwszy potajemnie łuk i strzały, uczyłem się do celu trafiać; długi czas nie mogłem sobie dać rady, uparte strzały nie chciały mnie słuchać, ale szło coraz lepiej. Nakoniec dzisiaj udało mi się ubić dwie papużki. Wiecie, że dzicy na wyspach Filipińskich jedzą je ze smakiem. Myślę więc, że teraz na mięsie zbywać nam nie będzie.

— Skądże wziąłeś łuku i strzał? — zapytała Nelly.

— Łuk zrobiłem z gałęzi drzewnej, strzały z trzciny nadmorskiej, żelazca zaś z gwoździ wydobytych z bata, nad wyciąganiem których tak namordowaliśmy się podczas naszej ostatniej wycieczki. A jak się wprawiłem w strzelanie, przekonam was natychmiast.

To rzekłszy, napiął łuk, wymierzył, a śliczna papuga, kołysząca się o czterdzieści kroków na krzaku zamji, padła nieżywa.

— Otóż mamy i trzecią papugę! — zawołał Jerzy, przynosząc ją z triumfem. — Dla każdego jedna, będziemy mieli dziś przewyborne pieczyste.

— Czy myślisz je upiec po indyjsku, czy po karaibsku? — zagadnęła Nelly z uśmiechem.

— Moja panno — odrzekł poważnie Jerzy — trzeba ci wiedzieć, że drób nie piecze się po indyjsku, ale na rożnie.

— A skądże, mój panie, weźmiesz rożna, jeżeli wolno zapytać? — mówiła Nelly.

— Zaraz zobaczysz, rozpal tylko ogień. A ty, Saro, masz oto nóż, oskub i wypatrosz moją zdobycz.

— No proszę, jak on nam rozkazuje — zawołała Sara — myślałby kto, że jest najstarszym z nas wszystkich.

— Mam do tego prawo — rzekł z udaną dumą malec. — Ja jestem mężczyzną, rozumiecie. A więc choć najmłodszy co do wieku, jestem najstarszym co do godności. Ogłaszam się Jerzym I, królem tej wyspy, i mianuję ciebie, Saro, wielkim burgrabią moich pałaców, a ty, Nelly, jesteś wyniesioną na urząd wielkiego kuchmistrza mojej królewskiej mości.

— Przyjmuję z wdzięcznością te dostojeństwa — rzekła, skłaniając się z komiczną pokorą, Sara.

— I ja poddaję się twym rozkazom, najpotężniejszy monarcho.

— Dosyć tego — zawołał Jerzy, odchodząc z powagą. — Dalej, wielki burgrabio, skub papugi, a ty, wielki kuchmistrzu, pal ogień.

Wkrótce potem wrócił malec, trzymając w ręku gładki kij, który miał zastąpić rożen. Zasadzono nań papugi, które piekły się doskonale. Wprawdzie nie

mieli masła do ich smarowania, ale były tak tłuste, że się i bez niego obeszło.

Po smacznie zjedzonym obiedzie, wyszli podług zwyczaju na przechadzkę. Tym razem Jerzy objął kierunek spaceru i wyprowadził siostry na wysokie wzgórze, wznoszące się nad przystanią, do której po rozbiciu się wylądowali. Na szczycie wzgórza Sara z podziwieniem ujrzała duży stos, z różnych kawałków drzewa złożony.

— Co to ma znaczyć? kto to ułożył? — zapytały obie siostry z pośpiechem i ciekawością.

— To jest stos, który ułożyłem, ażeby, gdy przypadkiem jaki okręt ukaże się zdaleka, dać mu znać, że tu jesteśmy i potrzebujemy ratunku. Źleby to było, gdybyśmy dopiero wtenczas zaczęli zbierać drzewo i stos układać, kiedy dostrzeżemy okręt, bo zanimbyśmy ogień rozniecili, byłoby za późno.

— Ja myślę — radziła Nelly — żeby na tej górze wbić wysoki słup, a na nim zawiesić chorągiew, toby zaraz na okręcie ludzie poznali, że tu jesteśmy.

— Niezła rada — rzekła Sara — ale cóż, kiedy na nieszczęście nie mamy z czego zrobić chorągwi, a więc twoja rada nie przyda się na nic. Ciekawa jednak jestem, skąd ci przyszło na myśl stos układać.

— Czy już zapomniałaś, kochana Saro, o mojej książce, o tych ślicznych podróżach, z których nauczyłem się sporządzać pieczeń na sposób indyjski? Och, jak to dobrze umieć czytać, gdyby nie to, nie umiałbym sobie teraz radzić w różnych potrzebach.

— Polowanie udało ci się nieźle — mówiła Sara — ale rybołóstwo całkiem się nie udaje, tyle razy byliśmy nad morzem i ani jednej nie złowiliśmy rybki.

— A gdybyśmy też poszli do jeziora, na którem widzieliśmy łabędzie? — zagadnęła Nelly — widziałam, iż do niego wpada niewielka rzeczka, w której mnóstwo uwijało się rybek. Może w niej prędzej uda się połów.

— Dobrze — odpowiedziała Sara — pójdziemy jutro rano, a może też Jerzemu uda się zastrzelić łabędzia, tobyśmy mieli przewyborny obiad.

— A więc zgoda — rzekł Jerzy — jutro tedy wielka wyprawa na jezioro.

Nazajutrz dzieci o świcie, obudziwszy się i zjadłszy skromne śniadanie, poszły ku lasowi, za którym leżało wzmiankowane jezioro. Na samym wstępie do lasu Sara zmieniła kierunek i zamiast iść wprost, skierowała na lewo.

— Omyliłaś się, Saro! — zawołał śpiesznie Jerzy — to nie tędy droga nad jezioro, trzeba iść wprost, pomiędzy te dwa kokosy.

— Nie bądź tak nagłym, braciszku, i idź tam, gdzie cię prowadzę, a zaręczam, że nie pożałujesz.

Uszedłszy kilkadziesiąt kroków pomiędzy zaroślami, weszli na małą łączkę, w pośrodku której stał szałas, zielonym liściem palm kokosowych pokryty.

— Co to jest? — zapytał Jerzy.

— Idź i zobacz.

Chłopiec pobiegł, Nelly również ciekawa dowie-

dzieć się, coby to było, pośpieszyła za nim. Skoro uchylili liście, zakrywające wnijście do szałasu, ujrzeli w pośrodku niewielkie wzniesienie, niby pagóreczek z ziemi, w środku którego tkwił krzyż z drzewa, dość zgrabnie wystrugany.

— Oto nasz kościół — mówiła ze wzruszeniem Sara. — Wybudowaliśmy dla siebie mieszkanie, a Stwórca Wszechmocny, który nas łaską swoją zachował przy życiu, nie ma żadnego przybytku. Wprawdzie On tego nie potrzebuje, gdyż cały świat jest Jego świątynią, ale tym sposobem możemy Panu Bogu okazać naszą wdzięczność za doznane dobrodziejstwa. Tutaj tedy codzień przychodzić będziemy dla podziękowania Wszechmocnemu Ojcu za Jego dary, a zarazem pomodlimy się za dusze ukochanych rodziców i dobrej Miss Skott, która dla nas drugą matką była. Dalej, siostrzyczko, dalej, Jerzy, poklękajmy i rozpocznijmy w dniu dzisiejszym nasze modły.

W milczeniu i pokorze upadły dzieci na kolana, modląc się gorąco, a łzy rozrzewnienia zrosiły świeże ich twarzyczki. Godzina przeszło upłynęła, zanim ukończyli nabożeństwo. Sara pierwsza powstała i w milczeniu dała znak dzieciom, aby to samo uczyniły. Cichutko wysunęła się gromadka z pod szałasu, który im teraz najwspanialszą zastępował świątynię, i zagłębiwszy się w las, długo, długo szli w milczeniu, nie śmiejąc przemówić słówka, aż nakoniec widok zwierciadlanej powierzchni jeziora wyrwał naszych wędrowców z zadumania, oznajmując, iż stanęli u kresu wycieczki.

Połów udał się nadspodziewanie, uchwycono trzy spore rybki, a Jerzy zabił z łuku młodego łabędzia, i przed wieczorem powrócili do domu, obciążeni zdobyczą.

Od tego dnia codziennie, ile razy tylko pogoda dozwalała, biegły opuszczone dziatki do swojej świątyni, ażeby pomodlić się i użalić przed Bogiem, ile razy spotkała je jaka dolegliwość, podziękować za każde dobrodziejstwo. Było im z tem bardzo dobrze, bardzo miło. Modlitwa pokrzepiała młode serduszka, a wstając od niej, nie zdawało się biednym rozbitkom, że są tak opuszczone; jakaś nadzieja wstępowała w ich dusze, i nie wątpiły, że je Bóg wybawi.

Tak schodził dzień za dniem, na rozmaitych zatrudnieniach. Sara i Nelly postąpiły w robieniu mat z włókna kokosowego i przysposobiły ich znaczny zapas, tak, że można było zasłać część podłogi w jaskini. Nabytek ten przydał im się bardzo, gdyż od czasu do czasu zaczynały deszcze ulewne padać, a wtedy kamienie jaskini nabierały jakiejś wilgoci i, pomimo wysłania kokosowym liściem, nieraz bardzo im ziębły nogi.

— Co to znaczy, że deszcze tak często padają? — zapytała Nelly.

— Alboż nie wiesz, że to znaczy zbliżenie się zimy — odpowiedział Jerzy. — Znać, siostrzyczko, że cię w Manilli zanadto zajmowały lalki, i nie miałaś czasu zająć się poważniejszemi rzeczami.

— Jakiemiż to poważniejszemi rzeczami, mój panie filozofie? — mruknęła niechętnie Nelly. — Pro-

szę mi nie wyrzucać moich lalek, bo to pan dobrodziej także po całych dniach jeździłeś na drewnianym koniu, albo ustawiałeś papierowych żołnierzy; tutaj dopiero zrobiłeś się tak nudnym i zajmujesz się poważnemi rzeczami.

— Widzisz, moja Nelciu, gdybyś była uważniejsza, tobyś pewnie nie zadawała tak zabawnego pytania: co znaczy, że deszcz tak często pada? Widziałaś w Manilli, że tam także co rok panowały ulewy, które w gorących krajach zastępują miejsce zimy, ale ty zawsze byłaś roztrzepana, i pewnie ci to nawet na myśl nie przyszło.

— Wstydź się, braciszku — odezwała się Sara — a któż to widział tak dokuczać siostrze.

— Co!... ja?... ja miałbym jej dokuczać! — zawołał Jerzy, tuląc Nelly do siebie. — Cóż to znowu? łezka w oczku, pfe! droga Nelciu, nie płacz, niech cię Bóg broni, bo jakbym to zobaczył raz jeszcze, to choć jestem mężczyzną, gotówbym się rozpłakać.

— Słuchajno ty, panie mężczyzno — zawołała Sara, chcąc uwagę obojga do innego zwrócić przedmiotu. — Czy nie doświadczyłeś przypadkiem bezsenności?

— Jakto? — zapytał zdziwiony chłopiec — wiesz przecie, że sypiam doskonale, i nieraz musicie mnie budzić, chociaż czasami wstaję pierwej od was.

— Tak, to prawda, rano śpisz wybornie, ale czy wieczorem zaraz usypiasz?

— Oj, co to, to nie; nieraz naprzewracam się długo, zanim usnąć zdołam, i wtedy najczęściej roz-

myślam nad różnemi wynalazkami; to mi sen sprowadza.

— Otóż widzisz, i mnie się noc zanadto długa zdaje. Czy nie możnaby jako zaradzić tej niedogodności, czy nie wymyśliłbyś nam jakiego światła?

— Wyborna myśl! — zawołał Jerzy — a że mi też to wprzód przez głowę nie przeszło. Słuchajcież tedy mojej pełnej twórczości głowy — dodał, napuszając się komicznie i biorąc pod boki — ze skorupy kokosowej będziemy mieli przewyborną lampkę!

— Hm, śliczna lampka — odezwała się z uśmiechem Sara — lampka, która się sama od ognia zapala.

— Nie tak prędko, jak ci się zdaje — rzekł Jerzy — skorupa kokosu twarda i nie tak bardzo palna.

— W rzeczy samej, dopóki nie przesiąknie tłuszczem, ale potem zobaczysz, co się z nią stanie.

— To prawda — mówił, zamyślając się, Jerzy.

— A więc cóż, moja pełna wynalazków i twórczości główko?

— Więc zrobimy lampę z muszli, których jest takie mnóstwo. Knot ukręci się z pochewek palmowych, albo z szczątków naszych dawnych sukien, które się w kącie poniewierają.

— Dobrze — rzekła Sara — ale skąd weźmiesz tłuszczu?

— Otóż to sęk, rzeczywiście sęk — rzekł smutno Jerzy — wszystko jest, tylko tłuszczu niema.

— A czy nie możnaby palić lampy bez tłuszczu? — zagadnęła Sara.

I obie dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

— Saro, wstydź się, czy możesz tak naśmiewać się ze mnie? — zawołał Jerzy. — Cóż ja temu winien, że nie mogę oleju naszej lampie dostarczyć. Ale wiecie co — dodał po chwili — wszakże na wyspach manilskich wytłaczają olej z kokosów a więc...

— A więc postaraj się o prasę.

— To rzecz najmniejsza, między ciężkiemi kamieniami dałoby się wycisnąć.

— Lecz jest inna przeszkoda, a to, że kokosów niewiele mamy, a na jeden wieczór trzebaby przynajmniej oleju z dziesięciu orzechów, według zaś mego zdania, lepiej je zjeść.

— Jabym może coś na to poradziła — odezwała się nieśmiało Nelly — ale braciszek zaraz mię wyśmieje.

— Mów! mów! kochana Nelciu — zawołał skwapliwie Jerzy — wszak widzisz, że i ja się z moją lampą nie tęgo spisałem, i wyśmiałyście mnie dopiero.

— Ale, bo ja nie jestem mężczyzną — rzekła Nelly, udając skromność.

— Ja, Jerzy I, król wyspy Wygnania, rozkazuję ci dla dobra naszego państwa odkryć ten wynalazek.

— Wczoraj widziałem tu wpobliżu jakieś czarne ziarnka na krzaku, rozgryzłam jedno i uczułam smak

nadzwyczaj tłusty, zdaje mi się, że z nich dałby się olej wycisnąć [1]).

— Pokażno te ziarnka, siostruniu.

Nelly pobiegła i przyniosła garść ziarnek. W istocie wnętrze było tak tłuste, że przez samo ściśnienie między palcami sączyło olej.

Nazbierano więc owych ziarn. Wszyscy troje otłukiwali je na kamykach, a potem Sara, która widziała, jak z potłuczonych jąder kokosu wyciska się olej, rozprażyła w kociołku nad ogniem parę kwart potłuczonych ziarn. Wsypawszy do kawałka starej bluzy, wszyscy troje wytłaczali je między kamieniami. Tak otrzymali z półtorej kwaterki gęstego oleju, a w nagrodę swej pracy mieli wieczorem pierwsze posiedzenie przy świetle.

Odtąd więc dzieci wieczorami plotły maty, a spajając je z sobą, w kilku tygodniach narobiły tyle, że nietylko osłoniły całą podłogę, ale nawet przy posłaniach zawiesiły sobie rodzaj dywaników na skalistej ścianie, tak, iż od wilgoci zabezpieczyły się zupełnie.

Zima szybkim zbliżała się krokiem, kilka niewielkich burz na początku maja [2]) zwiastowało nadejście tej pory. Jednego dnia gwałtowna nastąpiła ulewa, deszcz lał jak z kadzi, a chociaż dach dobrze zaopatrzony nie przepuścił wody, jednakże ta, pod-

---

[1]) Ziarnka te pochodzą z kleszczowiny (Ricinus communis), obfitującej w tłusty i gęsty olej, sprzedawany u nas w aptekach pod nazwą rycynowego.

[2]) Wiadomo, że na południowej półkuli pory roku przypadają odwrotnie, jak na północnej.

mywszy część ścianki kamienistej, wdarła się do mieszkania. Rozbitki co prędzej uchwyciwszy posłanie i trochę swych ruchomości, zanieśli je na wywyższone miejsce w jaskini i tam skupieni przepędzili dzień cały, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca i z trwogą przysłuchując się raz wraz uderzającym piorunom. Pomimo zasłonięcia otworu wchodowego i ciemności panującej w chatce, błyskawice, rozdzierające niebo, oświecały przerażającym blaskiem wnętrze chatki, tak, iż biedne dziatki musiały siedzieć z zamkniętemi oczyma, a nawet Jerzy, przechwalający się zawsze swoją męską odwagą i w istocie dość na swój wiek śmiały, drżał jak listek wobec straszliwych zjawisk przyrody.

Szczęściem nad wieczorem uspokoiła się burza. Naówczas odważyli się wyjść z zagrody. Przerażający widok przedstawił się ich oczom. Strumyk płynący opodal przybrał rozmiary rzeki. Rosnące nad jego korytem drzewa, powywracane z korzeniami, zawalały go. Piękna murawa, rozścielająca sie kobiercem przed chatką, cała zamulona, przedstawiała błotniste pole. Ogromny kokos, zgruchotany piorunem, leżał rozdarty na poły, słowem, spustoszenie dokoła smutkiem napełniło serduszka biednych wygnańców.

— Mój Boże, ileż szkody sprawiła jedna burza — mówił Jerzy. — Cóż to będzie, jak zima zapanuje w całej sile. Nie poznamy się na wiosnę z naszą piękną okolicą.

— Nie trwóż się, braciszku — odpowiedziała Sara — wszak przeszła zima również gwałtowna być

musiała, a jednakże znaku z tego nie zostało. Zamiast troszczyć się o przyszłość, pomyślmy raczej o teraźniejszości; trzeba zaradzić, ażeby za drugą ulewą woda nie zniszczyła nam naszej chatki.

— A i cóż my na to poradzić potrafimy — mówiła Nelly, wstrząsając główką — przecież nie w naszej mocy zatrzymać chmury i nie dozwolić padać deszczowi!

— To prawda — odparła Sara — ale w naszej mocy nadać spadłej wodzie kierunek i nie wpuścić jej do mieszkania.

— Jakim sposobem? — zagadnął z ciekawością Jerzy.

— Trzeba dokoła chatki wykopać rów głęboki dla zebrania wody i przekopać ściek dla odprowadzenia jej aż do strumienia.

— A więc bierzmy się do roboty natychmiast, bo któż zaręczy, że jutro znowu nie będzie ulewy.

Mozolna praca nie szła tak szybko, jakby to po ochocie małych robotników spodziewać się należało. Brak potrzebnych narzędzi stał temu na przeszkodzie. Jerzy dłótem, znalezionem w bacie, podważał ziemię. Obie zaś siostry dwiema płaskiemi muszlami odgrzebywały ją i odrzucały na bok. Chociaż grunt rozmiękły ułatwiał poniekąd pracę, to znów z drugiej strony dzieci walały ręce, pracując, i co chwila musiały biegać do bliskiego strumienia dla ich obmycia.

Noc już panowała, a rozbitki pracowały usilnie. Nawet przy blasku księżyca długo ciągnęła się robota, ale i tak zaledwie skończyli ją w połowie. Znużeni,

utrudzeni i głodni, powróciwszy do chatki, chcieli się czem posilić, ale znalazł się zaledwie jeden orzech kokosowy, który nie zaspokoił wcale ich apetytu, tak, iż głodni spać się pokładli.

Na drugi dzień znowu do południa deszcz padał, tak, iż wyjść na krok nie było można. Biedne dzieci były bardzo głodne. Jerzy znalazł wprawdzie dwa daktyle, ale cóż to znaczyło dla trzech wygłodniałych żołądków. Gdyby ulewa potrwała kilka dni, trzeba było albo umierać z głodu albo narazić się na wyjście wśród strasznej burzy. Skoro się wypogodziło, Sara wybiegła na brzeg morski dla uzbierania muszli, Jerzy ubił papugę, a Nelly przyniosła nieco daktylów.

Po obiedzie, który im nadzwyczaj smakował, naradzano się, jak podobnemu brakowi nadal zapobiec.

— Najprzód trzeba dokończyć kopania rowu, gdyż choć dzisiaj nie tak jak wczoraj, zawsze przecież woda dochodzi do mieszkania.

— Jabym zaś myślał, Saro, że najprzód trzeba się postarać o zapasy żywności, bo nacóż nam się rów przyda, jak poumieramy z głodu?

— I to potrzebne, i tamtego zaniedbywać nie można — mówiła Nelly. — My z Sarą będziemy rów kopały, a ty, Jerzy, zgromadzaj żywność.

— Zgoda! — zawołał chłopiec — ale gdzież ją przechowamy?

— Czy uważaliście otwór w górze naszej jaskini? Nie myślałam wprzód o nim, ale teraz widzę, że mógłby się przydać dla przechowania owoców, tylko

trudno się do niego dostać, bo jest o kilka łokci w górze.

— To bagatelka — rzekł Jerzy — mamy dość tyczek i włókna kokosowego, to się powiąże drabinkę, a więc, siostrzyczki, kończcie waszą pracę, a ja, skoro przyniosę coś do jedzenia, pomyślę o spiżarce.

Na parę godzin przed wieczorem Jerzy wrócił, dźwigając na plecach w pochewce palmowej, niby w worku, spory zapas daktyli. Oprócz tego przyniósł kilkanaście jaj różnych ptaków i jakieś małe zwierzątko, podobne zupełnie do wiewiórki, tylko że od przednich do tylnych nóg miało wyciągniętą skórę i za jej pomocą jakby na skrzydłach z drzewa na drzewo przelatywało. Był to tak zwany workolot, żyjący jedynie na wyspach australskich.

Kiedy Sara zajęła się przyrządzaniem wieczerzy, a Nelly kończyła kopanie rowku tuż ponad strumieniem, Jerzy sporządził drabinkę, wiążąc do dwóch tyczek szczeble włóknami kokosowemi. Wkrótce była gotowa, przystawił ją więc do opoki i z niemałą ciekawością począł się wspinać do otworu, znajdującego się w skale, otaczającej jaskinię. Obejrzawszy go z wierzchu, próbował się wsunąć wewnątrz, gdyż otwór ten zdawał się zachodzić dosyć głęboko w środek skały.

— Nelly! Nelly! — zawołał chłopczyk.

— Czego chcesz, Jerzy?— zapytała dziewczynka, przybiegając szybko.

— Podaj mi co żywo młotek i dłóto, zdaje mi się, że będziemy mieli doskonałą spiżarnię, ale po-

trzeba wprzód otwór rozprzestrzenić, gdyż niepodobna dostać się w środek, taki ciasny.

— Ależ kamień twardy — zauważyła Nelly, podając żądane przedmioty.

— Już ty się nie pytaj, moja w tem głowa — zawołał chłopiec i, pochwyciwszy młotek, silnie w przyłożone dłóto uderzać począł. Po chwili oderwał się jeden kamień, następnie drugi i tak dalej, a chłopiec bez przestanku aż do samej wieczerzy pracował zawzięcie, tak, iż Nelly po kilkakroć musiała go wołać, zanim spocony cały zeszedł z drabiny.

— I cóż, braciszku? — zapytała Sara — bardzoś się napracował? Powiedz nam, coś zrobił.

— Zostałem kamieniarzem, jak widzisz, kochana Saro.

— Widzę to po zakurzonych sukniach, lecz nie o to mi chodzi; chciałam się dowiedzieć, coś tam kuł tak zawzięcie?

— Pozwólcie mi, że o tem zamilczę; jeżeli uda mi się zakończyć, co rozpocząłem, w takim razie dowiecie się o wszystkiem, jeżeli nie, nacóż się naprzód chwalić.

— Bardzo mi się podoba twoja mowa, Jerzy. Tak właśnie pracowity i wytrwały w swych zamiarach człowiek mówić powinien. Przechwałki zgóry do niczego nie prowadzą.

Powiedziawszy to, Sara poczęła rozdzielać szczupłą wieczerzę, nie badając już więcej.

Przez kilka dni pogoda śliczna pozwoliła skończyć przedzimowe prace. Siostry obie umacniały mur

zewnętrzny nowemi pokładami kamieni, poczem starannie zalepiały wszystkie otwory, przez które woda lub wiatr mogły się wciskać do wnętrza chatki. Dach otrzymał jeszcze kilka nowych pokładów z liścia, aby zupełnie nie przepuszczał wody. Podłogę ułożyły z desek rozebranego w części bata, wysłały liśćmi kokosowemi, które jeszcze na wiosnę poznosiły. Zrobiły zapas pochewek palmowych, powypychały je suchym mchem, jakby poduszki. Ze skórek kangurów, dydelfów i oposumów, które Jerzy różnemi czasami pozabijał, Sara zaś, jak umiała, solą morską wyprawiła, zrobiły kołderkę wspólną dla siebie i Nelly, a drugą dla brata, zeszywając je zapomocą kolców zamji i włókna lnianego.

Tymczasem Jerzy w dwóch pierwszych dniach taką dziurę w skale rozprzestrzenił, że wszystkie zapasy mogły się w nowej jaskince umieścić. Wysłano ją suchym liściem, a tak spiżarka była gotowa, należało tylko postarać się, ażeby ją było czem zapełnić.

W tym celu ponad jeziorem dzieci podpaliły kilka pni daktylowych i kokosowych; z zwalonych drzew było paręset owoców kokosowych i tak dużo daktyli, że je przez dwa dni zaledwie zniesiono. Kokosy ułożyli w piramidy podobne do tych, jakie z kul armatnich robią, daktyle zaś umieszczono w spiżarce, przekładając od zepsucia liśćmi palmowemi.

Oprócz tego Jerzy usilnie szukał jaj ptasich, a znalezione układał cieńszemi końcami na dół i przesypywał piaskiem, co je od stęchnienia broniło. Nieraz wspinał się nawet na drzewa, szukając gniazd.

Na jednej z takich wypraw obskoczył go rój pszczół; przelękniony chłopiec począł przeraźliwie krzyczeć, lękając się ukąszeń, lecz wkrótce z zadziwieniem spostrzegł, iż wcale nie kąsają. Był to bowiem gatunek pszczół australskich, nie mających żądeł. Ośmielony tem, zaczął poszukiwać barci i w istocie wkrótce ją znalazł. Kilkanaście plastrów miodu nagrodziło te trudy. Trudno wypowiedzieć, jak ten przysmak naszym rozbitkom smakował. Jerzy poobwijał plastry w liście palmowe i zachował je w spiżarni na zimę.

Jednego dnia Nelly, przynosząc kilka garści jakiegoś ziela, rzekła:

— Saro i Jerzy, zawsze macie jakieś pomysły ku wspólnej wygodzie, może też i mój na coś się przyda. Słyszałam od Miss Skott, że na Sumatrze z tego gatunku ostrokrzewu [1]) krajowcy sporządzają sobie herbatę; nazbierałam go i nasuszyłam. Gdybyśmy też spróbowali zrobić sobie ten napój, jakże wyborne mielibyśmy śniadanie!

— A czy to tylko nie trucizna? — zapytał ostrożnie Jerzy.

— Bądź spokojny! — odpowiedziała Sara — znam tę roślinę, chociaż herbaty z niej nigdy nie piłam.

Natychmiast nastawiła kociołek rzeczną wodą, a ponieważ nie mieli czajnika, skoro więc woda zawrzała, wsypała garść listków ostrokrzewu i zestawiła z ognia. Poczem z dodatkiem miodu ponalewała her-

---

[1]) Liści rośliny Ilex paraguayensis używają w Ameryce południowej zamiast herbaty.

batę w muszle, która im też wybornie smakowała. Tak wynalazek Nelly bardzo się przydał. Odtąd bowiem mieli ciepły napój, którego brak bardzo im dotąd uczuwać się dawał.

Wkrótce potem nadeszła uciążliwa pora deszczów. Niebo, zaciągnięte chmurami barwy ołowianej, smutną przybrało postać. Po całych dniach plusk nieznośny deszczu i szum wiatru przerywał ciszę. Biednym wygnańcom przykrzyło się niezmiernie. Czasami po kilka dni po sobie następujących nie można było wychylić się z mieszkania. Wilgoć przenikała wszystko, tak, że nawet dłużej na ziemi sypiać nie mogli, i Sara, przy pomocy Jerzego wykuła w skale, lubo z wielkim trudem, rodzaj łóżek, na które poprzenosili swe posłania. Żywność wprawdzie mieli, lecz musieli ograniczać się w jej użyciu, gdyż rzadko kiedy, korzystając z chwilowej przerwy, można było wybiec nad brzeg morski albo do lasu dla uzbierania jakichkolwiek zapasów.

Jednego dnia, kiedy chmury przerzedziły się nieco, i uspokojenie wiatru obiecywało kilka godzin pogody, Jerzy, zabrawszy łuk i strzały, wybiegł z chatki w nadziei ubicia jakiego ptaka; od kilku bowiem dni mięsa nie kosztowali, a mała Nelly, skutkiem wilgoci, bardzo zasłabła. Trochę gorącego rosołu mogło ją bardzo pokrzepić, sama więc Sara namawiała brata, żeby szczęścia spróbował.

Upłynęło parę godzin, a chłopiec nie wracał; nakoniec minęło południe, i słońce poczęło chylić się ku zachodowi, a chłopca jak nie było, tak nie było.

Wprawdzie czasami Jerzy całe dnie bawił w lesie, ale to bywało wśród lata; obecnie zaś tak dla pory deszczowej, jako też dla słabości siostry, potrzebującej posiłku, dawno już powinien był wrócić. Sara, w najwyższym stopniu niespokojna, nie wiedziała, co ma począć. Z jednej strony bała się opuszczać chatki i pozostawić samą Nelly w domu; z drugiej lękała się, czy Jerzemu nie wydarzył się jaki wypadek. Widząc to, chora poczęła gorąco namawiać siostrę, ażeby wybiegła poszukać brata.

— Przecież mię tu nic złego spotkać nie może; idź, idź, moja Saro, wszak długo bawić nie będziesz, a tam może braciszek bardzo potrzebuje twojej pomocy. Śpiesz się, siostrzyczko, bo niedługo wieczór zapadnie, a potem daleko trudniej ci będzie wyszukać naszego myśliwca.

Sara nie dała się dłużej namawiać; pozostawiwszy siostrę opiece Boskiej, puściła się śpiesznie drogą do lasu.

Długi czas nadaremnie przebiegała znajome ścieżki. Zwiedziła dolinkę, na której stał szałas, przeznaczony na kapliczkę, dziś smutny i opuszczony, gdyż w nim dawno z powodu deszczów nie byli. Następnie puściła się doliną, prowadzącą ponad jezioro, tutaj bowiem Jerzy najczęściej polował, ale i tutaj nie mogła dojrzeć żadnych znaków, któreby jej wskazać mogły drogę brata. Nakoniec w jednem miejscu spostrzegła kilka połamanych gałęzi na przyległych krzakach. Z bijącem sercem przedarła się przez gęstwinę i wydała krzyk przerażenia. Jerzy leżał bez

ruchu rozciągnięty na ziemi, wybladły, z zakrwawioną twarzą. Z niewypowiedzianą szybkością rzuciła się ku niemu i pochwyciła za ręce sztywne i zimne.

— Jerzy! Jerzy! drogi braciszku! —wołała w rozpaczy biedna dziewczyna, wstrząsając martwem ciałem nieszczęśliwego chłopca. — Jerzy! o mój Boże! Cóż się to stało!

Opodal płynął strumyk. Sara zaczerpnęła zeń wody i kilkakrotnie plusnęła na twarz brata; po chwili ciężkie westchnienie wydarło się z piersi ranionego, lekki rumieniec zabarwił bladą jego twarzyczkę, wreszcie otworzył oczęta.

Dużo czasu upłynęło, zanim przyszedł do zupełnej przytomności i mógł wyrzec słowo. Sara podniosła go, posadziła pod drzewem, opierając plecy o pień jego. Nakoniec, zebrawszy zmysły, opowiedział jej, co się stało.

— Długo chodziłem po lesie, ani jednego ptaszka dostrzec nie mogłem; już myślałem powrócić bez niczego, kiedy w tych krzakach usłyszałem szelest. Szybko przedarłem się przez gęstwinę i nagle ujrzałem młodego kangura. Nie tracąc czasu, wziąłem go na cel i wypuściłem strzałę, która nie chybiła celu. W tej samej chwili usłyszałem szelest za sobą a obejrzawszy się, ujrzałem przed sobą starą samicę, strasznie rozjuszoną. Zanim mogłem pomyśleć o obronię, już ugodzony silnem uderzeniem w głowę leżałem na ziemi. Co się dalej stało, nie wiem, jak długo leżałem, także nie umiem ci powiedzieć, lecz myślę, że się to stało przed paru godzinami, gdyż wówczas było po-

ludnie. Dopiero teraz, kiedym cię ujrzał, przyszedłem do przytomności. Lecz uderzenie musiało być silne, bo głowa bardzo mię boli.

Sara opatrzyła główkę Jerzego. Wprawdzie kangurzyca rozdarła mu pazurem skórę na czaszce, ale kość nie była naruszona. Chłopczyk przy pomocy siostry podniósł się i zawlókł nad brzeg strumienia. Dziewczynka obmyła mu ranę, obwiązała ją kawałkiem oddartej sukni i dała wody, co pokrzepiło biednego myśliwca, tak, iż zwolna bardzo, ale przecież mógł postępować. Natychmiast wyruszyli ku domowi. Sara przeszukała przed odejściem okoliczne krzaki, myśląc, że znajdzie ubite zwierzę, ale nadaremnie. Znać stara samica zabrała zwłoki szczenięcia.

Powoli, często odpoczywając, szli biedni wygnańcy do chatki, gdzie słaba Nelly z utęsknieniem i niespokojnością wyglądała ich powrotu. Późno już było, kiedy stanęli przy zagrodzie, którą z największą trudnością raniony chłopczyk przebył. Sara ułożyła go na posłaniu i przykryła, czem mogła. Nieco mleka kokosowego orzeźwiło i pokrzepiło chorego, tak, że wkrótce usnął; lecz i Nelly, bądź skutkiem osłabienia, bądź ze zmartwienia i niespokojności, mocnej dostała gorączki. Sen jej był nadzwyczaj niespokojny; mówiła dużo i zrywała się często, a biedna Sara, wcale nie myśląc o spoczynku, od jednego do drugiej naprzemian przechodziła, śledząc z niespokojnością postępy choroby.

Biedne dziecko, pozbawione wszelkiej pomocy, drżąc o życie ukochanego rodzeństwa, przepędziło

noc całą bądź przy posłaniach chorych, bądź też na kolanach, prosząc Stwórcy o pomoc i zmiłowanie. Gdyby też nie modlitwa i ufność w Bogu, kto wie, czy sama ze zmartwienia nie uległaby cierpieniu.

Dzięki jednak niebu, oboje zwolna przyszli do siebie. Jerzy we dwa dni już był zdrów zupełnie i mógł Sarze dopomagać w codziennych zatrudnieniach. Nelly wprawdzie parę dni jeszcze przeleżała, lecz na szczęście przez tydzień blisko deszcz nie padał, a pogoda i ciepłe promyki słońca przywróciły siły małemu dziewczęciu.

Tymczasem dzieci zrobiły ważne odkrycie. Jerzy nie chodził do lasu, gdyż od wiadomego wypadku Sara nie pozwalała mu samemu zapuszczać się w te strony; obrał więc sobie za miejsce przechadzek brzeg morski. Jednego razu wszyscy troje, korzystając z chwilowej pogody, poszli brzegiem blisko na pół mili od domu, a ponieważ księżyc pięknie świecił, nie chciało im się powracać do domu, lecz siedząc nad brzegiem, wpatrywali się w fale morskie, w których igrał blask srebrzysty tej pięknej nocnej gwiazdy.

Nagle z bałwanów morskich wynurzyło się coś czarnego; przelęknione dzieci zerwały się, chcąc uciekać, lecz w tejże chwili ujrzały przy świetle księżyca, że to był żółw morski; wkrótce kilkanaście innych wydobyło się z wody i po piasku zaczęły się posuwać zwolna ku trzcinowym zaroślom, o paręset kroków od brzegu oddalonym.

— O, gdyby to można choć jednego żółwia upo-

lować! — zawołał Jerzy — mielibyśmy przewyborną zupę, której Nelly bardzo potrzebuje.

— I tobie przydałaby się ona — mówiła Sara. — Idźmy więc zwolna i zastąpmy drogę żółwiom, gdy będą wracały napowrót, a może nam się uda złowić choć jedno z tych pożytecznych stworzeń.

Natychmiast w cichości wyruszyli w kierunku zarośli. Nelly postępowała ztyłu, gdyż siły jej jeszcze nie dozwalały mieszać się do walki. Sara upatrzyła małego żółwia, mającego najwięcej łokieć średnicy. Na dany znak poskoczyli oboje z Jerzym i, uchwyciwszy z boku za skorupę, zdołali przewrócić go na wznak. Wtedy żółw był ich zdobyczą. Jerzy, który nosił zawsze przy sobie sznury z kokosowych włókien, uwiązał je do skorupy i, zaprzągłszy się wraz z Sarą, ciągnęli zdobycz do chatki. Praca ta jednak była tak uciążliwa, że już po północy stanęli w domu. Jerzy żółwia zabił, a na drugi dzień przewyborna i posilna zupa pokrzepiła rozbitków.

Odtąd, ile razy trzeba im było mięsa, a pogoda dozwalała, wychodzili na brzeg morski, zbierając zarazem smaczne jaja żółwie, których znajdowali mnóstwo w nadbrzeżnym piasku.

Mięsa tego jednak było za dużo, a że w gorącym klimacie nie da się przechowywać, musieli przeto znaczną część wrzucać w morze, ażeby wyziewy psującego się mięsa nie zarażały powietrza.

Przeszła zima, i znowu wiosna ożyła w całej sile. Liście bujne pokryły drzewa, rozwinęło się mnóstwo kwiecia, woń napełniała powietrze. Ale

wdzięki te przyrody straciły swój wpływ czarowny na serca biednych rozbitków.

Lubo pozbawieni mnóstwa wygód, do których nawykli od lat dziecinnych, prowadzili jednak życie dość znośne, i pod tym względem najmniejsze użalenie się z ust ich nie wyszło.

Żywności mieli poddostatkiem, na sukienki palma zawsze gotową miała materję, a biegłe rączęta Sary umiały z niej zawsze ozdobną, a coraz odmienną sporządzać odzież; nie brakło i miodu słodkiego i orzechów kokosowych, daktyli, jaj żółwich, a nawet i mięsa. Dlaczego dziatki straciły dawny swobodny humor?

Oto od swej słabości mała Nelly coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Luba jej twarzyczka pobladła i zmizerniała. Pod oczętami sinawe porobiły się plamy, źrenice dziwnym błyskały ogniem, a z piersi dobywał się suchy i męczący kaszel, okrywając potem jasne czołko.

Nie skarżyła się, nie narzekała, owszem postępowanie jej nabrało dziwnej słodyczy w obejściu się z bratem i siostrą. Stała się łagodną, uprzejmą, uprzedzającą jak nigdy.

Sara była w rozpaczy, nadskakiwała siostrze, dogadzała jej, czem tylko mogła. Najpiękniejsze owoce, najdelikatniejsze cząstki mięsa żółwiowego dla niej chowała, udając wesołą śmieszkę; ale gdy znalazła wolną chwilę, biegła w zarośle, klękała i modliła się z płaczem, błagając Stwórcy, ażeby powrócił zdrowie kochanemu dziecięciu.

Co się działo z Jerzym, trudno opisać. Biedny chłopiec stracił cały swój humor, nic go nie bawiło, ani polowanie, ani rybołowstwo. Wesołe żarciki opuściły go. Nieraz całemi godzinami siadywał nad brzegiem morskim, śledząc napróżno zbawczego statku, to znów zalewał się łzami.

Nie uszło to uwagi Nelly, nie przewidywała jednak, że to ona jest przyczyną smutku brata, sądziła, że i on jest słaby i raz, zastawszy go zadumanego, zapytała troskliwie:

— Co ci jest, kochany Jerzy? posmutniałeś, pobladłeś, czy ci co dolega?

— Ach, moja duszko — odpowiedział chłopczyk— nie uwierzysz, jak mi się tutaj przykrzy, co rano wybiegam nad morze, patrząc, czy się nie pokaże okręt, któryby nas z tej pustyni wybawił. Dwa lata już przeszło, jak tu zostajemy, kiedyż się to skończy!

— Daj pokój, Jerzy — odezwała się Sara — nie powiększaj twem narzekaniem smutku sióstr. Czy nie widzisz, jak Nelcię boli twoje utyskiwanie? Jej także przykrzy się i mnie to samo, a przecież cierpliwie poddajemy się woli Bożej.

— O nie, kochana Saro, mnie się wcale nie przykrzy, przyzwyczaiłem się do naszej wyspy. Tutaj po raz ostatni widziałem kochanego ojca, zdaje mi się, ze gdzieindziej żyćbym nie mogła. Dziś śnili mi się oboje drodzy rodzice; matka tuliła mię do piersi, ojciec pokrywał pocałunkami. Oboje tak ślicznie wyglądali, twarze ich były świeże i jasne, spojrzenia ich słodkie i łagodne; ojciec mówił do mnie: — bądź spo-

kojna, maja Nelciu, da Bóg że niedługo zobaczymy się z sobą.

Jerzy wybuchnął głośnym płaczem.

— Czego płaczesz, braciszku? — zapytała go Nelly słodko — czy ty nie chciałbyś zobaczyć naszych drogich rodziców? Alboż nam nie lepiej byłoby przy nich, aniżeli na tej bezludnej wyspie, a chociażby i w Anglji? Kogóż tam mamy? Wszystkie nasze wspomnienia tutaj!

— Sen twój był bardzo piękny, Nelciu — zawołała Sara, wstrzymując łzy, cisnące się gwałtem do oczu.—Myślę przecież, że i tutaj nie jest nam tak źle, a da Bóg, z rodzicami kiedyś się zobaczymy, aby się z nimi nigdy już nie rozłączać.

— Prawda, kochana Saro, ale im się tam bardzo przykrzy bez dzieci. Wszak nas tu troje, a oni tam sami, któż im usłuży? kto ich rozweseli?

— Aniołowie Pańscy — rzekła Sara poważnie.

— O! przecież byłoby im daleko przyjemniej mieć swojego aniołka — rzekła Nelly, zamyślając się.

Jerzy wybiegł, bo się nie mógł wstrzymać od płaczu.

I znowu parę upłynęło miesięcy.

Zdawało się, że ciepłe powietrze lata zbawiennie wpływa na zdrowie Nelly; nie kaszlała już w dzień, w nocy tylko męczyła ją duszność. Sara otulała ją nakryciem ze skór kangurów i przyrządzała zawsze na noc napój z wody i miodu dla złagodzenia kaszlu. Dziewczynka dostała lepszego apetytu i stała się cokolwiek weselsza.

Jerzy ucieszył się tem niezmiernie i począł znowu po dawnemu żartować, ale Sara nie miała tej otuchy i z trwogą śledziła najmniejsze osłabienie siostrzyczki.

Jednego dnia o świcie, kiedy jeszcze siostry spały, wpadł Jerzy do chatki, którą był przed świtaniem opuścił.

— Saro! Nelly! Wstawajcie! Wstawajcie prędko!

— Co to jest! Co się stało? — zawołała z przestrachem Sara.

— Okręt! Okręt! o pół mili stąd na kotwicy!

— Czyż to być może? — krzyknęła Sara z największą radością.

— Pójdź, a zobaczysz — odrzekł Jerzy. — Dzisiaj w nocy jakoś spać nie mogłem. Nie wiem, czy jakieś przeczucie, czy też inna rzecz była tego powodem. Zerwałem się z posłania i pobiegłem ku morzu. Było mi tak gorąco, że chciałem się ochłodzić rannym powiewem wiatru morskiego. Zaledwie usiadłem, gdy wtem w oddaleniu coś błysnęło, a potem nagle potężny huk działa rozdarł powietrze. Czy nie słyszałyście?

— Nie! — odpowiedziała Sara — nad ranem mocno usnęłam.

— Ani ja także nie słyszałam — zawołała Nelly.

— Co się ze mną działo — opowiadał dalej Jerzy — tego nie umiem wam opisać. Zrobiło mi się tak gorąco, krew uderzyła do głowy, że o mało nie zemdlałem. O wy zemdlałybyście niezawodnie, ale mężczyźni mają daleko więcej siły. Chciałem was

o tem zawiadomić, ale bałem się, aby, nim wrócę, okręt nie odpłynął. Wybiegłem więc na wzgórek, gdzie leży stos oddawna przygotowany, i zapaliłem go. Pójdźcie, pójdźcie co żywo, pomożecie mi zbierać drzewo i dokładać do ognia, ażeby nie wypalił się i nie zgasł, zanim go spostrzegą z okrętu.

Wkrótce wszyscy troje zaczęli się piąć pod górę, lecz chociaż nie była wysoka, Nelly w połowie ustała, nie mogąc im nadążyć. Porwał ją silny kaszel, a gdy splunęła, krew ukazała się jej na ustach.

Sara na ten widok z żalu o mało nie zemdlała. Jerzy, zajęty okrętem, wcale tego nie dostrzegł, pędził tylko na wierzchołek, wołając:

— No, śpieszcie się, dziewczęta, bo mi bardzo potrzeba drzewa.

— Idź, idź, Saro — mówiła Nelly — mnie już daleko lepiej, idź, siostrzyczko, bo tu idzie o nasze ocalenie; ogień zgasnąć nie może, a biedny Jerzy nie da sobie rady.

Sara poszła, przygnieciona strasznem cierpieniem, prawie nie wiedziała, gdzie idzie i co robi.

— Ach, ty leniuszku! — zawołał Jerzy, widząc ją nadchodzącą — śpiesz się i dokładaj, czy nie widzisz, w jakich tu jestem opałach.

I w istocie, biedny chłopak, spocony i zdyszany, uwijał się, zwłócząc różne suche gałęzie.

Przy pomocy Sary ogień wzmógł się niezmiernie. Z okrętu dano znów ognia z działa, a przy wschodzącem słońcu rozbitki ujrzeli piękny bryg wojenny

z powiewającą flagą zjednoczonych trzech królestw Wielkiej Brytanji.

W godzinę potem przybiła szalupa do brzegu wyspy, a dowodzący nią midszypman zadziwił się niezmiernie, ujrzawszy troje opuszczonych dziatek, i oświadczył w imieniu kapitana, że je z największą chęcią zabiera do Anglji, dokąd właśnie płyną.

Zgromadzono wszystkie ruchomości rozbitków dla zabrania ich do Europy. Dzieci poszły do swojej świątyni podziękować Bogu za wybawienie z odludnej wyspy, na której przez 27 miesięcy zostawały.

Kapitan okrętu przyjął dziatki z współczuciem, słuchał opowiadania ich przygód, a gdy wymieniły nazwisko ojca, zawołał z najwyższem zadziwieniem:

— Jakto! wy jesteście dziećmi Johna Woodburne, który, płynąc do Europy, zginął z całą rodziną? Czy nie słyszałyście od rodziców nazwiska Harrego Wighton?

— I owszem — odpowiedziała Sara — jest to wujeczny brat mojej matki i służy w królewskiej marynarce.

— Ja to jestem! ja, drogie dzieci! Jakiż cud Boski sprowadził mnie w te strony!

I pochwycił jedno po drugiem, tuląc do łona i pokrywając pocałunkami.

Sieroty znalazły przecież opiekę i nie były same na ziemi.

Wkrótce potem okręt rozwinął żagle i po czteromiesięcznej żegludze zawinął do brzegów Anglji.

Ale biedna Nelly nie ujrzała swej ojczyzny,

umarła w mieście Cap, na przylądku Dobrej Nadziei, i tam grobowiec, ocieniony cienistym krzewem, pokrywa zwłoki kochanego dziecięcia.

Ani jej chwil ostatnich, ani żalu Sary i Jerzego nie chcemy opisywać, oszczędzając smutku naszym czytelnikom.

Za powrotem do Anglji Harry umieścił dzieci u swojej matki. Sara uczyła się na pensji, a we dwa lata po jej ukończeniu wyszła za Wiljama Wighton, syna kapitana Harrego. Jerzy w szkołach i na uniwersytecie w Cambridge kończył nauki i został prawnikiem; ale nigdy nie odzyskali oboje swobody umysłu, bo strata rodziców i ukochanej siostry zawsze boleśnie tkwiła w ich pamięci, a nieukojony smutek towarzyszył im aż do śmierci.

EMANUEL CRESPEL

pośród zlodowaciałych ziem Labradoru (1736).

Na północ niezmiernych dzierżaw Stanów Zjednoczonych rozciągają się posiadłości korony angielskiej, począwszy od brzegów Oceanu Atlantyckiego aż do Spokojnego. Rozległe te krainy kilkanaście razy przewyższają swą wielkością wyspy Brytańskie, lecz ludność ich stosunkowo jest bardzo mała, gdyż długie i ostre zimy nie dozwalają osiedlać się człowiekowi, jak tylko w wąskim pasie pogranicznym Stanom Zjednoczonym.

Ogniskiem posiadłości angielskich są obie Kanady, wyższa i niższa, dotykające pięciu ogromnych jezior Ameryki północnej; ku wschodowi Nowy Brunświk i Nowa Szkocja mają jeszcze nieco więcej mieszkańców; na zachodzie bardzo mało, a ku północy ciągną się puste wybrzeża morza Lodowatego, i mnóstwo rozległych wysp, wąskiemi pooddzielanych kanałami, na których nietylko żyć, ale jedną nawet przepędzić zimę jest omal niepodobieństwem.

Kanada niegdyś należała do Francuzów; po długich wojnach, w przeszłym wieku toczonych, An-

glicy wydarli ją dawnym posiadaczom; ludność jednakże do dziś dnia przeważnie jest francuska, a język tego narodu wszędzie tam usłyszeć można.

Do północno-wschodniej granicy Kanady dotyka obszerny półwysep trójkątny, noszący nazwę Labradoru. Marynarz, zwabiony obfitością ryb, morsów i psów morskich, goszczących tłumnie w wodach otaczających ten półwysep, gdy się ku niemu zbliży, dostrzeże wynurzające się z poza mglistej opony strome i skaliste brzegi, o które z wściekłością roztrącają się spienione fale oceanu. Odstraszającym tym krańcom w zupełności odpowiada wnętrze. Na falistej powierzchni półwyspu, złożonej z wzgórz i dolin, pustej i płonnej, nie dostrzeżesz nigdzie śladu pługa; jeziora i torfowiska gęsto rozsiane, ciche i martwe, napełniają cię grozą; gdzieniegdzie karłowate gaiki i smętne wrzosy są jedyną roślinnością wśród tej cmentarnej ziemi. Ku południowi tylko, ponad odnogą świętego Wawrzyńca, panuje nieco większa czynność przyrody; tu można napotkać lasy jodłowe niskiego porostu; pnie tych wspaniałych u nas drzew są tu pogięte i pokręcone, korę ich pokrywają porosty i mchy białe, w lesistych nizinach dyszą bagniska, zżółkłą podczas lata pokryte zielonością; jednem słowem, cała kraina ma charakter dziwnie smętny, zupełnie podbiegunowy.

Klimat jest nadzwyczaj surowy i nierównie ostrzejszy, aniżeli we wszystkich okolicach kuli ziemskiej pod tą samą szerokością geograficzną położonych, tak dalece, że misja hernhutów w Nain, leżąca

pod 57 stopniem szerokości północnej, ma taki sam klimat, jak przylądek północny (Nord Cap) w Laponji, leżący o 16 stopni bliżej bieguna.

Przez większą część roku cały półwysep jest śniegiem pokryty, a lodowce, nie topniejące nigdy, zajmują szczyty niezbyt wysokich wzgórz. Smutno tu i ponuro; oprócz koczujących na północy Eskimosów na całym ogromnym półwyspie znajduje się zaledwie kilka osad europejskich. Hernhuci założyli ich kilka między Eskimosami, i te mają nazwę misyj; na wybrzeżu wschodniem rybacy się osiedlili, lecz przebywają tu tylko w lecie, zimą zaś chaty stoją pustkami. W głąb kraju bardzo rzadko zapuszczają się biali, unikając tych smętnych pustyń; ku południowi, w górach Algonkinu, żyją nieliczne plemiona Indjan, trudniące się głównie polowaniem. Futra ubitych zwierząt zanoszą na wybrzeża morskie, wymieniając je na rozmaite potrzebne im przedmioty, a szczególnie na wódkę, którą namiętnie lubią. Dzicy owi są bardzo zwinni, strzelają wybornie z łuku; liczba ich jednak, mianowicie też w okolicach, gdzie się stykają z plemieniem białem, coraz bardziej się zmniejsza.

Przed stu jeszcze laty w południowych stronach Labradoru i obu Kanadach żyły bardzo liczne plemiona Indjan, stanowiące wiele małych ludów, znanych pod nazwą Irokezów, Huronów, Onejdów, Mohikanów, Algonkinów i t. d. W wojnach, toczących się pomiędzy Anglją i Francją, jedne z tych ludów trzymały stronę pierwszej, inne wspierały drugą; wojownicy ci straszni byli Europejczykom

przez swe podstępy, męstwo, a osobliwie znajomość kraju. Dziś ludność ta ogromnie się zmniejszyła; jedne pokolenia wyginęły zupełnie, inne, liczące niegdyś po parękroć sto tysięcy głów, dziś nie liczą więcej jak dwa do trzech tysięcy ludzi.

Gdy zczasem rasa czerwonych ludzi zupełnie w tych stronach zniknie, nie pozostanie po niej przyszłym mieszkańcom tej krainy nic innego, jak tylko nazwy gór, jezior i rzek, przez Indjan ponadawane. Europejczykowie przejęli prócz tego od dzikich sposób robienia łodzi z kory brzozowej, nadzwyczaj rzadko ulegających zepsuciu, a i w takim razie niezmiernie łatwych do naprawienia. Czółna te odznaczają się niezwykłą lekkością, tak dalece, że łódź, mogącą dwudziestu ludzi pomieścić, dwóch lub trzech silnych mężczyzn z łatwością na barkach potrafi przenieść.

Przy pomocy takich statków jedynie można podróżować po Kanadzie, przerzniętej mnóstwem rzek, rzeczek i jezior; zdarza się ich w ciągu kilku mil przebywać kilkanaście; jeżeli się czółno zepsuje, kawałek drutu i nieco smoły do naprawienia jego wystarcza, a kory nigdzie nie zabraknie.

Kanada i główna jej rzeka świętego Wawrzyńca inne dawniej nazwisko nosiły. Jan Barazani, żeglarz włoski, zostający w służbie francuskiej, objął tę ziemię w posiadanie dla króla Franciszka I, na początku szesnastego wieku i nazwał ją Nową Francją. W trzydzieści lat potem marynarz Jakób Cartior zapuścił się w górę rzeki świętego Wawrzyńca i dał jej imię

rzeki Nowej Francji. Odtąd przez dwa wieki należała do najznakomitszych osad francuskich, dopóki nie dostała się po długich, jak wspominaliśmy, wojnach w ręce Anglików.

Podówczas i dzisiejsze Stany Zjednoczone były osadą angielską, lecz do dziś dnia pomiędzy niemi a Kanadą zachodzi niezmierna różnica. Ludność Stanów jest pochodzenia angielskiego i składa się z protestantów rozmaitych wyznań, gdy tymczasem mieszkańcy Kanady są Francuzami i wyznają religję katolicką. Trzysta lat pobytu w Ameryce nie zatarło w potomkach pierwszych kolonistów pamięci macierzystego kraju, ani też nie wyrugowało języka, którego i dzisiaj jeszcze powszechnie tamtejsi mieszkańcy używają. W owych czasach duchowieństwo katolickie główny rej wodziło w kraju; zakładało misje i klasztory i utrzymywało szkółki, w których uczono zaledwie czytać i katechizmu.

Pomiędzy franciszkanami, znajdującymi się w Kanadzie przy końcu zeszłego wieku, był także Emanuel Crespel, ksiądz żarliwy, a obok tego bardzo łagodny i poczciwy. On to skreślił w roku 1742 pobyt swój w Kanadzie i przygody, jakich tam doznał. Dziełko bardzo zajmujące i ciekawe posłużyło za materjał do poniżej zamieszczonego opisu.

W r. 1724 wypłynął on z portu Rochelli do Ameryki i po półtrzeciamiesięcznej podróży wylądował szczęśliwie w Kwebeku, stolicy niższej Kanady. Po kilkudniowym wypoczynku Crespel został wysłany przez swoich przełożonych w głąb kraju do na-

wracania dzikich. Podczas dwunastoletniego pobytu pomiędzy Indjanami wyuczył się dokładnie języka Irokezów i Ułauków i poznał prawie całą Kanadę; nieraz jako kapelan, towarzysząc Francuzom w wyprawach przeciwko zbuntowanym krajowcom, przyzwyczaił się do znoszenia ostrego klimatu, głodu i wszelkiego rodzaju niewygód, co mu się później bardzo przydało.

Nakoniec w r. 1736, zmęczony długoletnią pracą, podał prośbę do przełożonych zgromadzenia, ażeby mu pozwolili powrócić do ojczyzny, a kiedy się na to zgodzono, Crespel wsiadł na okręt płynący do Francji w dniu 3 listopada 1736 roku.

Statek ów był prawie nowy, miał na pokładzie czternaście dział i znaczną osadę. Żegluga odbywała się bardzo powoli, gdyż wiatry przeciwne utrudniały pływ jego. Nakoniec dnia 14 listopada gwałtowny wicher rzucił okrętem na ławicę piaskową, odległą od lądu o pół mili i spód roztrzaskał; znajdowano się wtedy u południowego cypla wyspy Anticosti, leżącej naprzeciwko ujścia rzeki świętego Wawrzyńca.

W chwili tego nieszczęścia panowało wielkie zamieszanie na pokładzie. Wszyscy, kapitan, majtkowie i podróżni stracili prawie zmysły. Starszy tylko nad armatą miał tyle przytomności, że pochwycił kilka strzelb, baryłkę prochu i skrzynkę ładunku. Zaczęto spuszczać szalupę na wodę, mogła ona objąć przeszło dwadzieścia osób, lecz w pośpiechu zapomniano przymocować utrzymujących ją sznurów. Lina

na przodzie zerwała się w chwili spuszczania, łódź przechyliła się raptownie, a wszyscy w niej będący znaleźli śmierć w bezdniach morskich.

Po długich i daremnych usiłowaniach zdołano nareszcie dźwignąć i osadzić szalupę na morzu; lecz była tak mocno uszkodzona, że woda wdzierała się do środka; przytem gwałtowna nawałnica dopełniła miary nieszczęścia; deszcz lał jak z cebra, a rozhukane morze tak silnie miotało statkiem, że rozbitki straciły wszelką nadzieję ocalenia.

Widząc oczywistą śmierć przed sobą, Crespel udzielił wszystkim ogólnego rozgrzeszenia i śpiewał nad nimi psalmy za konających; poczem pomodliwszy się sam, obwinął się w płaszcz i czekał spokojnie zakończenia tej katastrofy.

Jednakże nie przyszło do ostatecznej zguby; właśnie wściekłość bałwanów ocaliła szalupę; ogromna fala, porwawszy ją na grzbiet, z szybkością błyskawicy poniosła ku brzegowi i aż na ląd rzuciła; a chociaż niejeden doznał szwanku, przecież nikt nie utracił życia. Któryś z majtków pochwycił linę szalupy w chwili, gdy ją fale napowrót porwać miały, i tym sposobem ocalił statek, mający wszystkim później oddać niemałe usługi.

Skoro rozbitki przypatrzyły się dobrze miejscu, na które ich morze wyrzuciło, poznały, że się nie znajdują na wyspie Anticosti, ale na innej ławicy, oddzielonej od lądu wąskim kanałem; nie bez niebezpieczeństwa powiodło się im przebyć tę głęboką cieśninę, a przeniesienie rzeczy niezmiernie utrudniło prze-

prawę. Kiedy już znajdowali się w bezpieczeństwie, rozpalili ognisko, żeby się rozgrzać, lecz nie było to tak łatwo, bo o tym czasie zima już tutaj potężnie panuje. Wyspa Anticosti leży wprawdzie pod tym samym stopniem szerokości północnej, co miasteczko Bochnia w Małopolsce, ale klimat jej jest tak surowy, jak u nas w północnej Szwecji. Wiatry północno-wschodnie napędzają tu od początku jesieni takie masy kry od biegunów, że zima zaczyna się wcześniej, trwa dłużej i jest daleko ostrzejsza, aniżeliby być powinna. Z tego też powodu wyspa ta, rozległa na 115 mil kwadratowych, zamieszkała jest w teraźniejszych czasach przez kilka zaledwie rodzin; w owej jednak epoce, kiedy się na niej rozbił Crespel, żywa dusza nie znajdowała się na niej. Gęste bory, bagniska, niziny zarosłe wrzosem i nagie skały, o które roztrącały się spienione fale, nadawały posępne i przerażające wejrzenie tej pustej krainie.

Po południu, kiedy morze uspokoiło się nieco, jeszcze sześć osób dostało się do lądu; na pokładzie było oprócz tych, siedmnastu. Rozbitki na wyspie nie miały najmniejszej odrobiny żywności, cała ich nadzieja spoczywała w zapasach okrętowych. Trzeba było koniecznie dostać się napowrót do statku, a uszkodzona szalupa nie mogła utrzymać się na wodzie, przedewszystkiem więc wzięto się do jej naprawy. Na tej robocie zeszło do nocy. Mróz dotkliwy, pomimo rozpalonych ognisk, tak dokuczał biedakom, iż sądzili, że do rana nie wytrzymają; pozostali przy okręcie byli przynajmniej pod dachem i mieli pościel.

Nad ranem morze uspokoiło się zupełnie; natychmiast dwóch majtków wsiadło w czółno i popłynęło do okrętu. Wkrótce powrócili stamtąd szczęśliwie i przywieźli z sobą narzędzia ciesielskie, smołę, topory i żagle. Z ostatnich rozbito duży namiot dla zasłonięcia się od wichru i śniegu, który ostatniej nocy spadł wyżej łokcia. Następnie zgłodniała rzesza posiliła się żywnością, przywiezioną z okrętu, ale obchodzono się z nią oszczędnie, ażeby na jak najdłuższy czas wystarczyć mogła.

Każdy z uratowanych otrzymał sześć łutów solonego mięsa, nieco buljonu i trochę jarzyn. Przez dzień następny pracowano nad sporządzeniem szalupy; drzewa dostarczył im las sąsiedni, a kiedy statek był gotów, zgromadzili się wszyscy na naradę, gdzie się obrócić.

Na okręcie znajdowało się wprawdzie zapasów na dwa miesiące, lecz na nieszczęście suchary podczas rozbicia całkiem rozmokły, a reszta pokarmów była popsuta. Po obliczeniu okazało się, że przy największej oszczędności żywności nie wystarczy na dłużej jak na sześć tygodni; jeżeliby przed upływem tego czasu nie udało się rozbitkom opuścić wyspy, lub Bóg im nie zesłał ratunku, śmierć głodowa groziłaby wszystkim.

W tej porze roku prawie nigdy okręty europejskie nie przepływały koło wyspy, zatem trudno było się spodziewać ratunku od ludzi, Mróz, śnieg, głód, niewygody i choroby sprzysięgły się na nieszczęśliwych rozbitków. Śnieg padał dzień i noc i pokrył

wszystko białym całunem; mniejsze strumienie zamarzły, a wzdłuż brzegów ukazywały się gęste kry, pędzone od północnego bieguna; ta ostatnia okoliczność najbardziej trwożyła osadę, gdyż lękali się, aby zamarzające przy brzegu morze nie oddzieliło ich wkrótce od całego świata; trzeba więc było coś postanowić jak najprędzej. Na odbytej naradzie Crespel zaproponował, aby udać się do Mingan, osady francuskiej zimowej, położonej na południowo-wschodnim brzegu Labradoru. Ażeby się tam dostać, należało opłynąć całą wyspę Anticosti i przebyć kanał na dwanaście mil szeroki.

W chwili odjazdu, ważna zaszła przeszkoda. Szalupa i małe czółno nie mogły pomieścić więcej ludzi jak trzydzieści, wszystkich zaś razem było pięćdziesiąt cztery. Powstał spór, który Crespel starał się załagodzić, radząc, aby część odpłynęła, zostawiwszy więcej niż połowę żywności pozostałym, a gdy się uda szczęśliwie dostać do osady francuskiej, żeby słali stamtąd okręt z pomocą swym opuszczonym współbraciom. Rady tej nie chcieli usłuchać ci, którym zależało na jak najprędszem opuszczeniu wyspy. Wkońcu jednak, kiedy ich zapewnił, że jak tylko doprowadzi szalupę do miejsca przeznaczenia, natychmiast sam po nich powróci, zdecydowało się 24 osób pozostać na wyspie Anticosti.

Przed odjazdem franciszkanin odprawił ofiarę Mszy świętej. Przemoczone szaty kapłańskie wysuszono przy ogniu; potem miał wzruszające kazanie, w którem napominał rozbitków, aby z wytrwałością

znosili dopuszczenie Boże i mieli ufność w nieskończonem miłosierdziu Stwórcy. Kiedy nadeszła chwila odjazdu, wszyscy zalali się łzami i żegnali się wśród głośnego łkania, i nie dziw, bo to było dla niejednego ostatniem pożegnaniem; mało który miał zobaczyć swych braci. Pozostali przeprowadzili na brzeg odjeżdżających i stali na nim, dopóki im z oczu nie zniknęli.

Dnia 27 listopada oba statki opuściły wyspę Anticosti; w szalupie znajdowało się siedmnastu, w bacie piętnastu; przez pierwsze dni pogoda i wiatr sprzyjały żeglarzom, mróz tylko dokuczał im nieznośnie, a przytem skąpa ilość żywności nie wystarczała na utrzymanie sił i ciepła wewnętrznego. Co wieczór wysiadali na brzeg dla przenocowania, a budzili się z rana całkiem przykryci śniegiem. Drugiego grudnia zawył wicher południowo-wschodni, pędząc oba statki ku wybrzeżom Labradoru, i wkrótce rozdzielił bat od szalupy. Crespel, znajdujący się w niej, nakłonił towarzyszów, aby około przylądka, zachodzącego głęboko w morze, oczekiwali na bat, lecz gdy się nie pokazywał, popłynięto dalej. Podczas tego czekania zastrzelono kilka lisów, które marynarze z wielkim apetytem spożyli, oszczędzając przez to innej żywności.

Wicher tymczasem uspokoił się, lecz inne niebezpieczeństwo groziło; około lądu nagromadzało się coraz więcej lodów, i lada chwila szalupa mogła być śród nich uwięziona. Z nadludzkiem wytężeniem pracowali, aby się oprzeć nadpływającym krom, lecz

jednego poranku, obudziwszy się, spostrzegli ze strachem, że szalupa, otoczona dokoła ogromnemi krami, nie może się z miejsca poruszyć. Nie pozostawało teraz jak tylko puścić się pieszo ku osadzie Mingan, albo też w miejscu oczekiwać nadejścia wiosny.

Byli tacy, którzy bądź co bądź chcieli koniecznie natychmiast wyruszyć dalej, przekonali się jednak wkrótce, że podobny zamiar byłby prawdziwem szaleństwem; wzmagający się mróz przyprawiłby niezawodnie wszystkich o śmierć; postanowiono przezimować w miejscu, gdzie się znajdowali.

Wybrano na założenie zimowiska miejsce o ile być może najbardziej zasłonięte od wiatru północnego i wschodniego. Wpobliżu znajdował się las jodłowy. Ścięto drzewa tyle, ile potrzeba było na wystawienie trzech chat; jedna miała służyć na mieszkanie kapitanowi, dwom oficerom i księdzu; druga duża dla majtków, trzecia na przechowanie żywności i narzędzi. Powiedzieliśmy wyżej, że dwudziestu czterem rozbitkom na wyspie Anticosti pozostawiono znaczniejszą część żywności. Cały zapas wzięty na szalupę składał się z paru baryłek mąki, mięsa solonego i grochu.

Dowodzący statkiem postanowił, że śpiżarnia ma być otwierana w obecności wszystkich, a to dlatego, ażeby żadne względy miejsca mieć nie mogły, i każdy równo otrzymał. Rozdział pożywienia urządzono w ten sposób: rano gotowano zupę z dwóch funtów mąki w śniegówce, na wieczór dwa funty mięsa solonego, także na zupę, zaprawioną pół fun-

tem mąki. Dwa razy w tydzień dodawano jeszcze parę garści grochu. Żywność tę rozdzielano na siedmnaście równych porcyj, ażeby nikomu krzywdy nie było. Było to wprawdzie pożywienie bardzo nędzne, lecz dostateczne do zachowania życia. Wkrótce atoli biedacy zaczęli chorować, gdyż ośm łutów strawy dziennej nie wystarcza na utrzymanie sił człowieka dorosłego.

Rozpacz ogarnęła wszystkich, każdy bowiem widział śmierć przed oczyma; wkrótce tak na siłach upadli, że zaledwie byli w stanie odgarnąć śnieg z przed drzwi chat swoich i narąbać drzewa na opał. Ubiory ich były w jak najgorszym stanie, a jedynem naczyniem do gotowania jadła, stary kocioł; jeżeliby jednak udało im się wytrzymać do końca kwietnia, to jest przez pięć miesięcy, to mogli mieć nadzieję uratowania się, po ustąpieniu lodów, na swej szalupie.

Duszą całego towarzystwa był pobożny kapłan; wzruszającemi naukami, mądrą radą i energją umiał powstrzymywać od rozpaczy swoich współbraci. Co wieczór zgromadzał wszystkich na wspólną modlitwę. W święta Bożego Narodzenia odprawił uroczyście Mszę świętą, a następnie miał pocieszające kazanie, w którem pobożnych upominał, ażeby mieli niezachwianą ufność w miłosierdziu Bożem, a cierpliwie oczekiwali, rychło Stwórca raczy wyzwolić ich z okropnego położenia.

Rok 1737, w którym cierpienia rozbitków miały dojść do najwyższego stopnia, rozpoczął się bardzo

smutno. W sam dzień Nowego roku gwałtowna ulewa, podobna do oberwania się chmury, nawiedziła całą okolicę i przemoczyła wszystko, co znajdowało się w chatach; lecz większa jeszcze klęska spotkała wygnańców; przez parę dni deszcz lał jak z cebra, roztopił śniegi dokoła, a wkońcu i lody nadbrzeżne: wicher zaczął pędzić kry od lądu a wraz z niemi i szalupę, jedyną nadzieję zbawienia, porwał na morze.

Można sobie wystawić przerażenie nieszczęsnych, gdy ujrzeli się pozbawionymi jedynego środka ocalenia. Wszyscy zaczęli na głos szlochać, a Crespel niemało użył trudów, zanim mu się powiodło trochę uspokoić rozpaczających. Piątego stycznia, kiedy burza uspokoiła się nieco, kapłan odprawił nabożeństwo, a potem zdołał namówić dwóch towarzyszów, ażeby się udali na zwiedzenie pobliskich zatok, czy przypadkiem do której wiatr nie zapędził zbawczej szalupy. Zaledwie minęły dwie godziny, ujrzano obydwóch powracających z wesołemi okrzykami. Wpobliżu osady rozbitków dwaj majtkowie natrafili na indyjski namiot, a w nim znaleźli siekierę i nieco słoniny z psa morskiego, obok zaś w zatoce dwa duże czółna z kory drzewnej. Zdobycz ta powróciła strapionym spokojność; widoczną było rzeczą, że okolica tutejsza tylko w zimie stoi pustkami, na wiosnę zaś odwiedzają ją Indjanie.

Dwaj majtkowie, zachęceni powodzeniem doznanem, na drugi dzień rano zrobili nową wycieczkę, a ta nie wyszła im na niekorzyść, bo nietylko znaleźli szalupę w bliskiej zatoce, ale nadto całą skrzy-

nię powrozów, którą morze tam wyrzuciło. Dziesiątego stycznia, wszyscy mogący utrzymać się na nogach poszli ku zatoce, ażeby szalupę napowrót sprowadzić, lecz dokazać tego nie mogli, albowiem statek znowu przymarzł i nie dał poruszyć się z miejsca.

Powrót do domu był bardzo uciążliwy, mróz chwycił tak silny, że przemarzli do kości; jeden z majtków upadł, nie mogąc kroku dalej postąpić; koledzy przynieśli go półmartwego do chaty, gdzie w parę godzin oddał ducha. Tegoż samego dnia zakończył życie cieśla okrętowy z przeziębienia i upadku sił. Nierównie straszniejszym był dzień 16 stycznia; z rana umarł kapitan okrętu, po nim dwóch majtków, a nad wieczorem artylerzysta; nakoniec 24 lutego jeden z najmłodszych towarzyszów wygnania pożegnał braci swoich na zawsze.

Można sobie wyobrazić, jak strasznie te liczne wypadki śmierci musiały działać na pozostałych. Z sercem przepełnionem trwogą i nadzieją oczekiwali wiosny, ażeby jak najprędzej opuścić złowrogie miejsce. Nowa klęska o mało reszty nie pozbawiła życia. Dnia 6 marca powstała taka śnieżyca, że chata, w której mieszkał ksiądz, zupełnie została zasypana. Z największem wysileniem Crespel, przy pomocy dwóch swoich współmieszkańców, zdołał przekopać się do chaty majtków, a że burza nie ustawała, i ogień wygasł, musieli wszyscy przepędzić cztery dni bez opału i prawie bez pokarmu.

Śnieg padał tak obficie, że ani można było pomyśleć o wychyleniu się z chaty, aby przynieść żyw-

Pracowali dla usunięcia śniegu...

ności; nareszcie czwartego dnia, kiedy już ostatek spożyli, należało koniecznie coś poradzić, gdyż wszystkich czekała śmierć nieodzowna. I tym razem, gdyby nie Crespel, wszyscyby marnie zginęli. Zmusił on prawie gwałtem trzech swoich towarzyszów, aby się z nim udali do składu żywności; przez kwadrans tylko pracowali dla usunięcia śniegu, zawalającego wnijście, a już w tak krótkim czasie dwaj majtkowie przemrozili sobie ręce i nogi i wkrótce potem wyzionęli ducha. Przy wzrastającym mrozie tenże sam los czekał innych, jeżeliby nie zdołano ognia rozniecić; znowu za namową księdza poszło z nim dwóch do lasu i przynieśli nieco drzewa, lecz nad wieczorem skończył się ten zapas, a jeden majtek z przeziębienia umarł.

Ponieważ w większej chacie, gdzie dotąd przebywali, zimno nader dotkliwie czuć się dawało, postanowili przenieść się do mniejszej, a więc łatwiejszej do ogrzania. Przeprowadzenie chorych było nadzwyczaj trudne. Dwóch z nich umarło; pogrzebani przy dawnych towarzyszach w śniegu. Tymczasem i na żywności poczęło zbywać; cały zapas składał się z siedmiu funtów mięsa, trzech funtów słoniny, dziesięciu grochu i siedmiu funtów świec łojowych. Crespel i Leger, pomimo mrozu, udali się na brzeg morski dla wyszukania muszli; powiodło im się to nadspodziewanie, a nowy ten pokarm, szczególnie też słabym, bardzo był pożądany.

Chorzy znajdowali się w najopłakańszym stanie; na całem ciele pokryci ranami, wychudli jak szkielety, z odmrożonemi rękami i nogami, jęczeli na po-

słaniu, wijąc się z boleści. O jakże okropny był stan tych biedaków, oddalonych od ojczyzny i krewnych, cierpiących straszliwie, a nie mających nadziei wyzdrowienia i powrotu do swoich!

Jednego dnia, kiedy mróz nieco zwolniał, Crespel, wyszedłszy przed chatę, usiadł na przewróconej kłodzie i odmawiał poranne modlitwy. Wtem zdało mu się, jakoby usłyszał w odległości strzał z fuzji. Przez chwilę słuchał z natężeniem, że jednak już nieraz jakiś huk słyszał, a nigdy nie dostrzegł ludzi, przeto mniemał, że i tym razem ludzi go podobieństwo. Po chwili ujrzał wychodzącego z lasu Indjanina w towarzystwie żony.

Był to właściciel namiotu, który znaleziono opodal osady. Crespel, umiejący, jak wiadomo, po indyjsku, opowiedział mu, w jak nieszczęśliwym znajdują się stanie. Dziki, obejrzawszy chorych, przyrzekł nazajutrz dostarczyć im zwierzyny, lecz w nocy znikli oboje, zabrawszy z sobą jedno czółno. Skoro to spostrzegli osadnicy, natychmiast drugie głęboko w śniegu zagrzebali.

Niejednego z czytających zapewne oburzy niegodny postępek Indjanina; jednakże to możemy powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że widok chorych przejął go bojaźnią, aby sam nie padł ofiarą zarazy. Przed przybyciem Europejczyków do Ameryki krajowcy nie znali chorób zaraźliwych, mianowicie też ospy, która najmniej połowę pierwotnej ludności indyjskiej wyniszczyła. Dziki myśliwiec wolał umknąć,

aniżeli siebie i żonę narażać, jak mniemał, na śmierć pewną.

I znów przeszło kilka tygodni w nędzy i cierpieniach; rozbitki zkolei wymarły, wyjąwszy Crespela, Legera i Fersta. Co się stało z piętnastoma znajdującymi się w bacie i dwudziestu czterema pozostawionymi na wyspie Anticosti, o tem trzej nasi wygnańcy nie wiedzieli. Ci biedacy żywili się muszlami znajdowanemi na morskiem wybrzeżu, a trzy funty szynki, resztę zapasów stanowiące, uważali za największy skarb. Z każdym dniem położenie ich stawało się nieznośniejszem; nareszcie za wspólną naradą postanowiono wsiąść w czółno i udać się na wyszukanie Indjanina. Ugotowawszy szynkę i napiwszy się buljonu, mieli już wsiąść w łódkę, gdy zapach szynki do tego stopnia ich podrażnił, że, nie pomnąc na straszne położenie, w mgnieniu oka ją z niezmierną pożarli chciwością. Tak więc nie pozostało im nic na drogę. Puszczać się czółnem bez żywności byłoby szaleństwem; na odbycie podróży pieszo sił nie starczyło. Nie pozostało więc nic innego, jak przygotować się na śmierć.

Crespel, upadłszy na kolana, zaczął się w głos modlić: »O Boże! — wołał — jeżeli taka Twoja wola, ażebyśmy wszyscy ulegli temu samemu losowi, co czternastu naszych braci, to nie odwłócz dłużej śmierci, niech się wypełni Twa święta wola, nie dozwalaj, abyśmy wprzód zwątpili w miłosierdziie Twoje, zanim pomrzemy!... Przyzwij nas do siebie, jesteśmy gotowi bez żalu ten świat pożegnać; ale, o Panie! jeżeli inaczej

postanowiłeś, jeżeli jeszcze żyć mamy, tedy ześlij nam pomoc i daj siły do zniesienia bez szemrania Twych odwiecznych wyroków«.

Zaledwie, pisze Crespel, skończyłem modlitwę, gdy dał się słyszeć wystrzał, na który odpowiedzieliśmy natychmiast. Strzał ten pochodził od innego Indjanina, właściciela drugiego czółna. Ponieważ dowiedział się od swego współplemiennika o nieszczęsnem naszem położeniu, przeto wystrzelił, aby się przekonać, czy jeszcze żyjemy. Skoro w tym względzie nabrał pewności, przeląkł się i zemknął, pozostawiwszy jednak w lesie duży kawał niedźwiedziego mięsa, wzięty dla siebie na drogę.

Pomimo osłabienia Crespel i Leger puścili się za nim w pogoń, przebyli strumień przerzynający drogę, którą uciekał, i nad wieczorem doścignęli go. Nie byłoby im się to powiodło, gdyby nie okoliczność, że dziki miał z sobą siedmioletniego chłopca, który mu w ucieczce nadążyć nie mógł. Dwaj dobrze uzbrojeni Europejczykowie przeciwko jednemu dzikiemu byli groźną potęgą, zwłaszcza, że rozpacz podwajała ich siłę i odwagę. Wymierzyli do niego swe strzelby i zażądali groźnie, aby im żywności dostarczył.

Indjanin nie myślał wcale o oporze, lecz z wylękłą miną zapytał napastników, czy wszyscy chorzy wymarli. Skoro dowiedział się, że tak było, i że teraz może bez najmniejszej obawy zbliżyć się do chat, nawrócił się i pokazał rozbitkom ukryte mięso niedźwiedzie. Pożarli większą część natychmiast na surowo, a resztę ponieśli choremu Ferstowi, który nie

był w stanie im towarzyszyć. Pokrzepieni na siłach, ruszyli natychmiast zpowrotem, wiodąc z sobą Indjanina z żoną i synem. Na drugi dzień rano wyruszyli wszyscy trzej ku brzegowi morskiemu. Poprzedzał ich dziki z żoną, ale chłopca zatrzymali pomiędzy sobą, jako zakładnika, żeby im starzy nie umknęli. Kiedy dosięgli brzegu, Indjanin spuścił z pleców na ziemię czółno z kory brzozowej, lecz to mogło unieść zaledwie cztery osoby, dziki więc oświadczył, że tylko księdza zabrać może. Leger i Ferst, bojąc się być opuszczonymi, nie chcieli na to pozwolić; Crespel przyrzekł im najuroczyściej, że jak tylko dostanie się do osady indyjskiej, natychmiast wyśle im pomoc; znali oni prawy charakter kapłana, a więc mu zawierzyli i zgodzili się, żeby popłynął, sami zaś szli pieszo brzegiem morza, patrząc wciąż za kruchą łodzią. Po pewnym czasie dziki przybił do lądu; ksiądz mniemał, że on to czynił dla wypoczynku; lecz oboje, przywiązawszy sobie ukradkiem do nóg drewniane łyżwy, porwali chłopca i czółno na barki i z tak nadmierną szybkością puścili się po zmarzłym śniegu, że Crespel nie mógł nawet marzyć o ich doścignięciu.

Pobiegłszy za uciekającymi, zaraz z początku pogoni upadł na ziemię i skaleczył nogę. Leger nadszedł tymczasem powoli, zostawiwszy Fersta, nie mogącego iść tak prędko; obydwaj z księdzem postanowili iść za śladem zostawionym od łyżew na śniegu. Jeszcze nie uszli dwustu kroków, gdy w powietrzu rozległy się trzy strzały, tuż po sobie następu-

jące; szybko udali się w tym kierunku i dostali się szczęśliwie do wielkiej chaty indyjskiej.

Wódz indyjski, mieszkający w niej i mówiący nieźle po francusku, przyjął nieszczęśliwych tułaczy bardzo gościnnie i przyrzekł swą pomoc jak najskwapliwiej. Poczem starał się usprawiedliwić swych podwładnych, tłumacząc, że jedynie przez bojaźń chorób zaraźliwych opuścili białych, on zaś, dowiedziawszy się o tem, natychmiast dał trzy strzały, aby zbłąkanym wskazać kierunek, w jakim udać się mają, aby do jego chaty trafić mogli.

Ferst, którego śród nocy znaleźć nie było można, przywlókł się niezmiernie zmęczony dopiero następnego ranka, a doznawszy również gościnnego przyjęcia, wkrótce przyszedł do siebie.

Przez dwa dni uratowani przebywali w chacie Indjan, prześcigających się w ich pielęgnowaniu; mięsa niedźwiedziego i reniferowego było do zbytku, a więc wynagrodzili sobie sowicie półroczny głód i prędko odzyskali siły.

Trzeciego dnia, zaopatrzeni w ciepłe kożuchy, wsiedli w dużą łódź, kierowaną przez indyjskiego wodza, który ich szczęśliwie przywiózł do Mingan, gdzie w dniu 3 maja wylądowali. Pierwszą osobą, którą tu Crespel napotkał, był jego przyjaciel, Volant, u niego więc zamieszkał, doznając jak najtroskliwszego pielęgnowania.

Indjanin, za uratowanie trzech białych, otrzymał hojny podarek w wódce i tytoniu i był z niego bardzo zadowolny. Crespel, mając na myśli wciąż towa-

rzyszów, pozostawionych na wyspie Anticosti, w kilka dni po przybyciu do Mingan wsiadł na okręt i popłynął im na ratunek.

Z dwudziestu czterech rozbitków pięciu tylko ocalało, reszta wymarła. Przebyli oni takie same cierpienia, jak ksiądz i jego towarzysze na pustem wybrzeżu Labradoru. Jeden z nich umarł już po przybyciu wybawczego statku, napiwszy się cokolwiek wódki; pozostałych przewieziono do osady francuskiej.

Po powrocie z Anticosti, nowa wyprawa udała się na wyszukanie zaginionego bata, a kilka trupów, znalezionych na wybrzeżu, było jedynym owocem tej wyprawy, tak, że z pięćdziesięciu czterech osób, ocalonych po rozbiciu się okrętu francuskiego, zaledwie siedm dożyło następnego roku.

Emanuel Crespel pozostał jeszcze przez sześć tygodni w osadzie Mingan, poczem udał się do Kwebeku, skąd dopiero w październiku r. 1738 do Francji odpłynął. Na początku grudnia wylądował szczęśliwie na brzegi Francji i wkrótce potem zaciągnął się jako kapelan do armji królewskiej, pod dowództwo marszałka Mallebois, a następnie, wystąpiwszy ze służby, osiadł w Paderbornie, gdzie w r. 1742 wydał dziełko o swoich przygodach, z którego autor czerpał niniejsze opowiadanie.

TEKSAS.

Opowiadanie amerykańskiego podróżnika.

I.

Dzielna kobieta.

Życie Europejczyków, zakładających osady w zachodnich puszczach Stanów Zjednoczonych, pełne trudów i wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw, stanowi jedno nieskończone pasmo wypadków, które dla braku opisujących nietylko giną dla potomności, ale nawet współcześnie żyjącym nie są wiadome. A jednakże tyle tam poświęceń i odwagi, tyle osobistego męstwa i wytrwałości, że podobne walki zaledwie spotykać można, czytając dzieje starożytne, albo średniowiecznych awanturników przygody.

Nieustanna walka, trudy i niebezpieczeństwa nadają hart duszy i siłę ciału, nierzadko też pomiędzy osadnikami natrafia się na ludzi żelaznej woli i niezmordowanej siły.

Jednym ze szkiców tej zachodnio-amerykańskiej epopei pragniemy podzielić się z czytelnikami.

Przed czterdziestu laty Stany Missuri i Arkanzas, dziś zaludnione licznemi miastami i wsiami po-

kryte, były niemal głuchą puszczą. Strzelcy jedynie amerykańscy, zwabieni mnóstwem zwierzyny, zapuszczali się w pierwotne lasy; ale panami ich były plemiona indyjskie, dzikie i podówczas dosyć liczne. Indjanie, rozjuszeni na Europejczyków, posuwających się wciąż coraz dalej na zachód i zagarniających ojczyste siedziby odwiecznych posiadaczy, prowadzili z strzelcami nieustanną i śmiertelną walkę, a każde zetknięcie się plemienia kaukaskiego z amerykańskiem kończyło się obfitym krwi rozlewem.

W okręgu ówczesnym Missuri, w głuchym borze pierwotnym, przebywał około 1840 r. strzelec James Moore. Ożenił się przed piętnastu laty z ubogą i młodziutką panienką, a Bóg związek ich pobłogosławił kilkorgiem dzieci. Cały majątek obojga składała chata, z grubych pni zbudowana, i kawałek roli. Koń, krowa i pies stanowiły inwentarz; parę tapczanów, stół i stołki siekierą wyciosane, nieco naczyń kuchennych, oraz strzelba, — wszystkie ruchomości. Pomimo to osadnicy nie doznawali wcale biedy, gdyż James, przepędzając całe dnie w lesie, bił dosyć zwierzyny, a zamieniając w miasteczku wędzone mięso i skóry na ołów, proch, sól, herbatę i mąkę, dostatecznie we wszystkie potrzeby zaopatrywał rodzinę.

Wkrótce jednak dzielny strzelec nagle umarł, a z nim pomyślny byt rodziny niezmiernej uległ zmianie. Fanny, biedna wdowa, znalazła się w rozpaczliwem położeniu. Sama jedna wśród puszczy, obarczona sześciorgiem dzieci, z których najstarsza córka czternaście, a najmłodszy synek dwa lata liczył,

zmuszona była starać się o ich wyżywienie. Mały kawałek roli, na którym nieco zboża siewano, nie mógł wystarczyć na utrzymanie licznej rodziny. Inna kobieta na miejscu Fanny byłaby głowę straciła; ale miłość dziatek podwoiła siłę nieszczęśliwej wdowy. Postanowiła ona wyuczyć się strzelać i wkrótce przy usilnej i niezmordowanej pracy wyrównała najlepszym strzelcom w całym okręgu. Odtąd codziennie wychodziła na łowy, a tym sposobem nietylko dostarczała dzieciom pożywienia, ale za skóry, podobnie jak mąż, otrzymywała z miasta różne zapasy.

Niedługo jednak trwał ten stan pomyślny. Liczni osadnicy, zwabieni żyznością gruntów w Missuri i Arkanzas, poczęli gromadnie ściągać w te strony. Padały odwieczne dęby i niebotyczne jodły pod ciosami siekier europejskich, a na miejscu lasów powstawały miasta i wioski. Wystraszona zwierzyna pierzchła na zachód; tym sposobem dla Fanny wyschły źródła zarobku. Energiczna niewiasta nie opuściła rąk i postanowiła przenieść się w inne okolice, kędy jeszcze roiły się stada bawołów i jeleni, gdzie przesuwały się w gąszczu szopy i niedźwiedzie, gdzie mogła żyć w dostatku z liczną rodziną. Sprzedała więc chatkę i rolę, a za to kupiwszy wóz i cztery woły, udała się z rodziną na zachód.

Nie było co robić w Arkanzas, gdzie już pokazywały się osady białych; zapuściła się więc w nieprzebyte lasy, zalegające Teksas, ówczesną meksykańską prowincję, a wynalazłszy stosowne miejsce, wezwała po-

mocy dwóch przechodzących osadników, którzy za dwa woły wybudowali chatę i nową założyli siedzibę.

Teksas był rajem myśliwców. Mnóstwo zwierzyny zamieszkiwało ogromne przestwory lasów, i bez wszelkich trudów można było z łatwością zaspokajać potrzeby, a nawet nieco oszczędzać.

Życie rodziny upływało przyjemnie; podrastające dzieci pomagały matce w zatrudnieniach. Betsy zajmowała się kuchnią i sporządzaniem odzieży, a dwunastoletni John towarzyszył często matce do lasu i uczył się polować.

Jedna tylko myśl ciężyła na sercu biednej wdowie. Dzieci jej rosły, a nie mogła im żadnego dać wykształcenia. Porzucić pustynię było łatwo, ale z czegóż utrzymać się w mieście? W lasach żywności im nie brakło, odzieży dostarczały skóry bawole i jelenie; tymczasem w mieście w skórach chodzić niepodobna, a na chleb zarobić jakim sposobem? A przecież tych małych istot nie można zamykać na zawsze w obszarach leśnych; gdyby kiedy udały się pomiędzy ludzi, cóż będą tam robiły, z czego żyć będą, nie mając większego wykształcenia, jak czerwonoskórzy Indjanie?

Sama wprawdzie umiała czytać i pisać, lecz od 14-stu lat książki nie widziała, kto wie, czy jeszcze pamięta kształt i nazwę głosek? Myśli te nie dawały zasnąć biednej wdowie. Długo jeszcze atoli żyłaby w niepewności, nie wiedząc, co począć, gdyby nie następujące zdarzenie.

Jednego razu, wróciwszy z miasteczka Little-Rock,

przyniosła sól obwiniętą w gazetę. Dzieci, ujrzawszy papier, osłupiały z zadziwienia i z największą ciekawością przypatrywały się nieznanym czarnym znaczkom, pokrywającym wielki arkusz, nakoniec John, pochwyciwszy gazetę, zawołał:

— Kochana matko! powiedz nam, co znaczą te czarne obrazki?

— Mój chłopcze — odpowiedziała Fanny — to jest gazeta. Kto umie poznawać czarne znaczki na papierze, ten może wiedzieć, co się na całym świecie dzieje.

— Ach! naucz nas tego, matko! — rzekł John — mybyśmy tak pragnęli dowiedzieć się coś o świecie, którego zupełnie nie znamy.

— Dobrze, dobrze, nauczę was, ale później, bo sam widzisz, że teraz najlepsza pora do polowania i nie mam wcale czasu.

To rzekłszy, wyszła z chaty, ukrywając łzy, spływające po twarzy. O! cóżby dała za to, gdyby mogła przypomnieć sobie umiejętność czytania, żeby mogła udzielić jej biednym swym dziatkom. Z niecierpliwością oczekiwała wieczora, aby być samą, a gdy dzieci spać poszły, Fanny, zapaliwszy kaganek, zaczęła próbować, czy nie potrafi odczytać choć kilka wyrazów. Z początku radość napełniła jej serce, albowiem przekonała się, że pamięta litery... Cóż z tego, kiedy z liter ani jednego słówka złożyć nie mogła. Jeszcze świt zastał ją nad gazetą. Doznany zawód taką napełnił boleścią biedną matkę, iż śniadania nie tknęła i, zaledwie parę słów przemówiwszy do dzieci,

raniej niż zwykle wyszła z chaty. Zgadnijcie, czytelnicy, dokąd? Oto do miasta dla zakupienia elementarza, który spodziewała się łatwiej odczytać.

Odtąd na chwilę nie rozstawała się z książką; udając się na łowy, brała ją z sobą i nieraz w godzinach spoczynku starała się przypomnieć sobie to, czego ją niegdyś matka uczyła. I w istocie, powiodło się jej odczytać wiele pojedynczych wyrazów, ale jednak zdania całego nie mogła zrozumieć z prostej bardzo przyczyny, bo pisownia angielska jest bardzo zawikłana i zupełnie różni się od wymawiania.

Ale Opatrzność, czuwająca nad wszystkimi, zesłała stroskanej matce niespodziewaną pomoc. Jakiś myśliwy, dążący na południe, wstąpił do chaty Fanny Moore, szukając schronienia przed burzą. Gdy wdowa, użalając się nad swem odosobnieniem od swiata, zwierzyła mu wszystkie zmartwienia, a osobliwie niemożność nauczania dzieci, wędrowiec natychmiast uspokoił ją, ofiarując się zabawić dni kilka i przypomnieć jej czytanie. Jak powiedział, tak się stało, a wkrótce Fanny z największą radością nietylko cały elementarz, ale i ową gazetę biegle czytać już mogła.

Tym sposobem wkrótce rozpoczęła naukę dzieci. Codziennie wieczorem po powrocie z polowania i ukończeniu zajęć gospodarskich, cała rodzina zasiadała do książki, a w przeciągu pół roku wszystkie dzieci, z wyjątkiem dwojga najmłodszych, biegle czytały. Matka kupiła im później Historję Świętą, a wreszcie zdobyła się na nabycie pięknej Biblji z obrazkami.

Odtąd ta księga święta była źródłem pociech dla naszych samotników.

Od owego czasu, ile razy matka wybierała się na łowy i opuszczała swą rodzinę, najstarsza córka zajmowała się gospodarstwem, a młodsze z chęcią jej dopomagały, gdyż obiecywała im po skończonej robocie czytać z pięknej Biblji. Zawsze też po ukończeniu roboty zasiadała przed chatą i czytała parę rozdziałów, których młodsze rodzeństwo z świętobliwą uwagą słuchało. Biedna dziewczyna znajdowała się nieraz w wielkim kłopocie, gdyż dzieci zadawały jej mnóstwo pytań, na które sama, wcale nie wykształcona, nie umiała odpowiadać dostatecznie. Zwykle więc za powrotem prosiła matki, aby jej rozwiązała kwestje przez dzieci zadawane, ale Fanny mimo najszczerszej chęci także nie zdołała uczynić zadość zapytaniom córki, gdyż mało co więcej od niej wiedziała.

To też życie w lasach było dla niej coraz nieznośniejsze. Oddalona od ludzi, od szkół, od wszelkiej pomocy duchownej, z boleścią patrzała na wzrastające dzieci, które, pomimo że nauczyły się czytać, żadnych innych wiadomości nie miały i nie mogły nabyć w tym odludnym zakącie.

Mimo łatwości wyżywienia się i swobodnego żywota, jaki prowadziła w puszczy, wdowa zamyślała powrócić do miasta i tam osiąść, ażeby dzieciom obmyśleć inny sposób do życia, jak tylko zbierze nieco więcej zapasów. Odtąd też z synem polowała głównie na zwierzęta, których futra poszukiwane i lepiej płacone były, i z pociechą co miesiąc odkładała po kilka

a nawet kilkanaście dolarów do szkatułki, zakopanej w jednym zakątku ogrodzenia osady.

Tak prowadzono przez parę lat jednostajne życie, kiedy niespodziewany wypadek powiększył małą osadę.

II.

Spotkanie.

Jednego dnia, gdy przez gęste zarośla przedzierała się Fanny, wiodąc konia obładowanego świeżo zabitym jeleniem, nagłe doleciały jej ucha głosy kilku osób. Krew ścięła się w żyłach biednej wdowy; przed kilkunastu bowiem dniami jeden z błąkających się strzelców ostrzegł ją, aby się miała na ostrożności, albowiem liczna horda Indjan, z pokolenia Komanszów (Comanches), opuściwszy swe siedziby, leżące poza rzeką Brazos de Dios, pojawiła się w tej stronie Teksas, napadając odosobnione osady Amerykanów i siejąc w nich mord i pożogę.

Fanny, ukrywszy konia w gąszczu, popełzła chyłkiem ku bliskiej polance, skąd dochodziły głosy. Z ostrożnością Indjanina, podsunąwszy się krzewiną, ujrzała na łące rozbity szałas i z radością przekonała się, iż to jakaś rodzina amerykańska obozuje.

Kobieta olbrzymiego wzrostu zdawała się całą dowodzić gromadą; ubrana w suknię z jeleniej skóry, sięgającą ledwie do kolan, a wyszywaną czerwonym safjanem, na głowie miała okrągłą czapeczkę ze skóry pantery ozdobioną sokolem piórem. Za pasem tkwiła

para pistoletów, u boku szeroki kordelas, przez plecy przewieszona dubeltówka oraz torba myśliwska, nadawały jej postawę wojenną. Na nogach miała mokassiny [1]) z długiemi kamaszami. Twarz ciemna i ogorzała, włos rozwiany kruczy, czyniły ją podobną więcej do Indjanina, niż do Europejki. Opodal chłopak 18-letni, również w skóry odziany i uzbrojony podobnie jak matka, obcinał gałęzie zeschłe, które młodsze dzieci rzucały na płonące ognisko. Stary murzyn obdzierał ze skóry zająca. Nieco dalej stał ogromny wóz kryty, zaprzągnięty sześciu wołami, wpobliżu zaś krzewiny, z której Fanny przyglądała się temu obrazowi, para koni osiodłanych i spętanych pasła się spokojnie.

Fanny, widząc, że żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi, wyszedłszy na polanę, pozdrowiła wędrowców.

— Skąd Bóg prowadzi? — zagadnęła przybyłą niewiastę.

— Z Luizjany — odrzekła tamta. — Ci uprzykrzeni rolnicy i fabrykanci cisną się coraz dalej na zachód, coraz liczniej zakładają osady. Niedługo biedny myśliwiec nie będzie się miał czem pożywić, a jelenie chyba w Oceanie obiorą sobie legowiska; nie mogłam już dłużej wytrzymać i, zabrawszy rodzinę i tego starego murzyna, puściłam się w teksańskie lasy. Któż ty jesteś?

— Jestem wdową po strzelcu i mam wpobliżu małą osadę.

[1]) Mokassiny, obuwie przez Indjan używane, podobne do kierpców góralskich.

— Podaj mi więc rękę, koleżanko — zawołała amazonka — i mnie mąż umarł przed dwoma laty. Powodziło nam się wcale nieźle, bośmy oboje polowali, lecz gdy mojego starego zabrakło, a ci przeklęci osadnicy poczęli się cisnąć w ciche puszcze północnej Luizjany, porzuciłam ulubiony zakąt. Cieszę się, żem cię napotkała; możesz mi wielką przysługę uczynić, wskazując miejsce, gdzieby można postawić chatę, i znaleźć zwierzynę.

— Nie zabraknie jej dla nas obydwóch, i możesz wpobliżu mnie się rozgospodarować, prędzej sobie poradzimy w razie napadu Komanszów.

— Więc i ty polujesz?

— Z tego tylko żyję; lecz, jak widzę, dzisiejsze łowy niebardzo wam się powiodły. Ubiłam jelenia, możemy się podzielić.

— Bóg ci zapłać, dobra kobieto! masz poczciwe serce, z tego odgaduję, że jesteś matką.

— Sześciorga dzieci.

— Ja mam czterech chłopaków i troje dziewcząt, będzie nam wesoło.

— A więc każ zgasić ognisko i spakować rzeczy, daleko ci wygodniej będzie u mnie. Dopóki nie wybudujesz chaty, możemy razem mieszkać. Ja tymczasem idę po mego konia.

— Czy daleko do twej osady?

— Nie więcej niż trzy mile [1]), za godzinę staniemy na miejscu.

---

[1]) Mowa tu o milach angielskich, jakich blisko pięć idzie na jedną zwyczajną, czyli geograficzną.

Natychmiast zwinięto obóz, za chwilę przybyła Fanny, prowadząc konia; dzieci wdrapały się na wóz, którym kierował stary Abel, murzyn, kupiony przed kilkunastu laty; Mary i Wiljam, jej syn najstarszy, dosiedli konia, a po półtoragodzinnem przedzieraniu się przez gąszcze, stanęli w osadzie Fanny.

Przybycie nowych gości wielką sprawiło radość dzieciom Fanny Moore: zyskali licznych i wesołych towarzyszów do wspólnych zabaw i wycieczek. Wiljam Dust, choć już prawie dorosły i głównie z Johnem Moore trudniący się polowaniem, niejednokrotnie mieszał się pomiędzy dzieci i rozmaite im wymyślał zabawy. To zastawiali węcierze na ryby w rzeczce opodal osady płynącej, to chwytali je na wędkę, to znów wprawiali się w strzelanie z łuków, które im bracia porobili, albo sidła zastawiali na lisy i ptaki, lub wreszcie pracowali w ogrodzie, zasiewając, rozsadzając różne warzywa, mając na głowach całe gospodarstwo i staranie o młodszem rodzeństwie. Obydwie matki polowały odtąd społem, dostarczając pożywienia, odzieży i innych rzeczy dla osad, a z każdym dniem wzrastała przyjaźń dwóch niewiast.

Tymczasem Abel, przy pomocy Wiljama i Johna, zwalił i ociosał potrzebną ilość drzew do zbudowania chaty. Pomimo usilnej pracy robota naszym cieślom nie szła sporo, bo też to nie tak łatwo można postawić domostwo z grubych pni, a do tego z świeżego i niewysuszonego drzewa. Po dwóch jednak miesiącach stanął dom wygodny. Drzwi z grubych kloców zaledwie mogły obracać się na zawiasach, okna były wąskie

Ubiłam jelenia, możemy się podzielić.

i raczej do strzelnic podobne, dokoła rozciągała się palisada, czyli ostrokół, z grubych ostro zakończonych pni, co nadawało osadzie podobieństwo forteczki. Ostrożność ta jednak była niezbędna, gdyż narażeni co chwilę na napady dzikich Indjan, mieszkańcy w takiem tylko zabudowaniu mogli znaleźć zabezpieczenie. Nawet dach pokryty deskami, powleczono niewyprawnemi skórami bawołów, ażeby w razie walki z Komanszami nie tak łatwo dał się podpalić. Tak samo zaopatrzono stajnie na konie i woły. Dwie osady zaledwie o trzysta kroków były odległe od siebie. Chata Mary przytykała jedną częścią do lasu, drugą do niezmiernego stepu. Napróżno Fanny namawiała sąsiadkę, ażeby zbudowała się tuż koło niej dla tem większego bezpieczeństwa.

— Nigdy na to nie przystanę — mówiła tamta — to miałoby podobieństwo do wsi, a ja znieść nie mogę widoku kilku chat obok siebie stojących, bo mi to miasto przypomina. Zresztą, muszę mieszkać na krańcu stepu, potrzebuję powietrza i nie lubię dusić się w ciasności borów, bo w razie napadu tych psów czerwonoskórych niepodobna mi się obronić w gąszczu.

Mary Dust, gwałtownego, niepohamowanego i uporczywego charakteru, najmniejszego sprzeciwieństwa nie znosiła; czasami więc małe nieporozumienia zachodziły pomiędzy dwiema wdowami, ale zresztą kobieta ta miała złote serce i serdecznie kochała rodzinę Moorów, która jej też szczerą wypłacała wzajemnością. Dwie rodziny, wspierające się wzajemnie, przychodziły do coraz większej zamożności; żyły zaś w niezamą-

conej spokojności, gdyż strzelcy amerykańscy podówczas jeszcze bardzo rzadko zapuszczali się w te strony teksańskich borów, a pogłoski o Komanszach od trzech miesięcy zupełnie ucichły.

Tak zeszedł koniec lata i cała jesień, i dopiero częstsze i nawalniejsze deszcze dały poznać naszym osadnikom, iż rozpoczęła się zima.

W tej porze życie mieszkańców boru było daleko nieznośniejsze. Częste nawałnice nie pozwalały im czasami przez kilka dni ani na chwilkę opuścić mieszkania. Niekiedy nawet brakowało żywności, bo trudno było wyruszać na polowanie; w takich razach jedynym ich posiłkiem bywała polewka z mąki zaledwie solą przyprawiona. Obie też sąsiadki ratowały się nawzajem, i jeżeli udało się jednej ubić jelenia, to z braterską życzliwością dzieliła się z drugą swym łupem.

Czasami Mary Dust przybywała z dziećmi w dzień świąteczny, aby wspólnie się pomodlić i posłuchać czytania Pisma Ś-go; innym razem znowu rodzina Moore udawała się w odwiedziny do Dustów; ale i tej rozrywki nie można było sobie dozwolić, gdyż niekiedy potok rozdzielający dwie osady, skutkiem gwałtownej ulewy, wzbierał i rozlewał się tak szeroko, że go przebyć nie było można.

Przykrą więc dla nich była zima, lecz z drugiej strony nieprzyjemna ta pora miała swoje dogodności, albowiem osadnicy mogli być pewni, że dzicy Indjanie, z powodu nieprzebytych dróg i trudności prze-

prawy, zostawią ich w spokojności, dopóki przyjaźniejsza pora i opadłe rzeki nie ułatwią im sposobności do napadu.

III.

Zamordowane dziecię.

Nie wszyscy moi czytelnicy wiecie zapewne, gdzie leży Teksas? Rozległa ta kraina, dwa razy większa od Francji, dotyka południowo-wschodniem wybrzeżem do zatoki meksykańskiej. Ogromna rzeka Rio del Norte (północna) oddziela kraj teksański od Meksyku, do którego w r. 1847 należał jeszcze. Red River, dwa razy dłuższy od Niemna, odgranicza ziemię tę od Stanów Zjednoczonych, środkiem zaś samym płyną Colorado i Brazos de Dios, tak wielka, jak Ren. Mieszkańcy, osiedli w nielicznych miastach, składają się z potomków Hiszpanów, jak wszyscy Meksykanie; na północy zaś przebywały pokolenia indyjskie, Pawnijczyków (Pawnees) i Komanszów. W roku dopiero 1847 Teksas oderwał się od Meksyku i przyłączył do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Z tego powodu wynikła wojna, zakończona zwycięskim pokojem przez zdobywczych Amerykanów, a ustąpiony Teksas stanowi jeden z trzydziestu kilku Stanów.

Kraj ten, w tem położeniu jak Algier, lecz przerznięty licznemi wodami, obfitował w niezmierne, nieprzebyte lasy, przepełnione zwierzyną i różnem ptactwem o cudownie pięknych, różnobarwnych piórach. Niebezpieczne węże, osobliwie też grzechotnik jado-

wity, snują się w lasach, a w rzekach przebywają olbrzymie aligatory; kiedy u nas srożą się mrozy śniegowe, tam wieczna panuje wiosna.

Pomiędzy Red River i Brazos de Dios, w północnej części Teksas, bliżej tej rzeki ostatniej, żyły nasze dwie rodziny, od pół roku silną związane przyjaźnią. Do krańca, w którym leżały chaty osadników, przytykały nieprzejrzane stepy, a raczej niezmierne łąki, zarosłe wysoką trawą, zwane sawannami, łączące się nieprzerwanem pasmem ze stepami Kanzasu, Missuri, Jowy, a będące siedliskiem Komanszów.

Zachodzące słońce morzem jaskrawej czerwieni oblało step, środkiem którego jeździec jakiś pędził na zmordowanym koniu. Ruchy jego zdradzały niecierpliwość. Od dwóch dni z wielkim pośpiechem zdążał w te strony, dla odszukania ciotki swej, Mary Dust, której, przybywszy z północnych Stanów, napróżno szukał w Luizjanie. W miasteczku St. Filipe powiedziano mu, że kobieta tego nazwiska z liczną rodziną osiadła na krańcach lasów, o 18 mil ku południowi. Harry Denton, wypytawszy się o kierunek, w jakim należało jechać, po dwudniowej podróży dzikim stepem, spodziewał się dzisiejszego wieczora stanąć na miejscu. I należało mu pośpieszać, gdyż już słońce dobrze nachyliło się ku zachodowi, a las majaczał dopiero na krańcu widnokręgu.

Najnieprzyjemniejsza to rzecz podróżować samemu przez sawanny amerykańskie. Niemasz tu ani gościńca, a nietylko oberży, ale nawet nędznego nie napotka się szałasu. Podróżny, zmuszony nocować pod

gwieździstem niebios sklepieniem, słyszy ze wstrętem, jak dokoła wyją wilki; a czasami rozedrze ciszę wieczorną przeraźliwy ryk pantery, lub, co gorzej, straszny wojenny okrzyk Indjan.

Nasz wędrowiec nie szczędził więc ostróg, aby uniknąć spotkania się z Komanszami, którzy wówczas, będąc najzaciętszymi wrogami białych, polowali na nich jak na dzikie zwierzęta. Oko Dentona z niespokojnością przebiegało bezkrańcowy step, upatrując Indjan; nie sądźcie jednak, aby Harry był tchórzem; ale i najdzielniejszy człowiek obronić się nie zdoła dziesięćkroć liczniejszemu nieprzyjacielowi.

Nasz podróżny, przystojny mężczyzna, silnie i pięknie zbudowany, siedzący na koniu jak węgierski huzar, był z powołania prawnikiem. Praca jednak nieustanna i kilkoletni pobyt w Saint-Louis, gdzie się zajmował adwokaturą, tak go zmęczyły, iż postanowił odetchnąć lubem powietrzem puszcz, odświeżyć spracowany umysł widokiem czarownej przyrody w niezmiernych lasach, których ludzie, goniący za zyskiem, chciwą jeszcze nie wytrzebili ręką. Nie pierwsza to była jego wycieczka, kilkakrotnie zapuszczał się w sawanny północne aż do podnóża Gór Skalistych i znosił trudy, głód i niedostatek, walcząc z niebezpieczeństwami, jak gdyby się pośród puszcz urodził.

Że jednak tym razem niecierpliwił się, niema nic dziwnego. Od południa widział już w oddaleniu kraniec lasu, gdzie wedle wskazanego kierunku miał znaleźć szukaną osadę, a pomimo przebytej pięciogodzinnej

drogi zdawało się, iż przestrzeń pomiędzy lasem nie zmniejsza się wcale. Rzecz osobliwsza, w wysokich górach jak i w niezmiernych równinach oko doznaje ciągłego złudzenia, i nie mając stosownych do porównania przedmiotów, nie umie zmierzyć odległości.

Dobra jeszcze upłynęła godzina, i tarcza słońca do połowy już zapadła za kraniec horyzontu, gdy Denton stanął nareszcie na wierzchołku niewielkiego wzgórza, u stóp którego las się rozciągał. Należało teraz zapuścić się w te nieznane gęstwiny, a nigdzie nie dostrzegł śladu ścieżki, któraby wskazywała kierunek.

Wtem z przeciwnej strony ujrzał z poza krzaków wysuwającą się postać olbrzymiej niewiasty, jadącej konno; strzelba przez ramię i ogromna ćwierć bawołu przewieszona poza nią w poprzek siodła dawały poznać, że powraca z polowania. Byłażby to Mary Dust? Od dziesięciu lat jej nie widział, a przy zapadającym zmierzchu trudno było o sto kroków rysy twarzy rozpoznać. Postanowił pojechać za nią i zapytać o mieszkanie ciotki.

W parę minut jadąca zniknęła za złomem pagórka. Henryk pośpieszył za nią, lecz zdawało się, iż jakaś niespokojność pędzi ją ku domowi, gdyż nietylko jechała cwałem, ale nawet nie słyszała tętentu konia Harrego.

Podróżny, dojechawszy do złomu góry, ujrzał o trzysta kroków na krańcu lasu osadę, otoczoną ostrokołem. Nagle przeraźliwy krzyk przeszył powietrze. Harry spiął konia ostrogami, błyskawicą przebiegł przedzie-

lającą ich przestrzeń i stanął przed domem. Okropny obraz przedstawił się jego oczom; o dwa kroki przed ostrokołem na trawniku leżało rozciągnięte dwuletnie dziecię, blade jak śnieg, pływające prawie w kałuży krwi. Niewiasta skoczyła z konia, stanęła przed dziecią, załamała ręce i zaniemiała. Widok ten dreszczem przeszył Dentona.

— Zabita! zabita! moja Polly! moja droga! śliczna dziecina zabita! O Boże! mój Boże! mój Boże!

Na głos ten czworo dzieci wybiegło z gąszczu i obskoczyło dokoła matkę; wszystkie odziane jeleniemi skórami.

— Gdzie Wiljam! gdzie Katy?! — zapytała wdowa gasnącym głosem.

— Wszakże Wiljam wczoraj jeszcze poszedł do miasta po proch, kule i sól. Katy...

— Gdzież jest? co się tu stało? gadajcież — krzyknęła wdowa jak w obłąkaniu.

— O matko! — zawołała dziewczynka żałosnym głosem — przed półgodziną bawiliśmy się w krycie, a Katy siedziała z Polcią na tym pniu. Wtem wypadło z lasu sześciu konnych Indjan. Myśmy ze strachu pozostali w gąszczu. Katy, widać z przelęknienia, upuściła siostrzyczkę. Wtem jeden z dzikich przebił lancą dziecię, drugi zaś pochwycił na siodło Katy i zniknęli w gęstwinie.

— Obie! obie! Boże mój! Boże jedyny! — zawołała nieszczęsna matka, chwytając na ręce zamordowane dziecię i przyciskając do rozpalonych ust zimne ciałko, — O mój aniołku! moja duszo! już nie

usłyszę twego ślicznego głosu, już te czarne oczęta nie spojrzą na biedną matkę! O moje dziecię, moje dziecię!!

— Pani! — zawołał Denton, zbliżając się — ukój twą boleść; wszakże masz więcej dzieci. — A widząc, że patrzała nań niedowierzającym wzrokiem, dodał: — Jestem Harry Denton.

— Harry! dobrze, żeś przyszedł, pomożesz mi się zemścić nad tymi czerwonymi djabłami, pomścić moje najdroższe dziecię.

— Czy nie dobrze byłoby, abym pośpieszył do najbliższego miasta i zabrał osadników dla ścigania Komanszów i odbicia z rąk ich twej córki?

— Nie! nie! zostaniesz tu do jutra. Pójdź za mną, trzeba przygotować się do walki.

— Do walki?

— Tak, znam dobrze Komanszów, powtórzą napad w nocy. Dick, biegnij do Fanny Moore, powiedz, co tu się stało, niech przybywa natychmiast z całą rodziną i dobytkiem. Razem obronimy się łatwiej.

Chłopczyna zniknął za drzewami; a wdowa, złożywszy dziecię na tapczanie, pomimo boleści krzątała się energicznie, wydobywając broń i amunicję. Dubeltówka, krótka strzelba, długi karabin i dwa pistolety składały jej arsenał. Natychmiast wystrzelono stare naboje, wyczyszczono i ponabijano broń. Karabin, pistolety oraz prawe lufy dubeltówek nabito kulami, pozostałe zaś dwie lufy i krótką strzelbę lotkami. Mary zastawiła wieczerzę dla gościa, przygotowała mocne zapory do drzwi, a potem padła na kolana

przy łożu dziecka. Harry lał kule, Emmy z dymnika śledziła bacznie okolicę.

W pół godziny potem usłyszano szmer w przedsieni. Była to rodzina Moorów z bronią i dobytkiem.

IV.

Napad Komanszów.

Fanny Moore padła w objęcia Mary Dust. Obie kobiety rzewnie płakały, jedna za swemi dziećmi, druga, lękając się o los swoich.

Natychmiast zrobiono przygotowania do odporu. Fanny i John przybyli uzbrojeni w dubeltówki, pistolety i kordelasy. Połączona broń dwóch rodzin stanowiła dwadzieścia strzałów. Dzieci sprowadzono do niewielkiej piwniczki, wykopanej pod główną izbą, zatarasowano balami drzwi i okna, zostawiając małe tylko strzelnice; na stole leżały przygotowane naboje; broń zaś oparta o ścianę stała wpogotowiu na przyjęcie dzikich. John, leżąc na dachu, czatował na przybycie nieprzyjaciela. Na szczęście pełnia księżyca oświetlała całą okolicę.

Szczupła liczba obrońców nie dozwalała myśleć o długim oporze, wrazie gdyby Indjanie w wielkiej liczbie napadli. Nieszczęściem Wiljama nie było.

Cisza do północy panowała wokoło. Nagle głuchy, tętniący łoskot, jakby echo odległego grzmotu, doleciał zdala. John, wpadł do izby wołając:

— Czy słyszycie? Komanszowie!

Mary wybiegła przed dom, przysłuchała się uważnie, a potem rzekła:

— Nie, to nie Indjanie, to niezmierne stado dzikich koni. Komanszowie spłoszyli je w stepach. Mimo to, bądźmy gotowi, gdyż tuż za niemi ściągają te czerwone szatany.

Kilka koni znajdujących się wewnątrz palisady zarżało radośnie.

W tej chwili zatrzęsła się ziemia pod kopytami, a niezmierne stado dzikich koni ukazało się na stepie: szalonym cwałem rzucił się cały tłum ku osadzie. W odległości stu kroków stado zatrzymało się, biały jak śnieg rumak wybiegł naprzód, a podniósłszy nozdrza w górę, zarżał donośnie. Na ten głos konie Dentona i dwóch rodzin strzeleckich, znajdujące się wśród ostrokołu, radosnem odpowiadając rżeniem, poczęły się miotać i okazywać wielką chęć do przeskoczenia palisady i połączenia się ze swymi braćmi stepowymi.

— Czy strzelasz celnie?—zapytała Mary Dentona.

— Nigdy nie chybiam — odrzekł tamten.

— Weź więc długi karabin i zastrzel tego przeklętego siwka, gdyż zabierze nam nasze konie. Ubiłabym go sama, ale oczy moje zaćmione łzami.

Harry pochwycił strzelbę, wymierzył, lecz po chwili, spuszczając ją, zawołał:

— Nie, ani sposobu wziąć go na cel, skacze jak szatan, kręci się, nie mogę zaręczyć, że go trafię.

— A więc ja go ubiję — rzekła chłodno Mary Dust.

I pochwyciwszy strzelbę, wybiegła na dziedziniec, wzięła na cel owego rumaka; lufa przez chwilę ścigała szybkie skoki konia, poczem wypadł strzał, a piękny zwierz legł bez życia na trawie.

Natychmiast stado, przerażone śmiercią swojego dowódcy, rozpierzchło się na wszystkie strony.

Wówczas oczy osadników zwróciły się w tę stronę, skąd stado nadbiegło, ale nic nie można było dostrzec, i przez godzinę jeszcze głucha cisza panowała na stepie. Niepodobna sobie wystawić przykrego położenia osadników, których ta niepewność stokroć gorzej męczyła, niż otwarty napad Indjan. Nakoniec zdaleka na widnokręgu zamajaczyło kilkanaście ciemnych, nieruchomych, jakby cienie, odbijające się na obłokach, postaci, których z powodu wielkiej odległości nie można było dobrze rozpoznać. Śledzący nie byli w stanie dostrzec, czy owe postacie stoją nieruchomo czy też posuwają się naprzód. Mary Dust, znająca doskonale zwyczaje Indjan, zawołała:

— To Komanszowie! Boże, dzięki Ci! Moje biedne dziecię będzie pomszczone!

Bystre oko nie zawiodło jej wcale; przy jasnem świetle księżyca widać było, jak dostrzeżone cienie zaczęły coraz bardziej się zwiększać, pozornie nie ruszając się z miejsca. Po kilku minutach już nawet ruch dawał się rozpoznać, następnie można było rozróżnić Indjan, siedzących na koniach, a nareszcie ich policzyć. Wszystkich było czternastu.

— Nie będziemy mieli nawet porządnej potyczki! — zawołała Mary z pogardą.

— Dlaczego? — zapytał Denton.

— Gdyż mając dostateczną ilość nabojów, nie lękałabym się spotkać sama z tą hałastrą.

Dzicy, przybliżywszy się na trzysta kroków, posuwali się bardzo powoli naprzód. Denton dostrzegł ze wzruszeniem, że jadący na czele olbrzymi Komansz trzymał przed sobą na siodle jakiś przedmiot biały. z którego powiewna aż do stóp konia spływała opona

— To ona, to biedna Katy! — zawołał półgłosem.

Zdawało się jednak, że matka wcale nie dostrzegła dziewczęcia, albo też może zajęta bliską walką całą duszą zajęła się Indjanami.

— Trzynastu! — wykrzyknęła z dziką radością — ani jeden nie ujdzie, jeżeli tylko nie pierzchną ci nędzni tchórze.

Denton z przerażeniem spojrzał na tę kobietę, miotaną wściekłością. Twarz zaczerwieniona, iskrzące oczy i rozwiany włos czyniły ją podobną do rozżartej furji; wkrótce jednak radość Mary zmieniła się w smutek, albowiem dziwna zmiana zaszła w położeniu oblężonych.

Tumany mgły, nader często powstające na stepach, nagle podniosły się na horyzoncie. Z początku przez tę ruchomą oponę przeglądały gwiazdy, wkrótce jednak w rozmaitych miejscach poczęły się tworzyć słupy podobnych mgieł; rozszerzając się coraz bardziej i łącząc z sobą, zlewały się one w jedno niezmierne morze mgły, które jakby ruchomą ścianą zasłoniło cały widnokrąg.

Denton na ten widok nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

— Ach, jakie to cudowne!

— Wkrótce zmienisz twe zdanie — zawołała Mary zimno — te twoje cuda są najlepszym sprzymierzeńcem dzikich, i jeżeli Opatrzność nie ześle wiatru dla rozpędzenia mgły, zginęliśmy!

Niezdolny ocenić niebezpieczeństwa, Denton z zadziwieniem dostrzegł, że Mary zbladła jak trup. Wtem, gdy nagle odwrócił oczy ku stepowi, zadziwienie jego zmieniło się w przerażenie. Zasłona mglista w paru minutach przekształciła się do niepoznania. Olbrzymie kolumny mgły zlały się w czarną, gęstą chmurę przybliżającą się z niezmierną szybkością ku osadzie. W tumanach zniknęli Komanszowie, a wkrótce potem zabudowania tak czarne ogarnęły ciemności, iż o kilka kroków leżącej palisady dojrzeć nie było można. Nie potrzeba dowodzić, iż ciemność niezmiernie ułatwiła napad Komanszów; pod jej zasłoną mogli zbliżyć się niedostrzeżeni, przebyć palisadę i zdobyć dom, nie narażając się wcale na ogień oblężonych.

Dziesięć minut, długich jak dziesięć lat, nieznośną męką dręczyły osadników, nie mogących nawet widzieć się nawzajem. Lękano się zapalać światła, aby Indjanom nie ułatwić strzelania, a co chwila oczekiwano wojennego okrzyku dzikich.

Wtem nagle zawiał wiatr od wschodu i rozbił gęstą oponę. Chwilka jeszcze, a zginęliby niechybnie, gdyż Komanszowie, zsiadłszy z koni, szybko pędzili ku palisadzie.

Mary, schwyciwszy za rękę Dentona, szepnęła dobitnie:

— Wstrzymaj się ze strzelaniem, dopóki nie ujrzysz oczu tych szatanów, a wtedy pal!

Straszna chwila oczekiwania! Komanszowie zbliżali się coraz bardziej, zbrojni w strzelby, łuki, dzidy, tomahawki i ostre noże, służące do ręcznej walki, oraz do zdarcia czupryny poległemu nieprzyjacielowi. Ostrożnie przebywszy palisadę, zbliżyli się ku domowi, a wódz ich niósł w ręku gruby kloc drzewa dla wywalenia drzwi.

Fanny, Denton i John z wymierzonemi strzelbami oczekiwali. Nagle Mary zawołała:

— Pal!

Zagrzmiał huk strzałów. Z wściekłym okrzykiem pierzchają dzicy, czterech wije się w ostatnich spazmach konania, piąty napróżno czołga się ku palisadzie, ażeby ukryć się przed celnemi strzałami białych.

Reszta Indjan rozpierzchła się po polu, jak stado spłoszonych wróbli.

Denton pragnął pochwycić rannego i za drzewem ukrytego Komansza, ażeby się dowiedzieć o sile całej bandy, lecz gdy się zbliżył ku niemu, dziki porwał się na nogi i z wzniesionym nożem wpadł na Harrego.

Napad ten był tak niespodziewany, iż Denton niezawodnieby padł pod ciosem, gdy wtem strzał Johna zdruzgotał czaszkę Komansza.

Na tem zakończył się napad dzikich; zdawało się, że już więcej nie wrócą. Zanadto dużo kosztowała ich niefortunna bitwa, a kule osadników pozbawiły

życia lub poraniły najdzielniejszych wojowników. Przytem, chociaż inne osady leżały daleko, jednak mnóstwo wystrzałów więcej niż godzinę brzmiało w powietrzu, bo na stepie odgłos daleko słychać. Mogli więc się obawiać, że oddział jaki trapperów (strzelców zwierzyny) może posłyszeć huk i przybiec na pomoc swym ziomkom, zagrożonym śmiercią, lub też osadnicy opodal mieszkający z odsieczą pośpieszą.

V.

Stanowcza walka.

Wyczerpana walką Mary rzuciła się na tapczan, na którym leżało nieżywe dziecię. Łzy na nowo skropiły dziką jej twarz; zdawało się, że całe jej życie skupiło się w małych zwłokach, że o niebezpieczeństwie zupełnie zapomniała. — Fanny poskoczyła do piwnicy obaczyć, co się z dziećmi dzieje. John był na czatach, a Denton wystrzeloną broń nabijał.

Wtem John wbiegł do izby, wołając: »Wracają!«

Natychmiast każdy chwycił za broń i stanął przy strzelnicy. Zaledwie przysposobiono się do wytrzymania powtórnego napadu, gdy dzicy nadbiegli. Tym razem było ich przeszło dwunastu, a połowa uzbrojona w strzelby. Przybliżywszy się na sto kroków, napadając, rozdzielili się na dwa oddziały i dali ognia do zabudowań.

— Teraz będziemy mieli ciężką robotę — rzekła Mary, obcierając spocone czoło.

Trzykrotnie Komanszowie powtórzyli salwę, ale w chacie głęboka panowała cisza. Naówczas dzicy, zmyśliwszy popłoch, odbiegli na tysiąc sążni od osady. Denton myślał, że uciekają, ale Mary, znająca ich podstępy, rzekła:

— Wkrótce znów wrócą i przybliżą się jeszcze bardziej; gdy pod dom podbiegną, lotkami damy ognia, a ręczę, że to im odbierze chętkę do dalszego napadu.

Dziwna ta kobieta z taką spokojnością mówiła o wkrótce nastąpić mającem spotkaniu, jak o igraszce dziecinnej. Zaledwie skończyła mówić, dzicy, lotem błyskawicy przebiegłszy przestrzeń, wieńcem otoczyli chatę.

— Pal! — zawołała Mary.

Cztery strzały, a natychmiast drugie cztery rozdarły powietrze. Oblężeni z dubeltówek dali ognia do dzikich z przedziwnym skutkiem. Sześciu spadło z koni. Indjanie wydali wściekły okrzyk, a nie czekając powtórzenia ognia morderczego, pierzchli w nieładzie. Obrońcy, ścigając ich wzrokiem, dostrzegli, iż kilku chwieje się na siodłach. Lotki ciężko ich pozdrowiły; na samym ostatku uchodził Komansz olbrzymiej postaci, którego czuprynę, związaną na wierzchu głowy, zdobiło ogromne orle pióro. Ruchy jego były konwulsyjne, i często pochylał się na szyję konia.

— Lękam się, czyśmy nie zranili śmiertelnie ich wodza; gdyby umarł, bylibyśmy zgubieni.

— Dlaczego? — zapytał Harry.

— Komanszowie — odpowiedziała wdowa — są

trwożliwi, jak jelenie, lecz jeżeli ich wódz polegnie, stają się wściekłymi, jak pantery.

Wkrótce niezmierny i przeciągły okrzyk oznajmił oblężonym śmierć indyjskiego wodza.

— Gotujmy się na śmierć! — zawołała Mary zimno — niema ratunku, przynajmniej nie tak łatwo sprzedamy życie.

— Biedne dzieci! — jęknęła Fanny.

— Więc ich broń! na płacz niema czasu! — krzyknęła wdowa.

Pół godziny jednak przeminęło spokojnie. Harry mniemał, że dzicy, przerażeni zgonem wodza, zaniechają napadu, ale nagle ujrzał czarną masę nieprzyjaciół, pojawiającą się z za wzgórza. Tym razem zmienili plan napadu. Pozostawiwszy konie przy grupie drzew zdala stojącej, rzucili się w bramę i pojedynczo, czołgając się wśród wysokiej trawy, bardzo wolno posuwali się ku osadzie; w kilka minut dokoła chaty zaczęły się pojawiać na murawie czarne postacie, czołgające się jak węże po ziemi.

— Patrzcie! tam na dole, czy widzicie ich? Podstępne gady myślą, że tym sposobem uchronią się przed kulami. Tym razem nie tak łatwo im będzie!

To rzekłszy, dała znak, a każde z oblężonych, wziąwszy na cel dzikiego, dało ognia. — Widząc, że ich podstęp odkryto, Komanszowie porwali się z ziemi, wydali wojenny okrzyk i rzucili się ku chacie.

— Lotkami! — zakomenderowała Mary Dust.

W tej chwili zagrzmiały dubeltówki raz i drugi, kilkunastu dzikich padło, ale reszta z tem większą

jeszcze zajadłością rzuciła się masą ku chacie. Oblężeni, paląc w gęsty tłum nieprzyjaciół, tem srożej ich ranili, lecz i to nie ostudziło wściekłości dzikich; jakby zastęp szatanów otoczyli dom dokoła.

Już kilkunastu wdarło się na pale ostrokołu, wywijając nożami i wstrząsając tomahawkami, gdy oblężeni, nabiwszy szybko dubeltówki, takim gradem lotek ich przywitali, że Komanszowie, nie mogąc wytrzymać piekielnego ognia, pierzchli z straszliwem wyciem. Znowu nastąpiła spokojność, lecz tym razem daleko dłuższa; przeszło półtorej godziny trwała cisza grobowa. Oblężeni mniemali, że już się napad nie powtórzy, a nawet ich naczelniczka rzekła:

— Zdaje mi się, że te łotry już nie powrócą dzisiaj, zanadto wiele krwi stracili; pomimo to nabijmy broń, może się jeszcze przyda.

Jednak Amerykanka nie znała widać zajadłości i wytrwałości dzikich. Od północy kraniec widnokręgu zajaśniał słabem czerwonem światłem.

— Dzięki Bogu — rzekł Denton — już dnieje, może też widok światła słonecznego spłoszy tych rozbójników.

— Nie, nie, to nie zorza! — zawołała Fanny.

— Podpalili stepowe trawy — zawołała z niespokojnością Mary — i będą usiłowali pod zasłoną dymu spróbować ostatniego napadu.

Wkrótce straszliwy pożar cały step ogarnął, płomienie wzbiły się pod obłoki, cały widnokrąg rozgorzał czerwoną łuną, słupy czarnego dymu zalały

ciemnością przestrzeń. Zerwał się silny wicher i począł pędzić bałwany ognia ku osadzie z niepojętą szybkością. Na szczęście przestrzeń dokoła osady na kilkadziesiąt sążni była ogołocona z trawy i zarośli, tak, iż morze ognia nie zdołało przedrzeć się do budowli, pomimo, że wiatr niósł rozżarzone głownie.

Jakkolwiek Denton znał w całej rozciągłości niebezpieczne położenie, jednakże nie tracił przytomności ani na chwilę. Piękność straszliwego widoku zachwycała go. Już zarośle i drzewka, pokrywające pobliski wzgórek, rozgorzały pożarem, przez kilka minut dym i gorąco tamowały oddech, waleczni obrońcy spodziewali się, że właśnie tej sposobności użyją dzicy do ponowienia napadu, lecz po drugi raz Opatrzność ulitowała się nad nieszczęśliwymi. Wiatr, zmieniwszy kierunek, popędził pożar ku południowi, rozegnał kłęby dymu, tak, iż promienie księżyca znowu rozświeciły okolicę.

W tej właśnie chwili Indjanie znowu natarli. Już, już zbliżali się ku chacie, kiedy nagła zmiana wiatru, odkrywszy napad, odebrała im odwagę. Wystrzał z czterech dubeltówek zmusił ich znowu do ucieczki; klęska za klęską, strzał za strzałem, siejąc śmierć i rany między Komanszami, odbierały im ochotę narażenia nagich piersi na celne kule Amerykanów.

Zdawało się, że już ostatecznie zrzekli się swych zamiarów, ale dzikiemu pokoleniu Indjan teksańskich nigdy wierzyć nie można. Po półgodzinnym odpo-

czynku nagle ukazał się zastęp konny, któremu dowodził dziki herkulesowej postaci, trzymający na koniu przed sobą szesnastoletnią córkę Mary Dust. Obok niego pędził inny Indjanin, wywijając wzniesioną siekierą nad głową dziewczęcia, jakoby na znak, iż w razie strzałów z chaty zamorduje biedną dzieweczkę. Trzeci z nich niósł na tyce białą bawełnianą płachtę, niby chorągiew parlamentarną.

Nic dziwnego, że w tym razie oblężeni wahali się dać ognia, a nawet niezachwiana Mary pierwszy raz w życiu zadrżała. W istocie położenie było okropne. Nie mogli strzelać lotkami z obawy, aby nie zranić dzieweczki; można było wprawdzie ugodzić kulą dwóch dzikich, lecz w tym razie inni niezawodnie zamordowaliby swą ofiarę.

Tymczasem dzicy byli coraz bliżej i bliżej chaty; kiedy jednak tuż pod palisadę dobiegli, Katy zawołała:

— Matko, strzelaj! ratuj moje rodzeństwo, nie zważaj na mnie!

Nastąpiła okropna chwila. Już ze strzelb zniżonych miały wypaść śmiertelne pociski, kiedy nagle poza dzikimi dały się słyszeć liczne strzały, zadrżała ziemia pod kopytami koni, a oddział Amerykanów z największą gwałtownością uderzył na dzikich i w jednej chwili całą zgraję rozpędził. Pomiędzy nadbiegającymi odznaczał się młody Wiljam, który dopadłszy do Komansza, trzymającego siostrę, kolbą od karabinu zgruchotał mu czaszkę.

Komanszowie utraciwszy blisko siedmdziesięciu

towarzyszów, nie śmieli już więcej najeżdżać tych stron i przenieśli się w odległe stepy północne.

Odtąd dwie wdowy żyły szczęśliwie i spokojnie, a w miejscu, kędy zamieszkiwały, powstało miasteczko; nazwano je Dustown, dla uczczenia dzielnej amazonki teksańskie.

KAJETAN OSCULATI

wpośród puszczy zalanej wodą (1847).

Szeroko rozlega się sława wielkich wojowników. Bitwy przez nich wygrane, zdobyte miasta, zniszczone armje skwapliwie ryje historja na swych kartach, ażeby czyny zdobywców świata nie zaginęły dla potomności, aby w parę tysięcy lat później wspominano nazwisko bohatera. Blask zwycięstw olśniewa dziejopisarzy. Rozgorączkowani uwielbieniem dla wielkiego pogromcy, nie widzą klęsk, towarzyszących olbrzymim wojnom, nie słyszą jęków, wydobywających się ze zgliszcz tysiąca wsi spalonych, nie dostrzegają zniszczenia, sprawionego zażartym bojem, a wśród dymu wonnych kadzideł chwały nie czują duszących wyziewów krwi przelanej i zabójczych miazmatów, wydobywających się z przegniłych ciał.

Próżna to i czcza chwała, coraz bardziej upadająca w wyobraźni ludzi rozumnych. Uwielbienie dla Aleksandrów Wielkich, Cezarów i Napoleonów tem bardziej się zmniejsza, im więcej rozwija się zdrowy rozum, a na blaski ich sławy kir żałoby po

klęskach, przez nich zadanych ludzkości, coraz czarniejsze zaciąga chmury.

Jest inna chwała, daleko wyższa, daleko zaszczytniejsza; są inni bohaterowie, których czyny więcej chluby przynoszą ojczyźnie, aniżeli miecze zwycięzców; są ludzie, którzy zamiast klęsk i zniszczenia, szczepią dla potomności słodkie owoce, ażeby z nich najodleglejsze pokolenia zdrowy pokarm pożywać mogły.

Bohaterami tymi są ludzie uczeni, niezmordowani badacze przyrody, odkrywcy mnóstwa wynalazków, służących na pożytek ludzkości. A kiedy rozum ludzki najwyższej dosięgnie potęgi, cały świat wzniesie hymny na cześć tych pracowników, a równocześnie imiona wielkich wojowników, brodzących w morzu krwi, dla osiągnięcia samolubnych swych celów, pójdą na wieczną zatratę i hańbę.

Cichy zastęp uczonych pracowników toruje nowe drogi ludzkości, jak owi przewodnicy w amerykańskich puszczach, trzebiący gąszcz siekierą, dla zrobienia przejścia idącym za nimi gromadom. Rozum i nauka są siekierą tych zasłużonych mężów, za którymi postępuje rodzina ludów kuli ziemskiej.

Lecz wiadomości nie zdobywają się bez ofiar. Po długoletniej pracy w szkole i na uniwersytecie jedni trawią cały wiek przy stoliku, stosując nabyte wiadomości do ogólnego pożytku, i kiedy ich rówieśnicy używają rozrywek świata, oni więdną nad zapylonemi stosami ksiąg i papierów. Drudzy rozpraszają się po świecie i w spiekłych pustyniach Afryki,

pod lodową atmosferą krain podbiegunowych, w głębi puszcz amerykańskich, ponad przepaściami kraterów, znosząc wszelkiego rodzaju trudy i niedostatki, starają się zbadać nieznane krainy i pomnożyć skarby nauki. Iluż to z tych śmiałych wędrowników życiem przypłaciło swe poświęcenie, a pomimo to zasługi ich nie doznają takiego uznania, imiona nie błyszczą taką chwałą, jak tych, którzy ostrzem stali wywalczali sobie wielkie imię.

Młodzieniec, zasiadający na ławie szkolnej, czerpie wiadomości bez trudu z uzbieranych zasobów przez owych niestrudzonych pracowników; ucząc się botaniki lub zoologji, ma przed sobą obrazki roślin i zwierząt i, nie wychyliwszy się z poza murów rodzinnego miasta, ogląda osobliwości wszystkich okolic kuli ziemskiej. Mało któremu z uczniów przyjdzie do głowy zapytać się, w jaki sposób nagromadzono tu tyle skarbów. Aby mieć chociaż słabe wyobrażenie o trudach i dolegliwościach, znoszonych przez badaczy przyrody, dajemy tu młodym czytelnikom krótki opis wycieczki zoologa Kajetana Osculati, jaką odbywał w r. 1847 dla zbadania naukowego rzeczypospolitej Ekwador.

Wiadomo wam, czytelnicy, że mała ta rzeczpospolita, leżąca nad brzegami Oceanu Spokojnego, powstała z rozpadnięcia się na trzy części wielkiej rzeczypospolitej Kolumbijskiej. Ekwador nie odznacza się wielkością, ani potęgą, lecz jest to kraina nadzwyczaj żyzna, obfitująca w mnóstwo bogatych płodów, i brak jej licznej, energicznej i pracowitej lu-

dności, aby zakwitła pomyślnością. Niezbadane dotąd dokładnie jej ziemie zawierają wiele skarbów, mogących zbogacić umiejętności przyrodnicze.

Cała powierzchnia tego państwa jest nadzwyczaj urozmaicona. Wschodnią część składają głównie puszcze, rozpościerające się nad brzegami rzek, spływających do Maranionu. Na zachodzie piętrzą się coraz wyższe góry, a jądro ich stanowi łańcuch Andów, przebiegający cały ląd południowo-amerykański z północy aż do brzegów cieśniny Magellańskiej. Szczyty tych gór wznoszą się od 3.000 do 7.000 metrów nad powierzchnię morza; jedne, pokryte wieczystym śniegiem i niezmiernemi lodowcami, są niedostępne dla człowieka; inne kryją w swem łonie wieczne ognie i od czasu do czasu zioną potokami lawy i rozpalonemi głazami. Tutaj znajduje się Chimborasso, przed kilkudziesięciu laty uważana za najwyższą górę świata; tu straszliwy wulkan Cotopaxi, dalej Antizana i sławny o czterech wierzchołkach Pichincha. Pomiędzy temi górami, wśród rozkosznej doliny, pod samym prawie równikiem na wysokości 3.000 metr. nad powierzchnią morza, leży miasto starożytne Quito, stolica rzeczypospolitej, a niegdyś potężnego cesarstwa peruwjańskiego.

Ludność stanowi niewielka ilość białych, pochodzących od Hiszpanów, Mestykowie i Indjanie. Pomiędzy tymi odznaczają się plemiona łagodne i pojętne. Indjanie ci pochodzą od dawniejszych ucywilizowanych mieszkańców Peru, którzy przed czterema wiekami panowali nad większą częścią Ameryki po-

ludniowej. Szczątki pałaców i świątyń, wygodne murowane drogi, utrzymujące się po dziś dzień, świadczą o cywilizacji tych ludów, które niegdyś zostawały pod rządem rodziny Inkasów. Zamieszkują one wyżyny Andów, trudniąc się rolnictwem i pasterstwem.

Wschodnią część kraju prawie wyłącznie zamieszkują dzicy Indjanie, tułający się wiecznie po lasach, a żyjący z polowania i rybołowstwa. Przed stu laty żyli w tych puszczach misjonarze, zakładający misje pomiędzy dzikimi. Starania ich błogie przynosiły owoce; Indjanie pod ich wpływem łagodnieli i chociaż zwolna cywilizowali się; dziś istnieje tylko około 30 misyj, mających blisko sto tysięcy mieszkańców, reszta uległa zniszczeniu. Skutkiem rewolucyj i wojen, toczących się w ciągu bieżącego stulecia, kraj popadł prawie zupełnie w barbarzyństwo i zapewne dopóty się nie podniesie, dopóki leniwego plemienia hiszpańskiego nie zastąpi przedsiębiorcza i energiczna rasa Amerykanów północnych.

Klimat na wyżynach Andów jest bardzo umiarkowany i byłby nawet przyjemny, gdyby częste wybuchy wulkaniczne i trzęsienia ziemi nie zakłócały spokojnego bytu mieszkańców. — W wschodniej części kraju, nad brzegami rzek, wpadających do Amazonki, dwa razy w rok bywają wielkie powodzie, i podług tego nawet ludność dzieli rok na pory, z których dwie zowią się mokremi, a dwie suchemi. Pierwsze wezbranie wód zaczyna się w końcu lutego i trwa blisko do czerwca. Wówczas to rzeki łączą się z jeziorami, leżącemi wewnątrz kraju, tworząc

jakby ogromne morze; niziny stoją pod wodą, niekiedy podczas tej pory padają ulewne deszcze, rzadko jednak dłużej trwające, jak dobę.

Nakoniec wody zaczynają opadać, i następuje zwolna gorąca pora roku. Od końca października do początku stycznia znowu wracają deszcze i wezbrania, a po nich aż do końca lutego trwa pora sucha.

Zastanowiliśmy się nieco dłużej nad klimatem krainy Ekwadoru, lecz to było koniecznym wstępem do wycieczki Kajetana Osculati, którą zaczynamy opowiadać.

Uczony ten zoolog odbył już poprzednio kilka podróży w południowej Ameryce dla zbadania tych krain pod względem zamieszkujących je stworzeń. Ponieważ wschodnich ziem Ekwadoru jeszcze żaden naturalista szczegółowo nie zwiedził, Osculati przybył do Quito, ażeby puścić się tą samą drogą, jaką przed trzystu laty odbył aż do ujścia Maranionu Orellana, jeden z towarzyszów Pizzara; głównie chodziło mu o zwiedzenie wybrzeży rzeki Napo.

Przymioty, potrzebne do odbycia tego rodzaju podróży, Osculati posiadał. Był młody i zdrów, zbudowany silnie, wytrwały, przyzwyczajony do podróżowania pieszo, znoszenia trudów i niewygód. Pod względem naukowym miał dostateczny zapas wiedzy i niezmierny zapał do badań i odkryć.

Jakkolwiek obmyślił plan swej podróży, jednak nie przewidział dobrze zawad, jakie go spotkać miały. Przybywszy do Quito, wyszukał przewodników, mających go przeprowadzić przez labirynt puszcz, rzek

jezior i bagnisk; zabrał potrzebną ilość zapasów, narzędzi, oraz przetworów chemicznych, mających mu posłużyć do przechowania zbiorów, nakoniec zaopatrzył się w rekomendacje rządu do gubernatorów prowincyj i alkadów miast i sądził, że więcej nie potrzeba.

Przewodnicy, wybrani przez naturalistę, doprowadzili go z Quito do Tombaco; tutaj dostał innych, zwanych Caguerosami, mających mu towarzyszyć do Archidony; lecz ci nie chcieli ruszyć w drogę, gdyż odbywała się podówczas uroczystość Bożego Ciała, którą tu obchodzą procesjami, tańcami i śpiewem. Obchód miał trwać przez całą oktawę, a Caguerosowie za nic w świecie nie dali się namówić do jej opuszczenia.

Osculati, pragnąc jak najprędzej dostać się w lasy, puścił się sam naprzód, a przewodnikom polecił, ażeby pośpieszyli za nim; pośpiech był nieodzowny, aby jeszcze przed deszczami przebyć góry. Już ulewy zaskoczyły go w drodze, zanim przybył do jeziora Papalacta; nakoniec tragarze nadeszli. Osculati wyprawił ich naprzód z rzeczami, a sam zgodził dla siebie przewodników. Od tej chwili zaczął się nawał trudności, które naturalista w liście do jednego ze swoich przyjaciół w Europie tak opisuje:

— Przewodnicy moi, pomimo obiecanej dobrej zapłaty i znacznego zadatku, okazywali wielką niechęć do zapuszczania się w lasy; obawiałem się, ażeby, porzuciwszy me rzeczy, nie uciekli, z tego powodu zamknąłem ich na noc w chacie, a o brzasku dnia

następnego, pomimo deszczu, wyruszyłem ku Archidonie.

Wśród nieustannej ulewy dosięgliśmy krańców puszczy; grunt bagnisty rozścielał się przed nami, i niepodobna było wynaleźć ścieżki. Pomimo widocznego zniechęcenia Indjan, nie straciłem odwagi; na mój rozkaz przewodnicy szli sznurem jeden za drugim, a ja na końcu postępowałem, trzymając wpogotowiu strzelbę, aby w razie, gdyby się któremu zachciało umknąć, przywitać go ładunkiem śrutu.

Przez trzy dni maszerowaliśmy w kierunku wschodnim, a w ciągu tego czasu nie zaszło nic zasługującego na wzmiankę; trzeciego dnia w południe Indjanin, idący na czele, nagle zatrzymał się i drżącym głosem zawołał: Trup! — Trup! trup! wrzeszczeli przerażeni przewodnicy, stając jak wryci. Poskoczyłem naprzód i ujrzałem martwego Indjanina, leżącego wpoprzek ścieżki. Pochwyciwszy go za włosy i odwróciwszy twarz w górę, poznałem w nim jednego z tragarzy, który niósł mój tłumoczek z Quito. Wówczas już chorował na dysenterję i widać w drodze z niej umarł. Napróżno namawiałem przewodników, żeby go pogrzebali; jakąś zabobonną zdjęci trwogą, poprzestali na zawieszeniu jego opończy na gałęziach bliskiego drzewa, a przyrzuciwszy biedaka kupą zielonych liści, ruszyli dalej.

Wypadek ten małoznaczny wpłynął nader szkodliwie na usposobienie moich towarzyszów; to mruczeli pomiędzy sobą, to rzewnemi zalewali się łzami, widocznie lękając się doznać losu tragarza. Aby roz-

proszyć ponure myśli, darowałem im flaszkę wódki, którą z pożądliwością wypróżnili. Napój ulubiony sprawił cudowną zmianę w humorze moich przewodników; ruszyli naprzód wesoło, spodziewając się dogonić tragarzy, których ślady wyraźnie można było dostrzec na błotnistym gruncie.

Pomimo zmartwienia, jakie mi sprawiała niechęć Indjan, byłem w bardzo dobrem usposobieniu. Pogoda piękna zajaśniała, a wspaniały widok lasów podzwrotnikowych hojnie mi wynagradzał doznane trudy. Wyszedłszy z Quito, przebywałem bory, złożone po największej części z dębów, buków, sosen i jodeł, a wszystkie krzewy nadawały im podobieństwo do lasów europejskich; po trzech dniach podróży znalazłem się jakby czarodziejską władzą przeniesiony wśród roślinności równikowej. Ta nagła przemiana wprawiła mnie w zachwycenie. Wawrzyny, figi, mirty, olbrzymie skrzypy i palmy rosły tutaj nadzwyczaj bujnie; mnóstwo prześlicznych kwiatów cudowną barwą wzrok poiło.

Dziwnie wyrastają drzewa w tych puszczach; jedno przy drugiem tłoczy się, jakby im miejsca nie dostawało; obok grubego pnia, którego kilkunastu ludzi, pochwyciwszy się za ręce, objąćby nie zdołało, wystrzela inny, cieniuchny jak ramię, a pomimo to dosięgający równej z tamtym wysokości. U góry plączą się ich korony, nieprzepuszczające promieni słonecznych, tak, że tylko z większej lub mniejszej jasności dnia poznać można, czy piękna sprzyja po-

goda, czy też szafir nieba chmury brzemienne burzą zaciągnęły.

Skoro zmierzch ciemny zapanuje wpośród dnia, możemy się spodziewać lada chwila gwałtownej burzy. Nagle daje się słyszeć mocny szelest, ciężkie a duże krople deszczu, uderzając w liściaste sklepienie, są jego przyczyną; w kilka chwil zamienia się w silny łoskot. Wycie wichru rozlega się po lesie. Grzmoty ryczą już zdala, burza z nadzwyczajną szybkością zbliża się ku nam i wstrząsa posadami ziemi. Piorun po piorunie uderza; echo lasów, powtarzając je, zamienia w jeden nieprzerwany huk; huragan szaleje z nieopisaną wściekłością i zrywa korony drzew, a cieńsze pnie łamie jak prątki.

Taka to burza napadła nas przy schyłku dnia trzeciego, przecież dostaliśmy się do osady Baeza. Pomimo, żem przemókł do nitki i byłem zmęczony niewymownie, nie można było oddać się pokrzepiającemu spoczynkowi z obawy, aby Indjanie nie uciekli; co chwila budziłem się, słuchając niespokojnie, co robią przewodnicy.

Następnego dnia, to jest 20 czerwca, kiedy dałem rozkaz do wymarszu, przewodnicy wzbraniali się wykonać go, wymawiając się różnemi błahemi przyczynami; nareszcie naczelnik ich oświadczył mi krótko, że jednego kroku nie zrobią, bo dziś jest święto, a oni wcale nie myślą grzeszyć dla mojego kaprysu. Tego już było zanadto; pochwyciłem kij, grożąc, że ich ocwiczę, jeżeli natychmiast nie ruszą z miejsca. Mrucząc, wybrali się w drogę, lecz zale-

dwie uszliśmy kilkaset kroków, jeden z nich przewrócił się naumyślnie i, wrzeszcząc przeraźliwie, dowodził, że iść nie może, ponieważ potłukł się ciężko.

— To zły znak, to widocznie Pan Bóg nas ostrzega, abyśmy podróżą nie gwałcili dnia świętego — wołali inni — wróćmy się! wróćmy!

Indjanie, widząc, że nie zważam na ich podstępy, ruszyli naprzód w milczeniu; napróżno kilkakrotnie zagadywałem do nich, na nic się to nie przydało, zaniemieli jak głazy.

Przez dwa następne dni maszerowaliśmy w ponurem milczeniu; wśród gąszczów olbrzymich paproci i sieci roślin powojnych kilkakrotnie przewodnicy zbłąkali się. Nagle ukazał się na drodze spory niedźwiedź. Pochwyciłem strzelbę; zwierz, strwożony szczekaniem psa, wspiął się na drzewo, nim jednak dosięgnął gałęzi, kula zgruchotała mu czaszkę, i padł bez życia.

Indjanie poskoczyli szybko i przywlekli niedźwiedzia. W okolicach tych bezludnych podobna zdobycz miała nieocenioną wartość. Za chwilę trzeszczał wesoło ogień, a jeden z mych przewodników obracał na drewnianym rożnie tłustą ćwiartkę niedźwiedzia; na twarzach Indjan igrał uśmiech zadowolenia, gdyż smaczną pieczenią spodziewali się wynagrodzić sobie trudy kilkudniowej podróży.

Przenocowaliśmy tutaj, lecz nazajutrz przewodnicy wzdragali się zabrać resztek dziczyzny, pomimo to, że im pieczyste wczoraj wybornie smakowało. Pragnąłem zachować chociaż skórę i czaszkę.

ale nie chcieli nieść obojga. Rozjątrzony w najwyższym stopniu, obiłem ich naczelnika, grożąc zarazem, że za najmniejszem podejrzeniem, iż chcą uciekać, palnę mu w łeb. Po tym wypadku ruszyliśmy w dalszą podróż. W godzinę później trzeba było zatrzymać się na brzegu rzeki Cosanga, ażeby wynaleźć bród dla dostania się na drugą stronę.

Nie było to rzeczą tak łatwą, albowiem rzeka bardzo wezbrała. Cały dzień upłynął na daremnych poszukiwaniach, a nad wieczorem zadecydowałem, że tu przenocujemy. Indjanie wzięli się do zbudowania szałasu z gałęzi, w którym miałem spać; uderzyło mnie to, że z daleko większą starannością budowali go, niż poprzednich nocy, a kiedy wkońcu zaczęli go wkoło palisadować, zapytałem naczelnika, co to ma znaczyć? Indjanin odrzekł mi, że to tylko prosta ostrożność przeciw napaści dzikich zwierząt.

— Zrzucić mi to natychmiast — zawołałem, wskazując na ostrokół, utrudniający mi nadzór nad przewodnikami. — A ty — dodałem, zwracając się do naczelnika — będziesz spał obok mnie.

Indjanin wykonał mój rozkaz bez najmniejszego oporu; w jego oczach nabiłem pistolety i założyłem świeże pistony.

Noc przeszła spokojnie. Drugiego dnia powiodło mi się zabić znowu niedźwiedzia, a tak na żywności nie zbywało. Następną noc przepędziłem, czuwając, zdawało mi się bowiem, że dzicy czyhają tylko na sposobność, aby mnie opuścić.

Dnia 24 czerwca wstawszy z rana, dostrzegłem,

że wody znacznie opadły. Należało szukać brodu; wziąłem z sobą starszego z przewodników i jednego z nich do pomocy. Zaledwie uszliśmy paręset kroków, gdy naczelnik ów zniknął w gąszczu. Natychmiast pędem pobiegłem ku miejscu, gdzie reszta pozostała, ciągnąc za sobą ostatniego przewodnika. Gdyśmy przypadli do chatki, żywego ducha w niej nie było. Zastałem moje paczki rozbite, a dzicy zniknęli. Indjanin pozostały oburzył się straszliwie na ten widok i zawołał, bijąc się w piersi:

— Senhor, niech moją duszę na wieki porwie szatan, jeżeli cię opuszczę, jak ci niegodziwcy! Ach, niepoczciwe łotry, uważałem od kilku dni, że się na coś złego namawiają, ale kryli się przede mną, bojąc się, żebym ich nie zdradził. Cóż teraz powie pan gubernator? Taki wstyd, taki wstyd!

I przejęty żałością, począł gorzko płakać.

Uspokoiłem go, jak mogłem, i zapytałem, co myśli zrobić?

— Pójdziemy naprzód, a jak dostaniemy się do Archidony, alkad wyśle pogoń za tymi niegodziwcami; zobaczysz pan, jak ich srogo ukarzą.

— To się na nic nie przyda — odpowiedziałem. — Nie możemy tutaj tyle rzeczy zostawiać; we dwóch nie zdołamy ich udźwignąć. Ty pójdziesz sam, dam ci listy do gubernatora, ażeby mi pomoc przysłał, a ja cię zato sowicie wynagrodzę.

— Dobrze, Senhor — odrzekł Indjanin — lecz pójdę dopiero jutro, bo w nocy jaguary czatują w puszczy i pożrą twego sługę, a wtedy któż ci do-

pomoże? Umrzesz tu z głodu, bo moi wiarołomni towarzysze zabrali ci całą żywność; o pisz, pisz Senhor prędzej, dziś jeszcze!

Korzystając z resztek dnia, napisałem list do gubernatora; poczem szczątki żywności podzieliłem między siebie i Indjanina; nakoniec dałem mu połowę przyobiecanej nagrody zgóry, prosząc tylko, ażeby w drodze jak najbardziej pośpieszał. Dziki ze łzami w oczach przyrzekł mi wypełnić wszystko jak najpunktualniej. Uścisnąłem go jak brata, i położyliśmy się spać; kiedym sobie słał legowisko, Indjanin nagle zerwał się z miejsca i, zanim pomiarkować się mogłem, co to ma znaczyć, przepadł w gęstwinie.

Z początku mniemałem, że ujrzał którego ze zbiegów i puścił się za nim w pogoń, zacząłem więc wołać, ażeby powrócił, ale tylko przytłumione echo odpowiadało mi. Byłem więc samiuteńki w niezmiernych puszczach, ostatni przewodnik zdradziecko mnie opuścił, porwawszy nadto worek, zawierający resztkę zapasów żywności.

Rozpacz na nic się nie przyda, trzeba było raczej myśleć o ocaleniu życia. Bez zwłoki wziąłem się do wyporządzenia mego szałasu, aby sobie jakie takie schronienie zabezpieczyć, gdyż lada chwila mogła powstać ulewa i zgnębić mnie do ostatka. Naciąłem palików, umocniłem niemi ściany chatki, przykrępowałem je lianami, pokryłem dach dwiema warstwami świeżych liści, a potem pozbierałem pale rozrzucone przez Indjan i zrobiłem z nich palisadę, dla zabezpieczenia się przeciw nocnemu napadowi

mych przewodników i dzikich zwierząt. Złośliwe plemię dzikich lubi się mścić; przez całą drogę zmuszali mnie do surowego postępowania, można więc było przypuścić, że się zaczaili gdzieś w puszczy, a w nocy powrócą, ażeby mnie zamordować. Poczem nabiłem strzelbę i pistolety, przytwierdziłem ostrze lancy do tyki, a zjadłszy kawałek suchara, położyłem się na kufrze.

Noc wlekła się bardzo powoli; drzemałem nieco, lecz strzegłem się mocno zasnąć. W godzinę może po zajściu słońca wyszedłem z chaty, ażeby się przekonać, czy niema kogo wpobliżu. Wszędzie było cicho; dałem ognia z pistoletu dla odstraszenia niedźwiedzi i jaguarów, a zarazem dla pokazania Indjanom, że czuwam. Ciemność tak wielka panowała, że nic nie można było rozpoznać na parę kroków; na dobitkę, deszcz począł padać. Wszystko to rozstroiło mnie do najwyższego stopnia i z niezmierną niecierpliwością oczekiwałem brzasku. O północy wystrzeliłem powtórnie; nakoniec około godziny szóstej zrana, kiedy na wschodzie zaczęło szarzeć, rozpaliłem ogień i ugotowałem nieco kawy, której Indjanie nie zabrali, bo im, na szczęście, nie przypadła do smaku.

Następnego dnia pracowałem nad wzmocnieniem mej chaty i zabezpieczeniem się od deszczu. Indjan obawiać się przestałem, bo zapewne już gdzieś bardzo daleko byli, lecz trwożyła mnie obecność dzikich zwierząt, których ryki niejednokrotnie poprzednich dni słyszałem. Po długiej rozwadze postanowiłem z tydzień jeszcze przeczekać w tem miejscu, w nadziei,

że może przechodzący Indjanie wyprowadzą mnie z tej nieszczęsnej puszczy. Gdyby mnie to omyliło, miałem dość czasu albo puścić się dalej do Archidony, albo też do Baezy powrócić.

Postanowienie było niezłe, lecz czy możebne do wykonania, to wielkie pytanie. Nie miałem ani żywności, ani przewodników, a należało przebyć najmniej trzy dni drogi, żeby się dostać do osad ludzkich. Pozostawało mi tylko nieco sucharów; podzieliłem je na małe racje po ćwierć funta, zachowując na czas najkrytyczniejszy; zebrałem porozrzucane kości niedźwiedzie, na których jeszcze nieco mięsa pozostawało, a łapy i skórę pokrajałem na drobne kawałki, postanowiwszy je upiec na pokarm. Zresztą miałem nadzieję ubić coś ze zwierzyny, której było mnóstwo w tej okolicy, i tylko teraz pochowała się z powodu nawałnicy.

Posiliwszy się nieco w szałasie, wyszedłem na pole. Deszcz ustał. Promienie słońca przedzierały się przez sklepienie liści. Otucha jakaś napełniła mnie, pochwyciłem siatkę i zacząłem chwytać motyle, uwijające się rojami; kilka przepysznych i całkiem nieznanych chrząszczów zdołałem ująć, a o południu utrudzony i głodny, ale uszczęśliwiony bogatą zdobyczą, zasiadłem we drzwiach szałasu i klasyfikowałem schwytane owady.

Tak zeszło mi dni parę; dla nauki zyskałem wiele, ale dla siebie nic. A... przepraszam, dla siebie złapałem kilka świetlików, które zamknięte w słoju, służyły mi zamiast lampy i tak mocne wydawały

światło, że mogłem przy nich czytać wybornie. Natrafiłem także na barć pszczelną, a chociaż mnie robotnice porządnie skłuły, wyborny miód wynagrodził tę dolegliwość.

Dnia 27 czerwca przebudził mnie wrzask przeraźliwy, poznałem głos małp. Uzbrojony strzelbą, biegnę w nadziei ustrzelenia której i sprawienia sobie biesiady; skończyło się na niczem. Godzinę przeszło biegałem po lesie, nie dostrzegłszy ani jednej małpy; tymczasem ulewny deszcz zaczął padać i zapędził mnie do szałasu. Burza zerwała się tak silna, iż zdawało mi się, że moja nędzna chatka rozleci się od wichru, albo ją ulewa rozwali. Dzień ten był jednym z najsmutniejszych w mojem życiu. Nad wieczorem ugotowałem nieco buljonu z potłuczonych na miazgę kości niedźwiedzich, poczem zasnąłem.

Następnego dnia deszcz lał bezustanku; rzeka wzbierała gwałtownie; nie mogłem w żaden sposób ognia rozniecić. Męstwo, nieopuszczające mnie dotąd, zaczynało się chwiać. W nocy posłyszałem szelest, przybliżający się coraz bardziej; wybiegłem z chaty i pochwyciwszy broń, czekałem w milczeniu, co z tego będzie. Wkrótce wpobliżu szałasu dostrzegłem jakiś czarny przedmiot, posuwający się ku rzece. Chociaż było ciemno, jednakże po chodzie poznałem, że to jest tapir.

Ucieszyłem się nadzwyczajnie, lękałem się tylko, żeby go nie stracić z oczu, albo nie chybić w takiej ciemności. Ręce mi drżały z niecierpliwości i obawy. Aby lepiej wymierzyć, oparłem strzelbę o pień drzewa;

któż opisze mą radość, gdy za drugim strzałem padło zwierzę.

Ponieważ nie miałem dosyć siły, ażeby zdobycz zawlec do szałasu, zostawiłem ją na miejscu, gdzie padła. Błoga nadzieja ożywiała mnie; już teraz przynajmniej nie umrę z głodu, myślałem sobie. Serce tak mi mocno biło z radości, że długi czas nie mogłem usnąć, szczęście to jednak nie miało potrwać długo.

Nad ranem obudził mnie głuchy szmer. Porwałem się na nogi i wybiegłem z szałasu. Któż zdoła opisać me przerażenie, gdym ujrzał, że fale wezbranej wody sięgają prawie chatki. Pochwyciłem kufer i resztę ruchomości i zawlokłem na wzgórek, znajdujący się na szczęście o kilkadziesiąt kroków. Prąd wody porwał garnek blaszany i kociołek, pozostawiony wewnątrz chaty. Zerwałem całą budowlę i przeniosłem ją na wzmiankowane wzgórze. Woda wzbierająca uniosła i tapira, a tylko trochę sucharów było jedyną ochroną przeciw śmierci głodowej. Postanowiłem zachować je na ostateczną potrzebę, tymczasem żywiłem się jagodami i owocami leśnemi.

Rzeka zaś wzbierała z nieopisaną szybkością. Potężny wicher hulał po lesie, gnąc aż ku ziemi wyniosłe korony cieńszych drzew; szum rozhukanej fali łączył się z wyciem wiatru; ulewny deszcz walił w liście, a od czasu do czasu dawał się słyszeć huk sąsiedniego wulkanu. Przyznajcie, że to był piekielny koncert.

I nie dziw, że miałem się coraz gorzej. — Wilgotne wyziewy z bagnisk, kałuż i deszczu przejmo-

wały mnie dreszczem, a tu nie było czem ani okryć się, ani posilić; dostałem takiej chrypki, że nie byłem w stanie najmniejszego wydać głosu. W rozpaczy wydobyłem tekę podróżną i napisałem ogromny list do prezydenta rzeczypospolitej, wyliczając w nim wszystkie dolegliwości, jakie mnie spotkały, dołączając do tego testament i, zapakowawszy oboje w ceratę, zawiesiłem na kiju zatkniętym pod szałasem. Dalej nad brzegiem rzeki wbiłem wysoką tykę, przyczepiwszy do niej kawał płótna, aby przepływający Indjanie, dostrzegłszy ten znak, pośpieszyli mi na pomoc.

Przez dnie 30 czerwca i 1 lipca deszcz lał bez przerwy; siedziałem w chacie skurczony i okryty gnijącą już skórą niedźwiedzia. Nieznośny wyziew wydobywał się z niej, lecz zimno tak dokuczało, że nie mogłem jej odrzucić. Od czasu do czasu brałem w usta kawałek suchara posmarowanego miodem, albo nieco palonych ziarn kawy, żeby z głodu nie umrzeć.

Po południu 1 lipca jakaś rozpacz ogarnęła całą moją istotę. Siódmy to już dzień, jak mnie opuścili przeniewierczy Indjanie. Woda ani myślała opadać, fale toczyły się wciąż z równą gwałtownością! Z przerażeniem ujrzałem, że gdy jedno ramię rzeki toczyło się u stóp wzgórza, drugie poza niem przerznęło sobie nowe koryto, tak, że znajdowałem się na wyspie. Nie można było przypuszczać, ażeby się udało wynaleźć bród; więc byłem więźniem.

Co chwila biegałem na brzeg, ażeby na zrobio-

nym przeze mnie wodowskazie obserwować wysokość wody. Nad wieczorem ujrzałem, że zaczyna opadać. Otucha mnie napełniła, gdyż w stronach tych powodzie rosną szybko, ale też nader prędko opadają.

Przez dwa następne dnie stan atmosfery był raz pogodny, to znowu burzliwy. Zbierałem owoce i jagody, nie ruszając ostatków sucharów, oczekując opadnięcia wód, ażeby puścić się do Archidony. Miałem mapkę dokładną i igiełkę magnesową; spodziewałem się, że zapomocą tych przedmiotów nie zboczę z należytego kierunku. Wprawdzie osłabione siły niewielką mi wróżyły nadzieję wytrzymania trudów kilkudniowej podróży, ale cóż miałem robić; czy tak, czy owak, nic mnie nie czekało innego, jak śmierć.

Postanowiłem przedewszystkiem dostać się nad brzeg rzeki Kondachi, której powinienbym był dosięgnąć po dwóch dniach podróży. Przybywszy tam, zamierzyłem zbudować tratwę i puścić się biegiem rzeki aż do ujścia jej do Hollinu. Zdawało mi się, że tratwę zrobię bez trudu, gdyż ani na pniach, ani na lianach do wiązania ich nie zbywało. Tym sposobem mogłem dosięgnąć najdalej piątego dnia osad indyjskich; w ciągu podróży zwierzyna miała mi dostarczyć żywności.

Wprawdzie plan ten był bardzo trudny do wykonania, ale nierównie trudniej było wracać do Baezy, gdyż śród gąszczu puszczy, w bagniskach i wąwozach, łatwo się mogłem zbłąkać.

Czwartego lipca, schowawszy w wypróchniałem drzewie kufer i inne ruchomości, których z sobą

zabrać nie mogłem, przygotowałem się do marszu. Zastrzelony tukan dostarczył mi posiłku. Pozbierałem wreszcie przedmioty koniecznie potrzebne i, zawinąwszy w ceratę, poszedłem ku rzece.

Woda opadła najmniej o sążeń, trzeba ją było przepłynąć; bojąc się, na przypadek niepowodzenia, utracić całą żywność, podzieliłem ją na dwie części: jedną zostawiłem na brzegu, drugą przymocowałem na plecach. W czapce umieściłem pieniądze, zegarek i kompas i przywiązałem ją chustką do głowy, a potem, przeżegnawszy się, wszedłem w wodę.

Jestem zręcznym pływakiem, lecz dwunastodniowe trudy i brak pożywienia osłabiły niezmiernie moje siły, prąd zaś był tak gwałtowny, iż nie mogłem sobie dać rady; zanim zdołałem dosięgnąć przeciwnego brzegu, prąd pochwycił mnie i uniósł o trzysta kroków; mimo wysilenia, zacząłem tonąć; dla ocalenia życia rzuciłem pakiet w wodę, to mi ulżyło. Po długiej walce z falą, dosięgnąłem napowrót brzegu i dostałem się szczęśliwie na ląd. Połowa żywności i pistolety, zamknięte w blaszanej kasetce, poszły na dno.

Przekonałem się, że w ten sposób nie przepłynę rzeki; smutne myśli opanowały duszę, lecz postanowiłem raz jeszcze popróbować szczęścia. Nauczony doświadczeniem, poszedłem w górę rzeki i puściwszy się stamtąd, przepłynąłem szczęśliwie. Dwukrotna ta przejażdżka odebrała mi chętkę do powierzania się wodzie, i po długim namyśle postanowiłem pieszo do Baezy powrócić.

Pierwszy raz od tylu dni doznałem ożywczego działania promieni słonecznych, gdyż brzeg rzeki, na którym stałem, nie był zacieniony drzewami. Suknie zdjęte wyschły prędko; do tego powiodło mi się zastrzelić dużą czaplę, którą wnet upiekłem. Ogrzany i posilony odzyskałem siły i dobry humor, ale że już było blisko południe, nie myślałem o dalszej w tym dniu podróży i wypoczywałem po trudach.

Nazajutrz znowu deszcz padał, trzeba więc było zostać na miejscu. Przetrząsając kuferek, znalazłem kilka funtów kukurydzy. Podczas pobytu w Quito gatunek ten kukurydzy spodobał mi się bardzo; miałem zamiar upowszechnić go w ojczyźnie; o jakże mi się teraz przydała ta kukurydza!

Mając czas wolny, wydobyłem kilkadziesiąt kart, przeznaczonych do nalepiania drobniutkich chrząszczyków i porznąłem je nożem na drobne skrawki. Miały mi one służyć do znaczenia drogi, w razie gdybym się zbłąkał w lasach i nie mógł trafić napowrót do rzeki.

Ze strzelbą na plecach, z tłumoczkiem, zawierającym resztę żywności i najrzadsze egzemplarze znalezionych owadów, porzuciłem miejsce, na którem tyle mnie przeciwności spotkało. Szedłem wolnym krokiem, aby się nie zmęczyć, i skrawkami kart znaczyłem drogę. Niepodobna sobie wyobrazić, co to za droga była; nieraz z powodu gąszczu, parę godzin czasu należało poświęcić dla przebycia paruset kroków; innym razem brnąłem po kolana w bagnisku i namyślałem się długo, jak postawić drugą nogę,

ażeby nie pogrążyć się w bezdennej otchłani. Częstokroć zrozpaczony chciałem się rzucić na ziemię i oczekiwać śmierci, wydającej mi się wytchnieniem po niewypowiedzianych trudach i cierpieniach.

Właśnie w chwili takiego zwątpienia usłyszałem odległy szmer wody; zebrawszy ustające siły, ruszyłem naprzód i wkrótce dostałem się nad brzeg rzeki Janajassu. Dążąc za jej biegiem, doszedłem znowu do lewego brzegu Cosangi i na nim przepędziłem noc, lękając się zabłąkania. Noc ta przeszła mi bardzo przykro, gdyż, mimo znużenia, nie odważyłem się zasnąć, bo wciąż było słychać ryki dzikich zwierząt.

Można sobie wystawić, z jaką niecierpliwością czekałem świtu. Skoro tylko się rozwidniło, natychmiast opuściłem moje legowisko i powędrowałem dalej. Około południa z niemałą radością poznałem miejsce, gdzie pierwszy niedźwiedź padł od mego strzału; radość tę jednak ciężkie zatruło zmartwienie. Cały dzień wczorajszy, idąc wśród bagnisk, niejednokrotnie podpierałem się strzelbą. Nabój zawilgnął, a zamek zardzewiał zupełnie, jedyna więc broń pozostała bez użytku, i nie miałem nawet czem ubić zwierzyny, choćby się nawinęła. Cóż mi teraz po fuzji! Porzuciłem ją pod drzewem z wielkim żalem, bo i nacóż dźwigać było niepotrzebny ciężar?

Szedłem wciąż aż do wieczora, wypoczywając tylko czasami, kiedy strudzone nogi wypowiadały posłuszeństwo; noc przeszła daleko spokojniej, aniżeli poprzednia, ryku zwierząt wcale słychać nie

było, mogłem więc pokrzepiającym snem wzmocnić wyczerpane siły.

Trzeciego dnia ku wieczorowi wydostałem się przecież z głębi puszcz; przede mną rozpostarła się równina niezbyt wielka, ale za nią piętrzyły się góry, w które nazajutrz miałem się zapuścić. Uszedłszy z milę, zatrzymałem się u stóp gór, zamierzając dopiero jutro dalszą przedsięwziąć drogę. Stan mój był w najwyższym stopniu opłakany; miejsce sukien zajęły nędzne, zbłocone szmaty, obuwie zdarło się doszczętu, a nogi obrzmiałe i pokaleczone dokuczały mi przez całą noc nieznośnym bólem.

Przez cały dzień następny musiałem pozostać w miejscu; moczenie i okładanie gliną poranionych nóg znacznie mi ulżyło; poobwijałem je podartemi połami surduta. Nazajutrz, puściwszy się w dalszą drogę, doszedłem do potoku Vernello. Przewodnicy moi, uciekając, zrzucili ogromny pień drzewa, służący poprzednio za most, ażeby mi zatamować przejście, lecz nie zważając na bystrość prądu, przebyłem potok, używszy dwóch kijów do podparcia się, i zanocowałem niedaleko stamtąd w jaskini.

Dzień dzisiejszy miał być nareszcie kresem mych cierpień, gdyż Baeza nie leżała dalej, jak o półtrzeciej mili geograficznej, lecz lękałem się, czy mi sił starczy na ich przebycie. Żywności nie miałem, ostatnią rację sucharów spożyłem wczoraj wieczorem; nie pozostało mi nic, nad dwie kolby kukurydziane. Upiekłem jedną na węglach i rozpocząłem mozolny pochód przez leśne wąwozy.

Gęste krzewy zapełniały wąwóz do tego stopnia, że bez pomocy noża niepodobna było ujść kilku kroków. Już słońce chyliło się ku zachodowi, a nigdzie nie można było dostrzec śladów pobytu ludzkiego. Siły opuszczały mnie coraz bardziej; już tylko trzydzieści ziarn kukurydzy pozostało. Zjadłem je, lecz nędzny ten pokarm nie mógł ukoić silnego głodu; co kilkanaście kroków ustawałem; zdawało mi się, że już nadszedł ostateczny kres moich męczarni. Wyczerpany padłem na ziemię, polecając się Bogu. Szum w uszach, dreszcz w całem ciele i osłabienie przepowiadały mi bardzo rychłą śmierć.

Wtem zdala dobiegł mych uszu jakiś dziwny głos. Podnoszę się, siadam. Słucham, tamuję oddech, ażeby pochwycić te niewyraźne dźwięki. To pianie koguta. O mój Boże! żadna melodja nigdy w życiu nie wywarła na mnie tak czarownego wpływu, jak ten głos wrzaskliwy wiejskiego zegara. A więc znajduję się wpobliżu mieszkań ludzkich! — wybełkotałem, i łzy gorące spłynęły po wynędzniałej twarzy.

Kiedy z gwałtownego wzruszenia przyszedłem do siebie, głucha cisza panowała wokoło; nie mogłem rozpoznać, z której strony dolatywało mnie pianie koguta. Poczciwe ptaszę, jakby wiedziało, że od jego głosu zawisło życie człowieka, odzywa się znowu. Porywam się na równe nogi i śpieszę za powtarzającem się wciąż pianiem. Gąszcz zarośli nie może mnie powstrzymać, pędzę naprzód, nie zważając na ciernie, kaleczące mi ręce i twarz. Nakoniec, po upływie dziesięciu minut, spostrzegam domki Baezy. In-

Wyczerpany padłem nā ziemię, polecając się Bogu.

djanie, ujrzawszy zdziczałą mą postać, pierzchają z krzykiem zgrozy; nie zważam na to, lecz pchnąwszy nogą drzwi pierwszej chaty, wbiegam do niej, padam wysilony na ziemię, wołając: Chleba! chleba!

Obfity pokarm, ciepła strawa, której od tak dawna nie miałem w ustach, a następnie sen długi i głęboki, powróciły mi utracone siły. Poszedłem do alkada i wymieniłem mu moje nazwisko; biedny człowiek struchlał, sądząc, że ma przed sobą upiora, albowiem przewodnicy indyjscy za powrotem, dla ocalenia swej skóry, opowiedzieli, że utonąłem podczas przeprawy przez Cosangę. Za chwilę przyprowadzono tych nędzników; popadali mi do nóg, błagając, ażebym darował im życie. Prosiłem alkada za nimi; urzędnik jednak kazał ich dla przykładu ochłostać i wtrącić do więzienia. Teraz wypoczywam po trudach.

Na tem kończy się wyjątek z listu Osculatiego. Zapewne sądzicie, czytelnicy, że zrażony cierpieniami, odrzekł się na zawsze wycieczek i porzuciwszy Ekwador, do Europy powrócił. — Nie zgadliście; naturalista nasz po dziesięciodniowym wypoczynku i zaopatrzeniu się w nową odzież i zapasy, z ośmiu przewodnikami z poczciwego pokolenia Kwirosów wyruszył zpowrotem w lasy, dopiero co opuszczone, i rozpocząwszy na nowo badania, po półtorarocznej podróży, pełnej przygód i trudów, przybył z nagromadzonemi skarbami naukowemi do ujścia rzeki Maranionu i stąd dopiero popłynął do Europy.

Tak to święty zapał wiedzy wzbudza olbrzymią wytrwałość w prawdziwych swych kapłanach

i wiedzie ich w odległe i puste krainy, w lodowate strefy biegunowe. Wielu z nich zginęło z głodu, pragnienia, padło ofiarą zabójczego klimatu, lub wyzionęło ducha pod nożami dzikich, a przecież takie przykłady nie odstraszyły innych od podróży naukowych, chociażby mieli poświęcić życie dla zdobycia prawd nowych.

PRZYGODY JOHNA JACKSONA

i jego pobyt na wyspach Fidżi (1836—1842).

I.

Młodociany wiek i pierwsze kłamstwo.

Urodziłem się 1820 r. w południowej Anglji pod samem miastem Hastings, leżącem w hrabstwie Sussex, nad samem morzem. Miasto to, jak mi nieraz mój ojciec opowiadał, było pamiętne w dziejach naszych; tutaj bowiem Wilhelm, książę Normandji zwany Zdobywcą, stoczył przed siedmioma wiekami bitwę z wojskiem anglosaksońskiem, pobił je na głowę i opanował Anglję.

Ojciec mój był pastorem i pragnął, abym i ja także poświęcił się stanowi duchownemu, dlatego też napędzał mnie porządnie do książki, lecz wrodzona żywość, a czemuż nie wyznać prawdy, i wielkie lenistwo, nie dozwalały mi przysiedzieć fałdów. Wymykałem się też, jak mogłem, nad brzeg morza, gdzie zwykle bawili się synowie rybaków, z którymi zostawałem w wielkiej przyjaźni.

Najulubieńszą zabawką tych chłopców było robienie małych okręcików i puszczanie ich na morze; wkrótce nabrałem takiej wprawy w robieniu statków maleńkich, że mnie współtowarzysze mianowali cieślą okrętowym. Naprożno ojciec nieraz spędzał mnie z brzegu, gniewał się, a czasem i ukarał; prędko o tem zapominałem, a skoro tylko nadarzyła się sposobność, zamiast pójść do szkoły, biegłem nad morze nowe wymyślać igraszki.

Jednego dnia stary Dick, najzręczniejszy rybak w całej okolicy, wyprawiał się na połów ryb; syn jego, Will, powiedział mi o tem, namawiając, abym razem z nimi odbył wycieczkę. Z niezmierną chęcią przystałem na to, lecz Dick oświadczył, że mnie nie zabierze, dopóki nie wystaram się o pozwolenie ojca. Pobiegłem do domu, lecz zamiast prosić ojca o pozwolenie odbycia całodziennej przejażdżki po morzu, oświadczyłem mu chęć odwiedzenia ciotki, mieszkającej w mieście. Ojciec, po krótkim oporze, pozwolił, z warunkiem, żebym zaraz po południu do domu wrócił.

Uszczęśliwiony tem łatwem wymknięciem się z domu, poszedłem drogą ku miastu, lecz gdy już z domu rodzicielskiego dostrzec mnie nie mogli, zawróciłem w krzaki i przez zarośla ścieżkami przybyłem do chaty rybaka, który, widząc mnie w świątecznych sukniach, uwierzył kłamstwu i zabrał z sobą na łódkę. Oj, ciężko przypłaciłem później to kłamstwo, jak się o tem przekonacie.

Nikt nie zdoła wyobrazić sobie mojej radości,

gdy po raz pierwszy ujrzałem się na morzu; od paru lat napróżno wzdychałem, aby tego szczęścia doświadczyć, a dziś ziściły się moje marzenia najgorętsze: byłem w czółnie, byłem na morzu,

Z początku każdy zwrot łodzi zabawiał mnie bardzo, zarzucałem i nudziłem starego Dicka ustawicznemi pytaniami; ale on uprzejmy dla mnie, jako dla syna pastora, z chęcią odpowiadał na wszystko, lub wyręczał się synem, znającym dobrze rzemiosło rybackie i żeglarskie.

Kiedyśmy się znajdowali o parę mil przeszło od brzegu, starzec rozpostarł sieci i rozpoczął połów. Pierwsza złapana ryba zainteresowała mnie bardzo; miotanie się jej w sieci sprawiało mi wielką uciechę, dosyć, że kiedy późno wieczorem wracaliśmy do domu, pomimo lekkiego bicia serca z obawy gniewu ojca, byłem bardzo zadowolony z pierwszej morskiej wycieczki.

Zamiast iść do domu, udałem się do miasta wprost do ciotki, która niezmiernie zadziwiła się, że tak późno przychodzę. Zacząłem ją bardzo przepraszać i ułożyłem historyjkę, że ojciec posłał mnie zrana do niej, lecz spotkawszy na drodze chłopczyka znajomego, wstąpiłem do niego i zabawiłem się aż do tej pory, a teraz nie śmiem wracać do domu z powodu spóźnionej pory. Ciotka zburczała mnie zrazu, lecz potem udobruchała się i, kazawszy zawołać dorożkę poleciła odwieźć mnie do domu. Ma się rozumieć, że wyprosiłem sobie u cioci, iż ani słówka o tem ojcu nie powie.

Szczęśliwy z takiego obrotu rzeczy, przespałem smaczno noc, będąc pewny, że się już wszystko dobrze skończyło. Ale Pan Bóg nie lubi kłamców, a karze tych, którzy śmią oszukiwać rodziców. Na drugi dzień rano, ledwie wstałem i zacząłem się ubierać, gdy ojciec przysłał po mnie służącą, abym w tej chwili przyszedł do kuchni. Zaledwie tam wszedłem, kiedy ojciec zapytał mnie:

— A więc wczoraj byłeś u cioci?

— Tak jest — odpowiedziałem — byłem tam od samego rana aż do wieczora.

— Niegodziwy kłamco, nie wiedziałem, że jesteś tak przewrotny. Wybrałeś się bez mego pozwolenia na morze, powiedziałeś poczciwemu Dickowi, że ci pozwoliłem; uwierzył ci, bo nie mógł przypuścić, że taki młody chłopiec może już kłamać; zmyśliłeś przed ciotką, że cię kolega zatrzymał, a teraz mnie chcesz otumanić. A więc trzy razy dopuściłeś się fałszu. Czy wiesz, nieszczęśliwy, że kłamstwo jest początkiem wszystkiego złego? O ja nieszczęśliwy ojciec, czegóż to doczekałem?...

Rzuciłem się do nóg ojcu i rzewnie płacząc, przyrzekłem poprawę.

— Niech pan przebaczy Dżonowi — prosił Dick, którego dotąd nie widziałem.

On to, przyniósłszy ojcu parę ryb w podarunku z wczorajszego połowu, o wszystkiem opowiedział.

Długo ojciec był nieprzebłagany; nareszcie proszony przez matkę, siostrę i starego rybaka, przebaczył mi, lecz zarazem oświadczył, iż po świętach

wielkanocnych odeśle mnie do stryja, także pastora w Bosworth, w hrabstwie Leicester, ażebym tam, zdala od morza, nie miał przeszkody w naukach.

Przebaczenie ojca wprawdzie mnie uspokoiło, lecz myśl o wyjeździe do stryja napełniała mnie obawą. Wiedziałem o tem, że jest nadzwyczajnie surowy i nie będzie mi wcale pobłażał. Nie miałem chęci do nauki, a tam czekało mnie z pewnością całodzienne ślęczenie nad książką; przytem trzeba było wyrzec się morza i koleżków i pojechać daleko od domu. Myśli te trapiły mnie bezustanku, a im bliżej było do świąt, tem bardziej obawiałem się dnia odjazdu.

II.

Ucieczka z domu rodzicielskiego.

Dobrze ojciec powiedział, że kłamstwo jest początkiem wszystkiego złego. Obawa przyprowadziła mnie do tego, że postanowiłem uciec z domu rodzicielskiego. W wielką sobotę posłali mnie rodzice z siostrą na nabożeństwo; uprosiłem ją, żeby mi pozwoliła pójść do ciotki, ale zamiast udać się tam, pobiegłem do portu. Przed szynkiem stało kilku majtków, pijących piwo. Odwołałem jednego na bok i dawszy mu szylinga, prosiłem, aby mi doradził, jakby się dostać na święta do Boulogne, gdzie niby miałem stryja. Majtek zaprowadził mnie do właściciela odpływającej tam barki, i za opłatą czterech szylingów zabrano

mnie na statek, który w kwadrans potem rozwinął żagiel.

Była to połowa mojego majątku; dostałem od cioci pół gwinei i chowałem ją od czterech miesięcy, a teraz na ucieczkę z domu rodziców użyłem. Zdawało mi się, że z tą sumą mogę pół świata obejść, wkrótce jednak poznałem, jak małą miała wartość.

Po przybyciu do Boulogne nie wiedziałem, gdzie się obrócić i co z sobą robić. W czasie podróży poznałem się z chłopcem, nieco starszym ode mnie; w takim wieku, jak wiadomo, robi się łatwo znajomości. Mój koleżka służył był już na statku węglarskim przez pół roku, a teraz pragnął dostać się na większy okręt. Skoro dowiedział się o przyczynie, dla jakiej uciekłem z domu, począł mnie namawiać, abym zaciągnął się na statek jako chłopiec okrętowy. Nie byłem wcale od tego i prosiłem tylko, aby mi dopomógł.

Jakubek kazał mi poczekać w miejscu, a sam, wziąwszy dwa szylingi, poszedł pomiędzy majtków. Już myślałem, że nie powróci, ale we dwie godziny nadszedł z wysokim i ogorzałym majtkiem, który ujrzawszy mnie, zawołał:

— A więc to jest ten lichy kret, mający chęć służenia na naszym okręcie? Pójdź, żabo, do kapitana cię zaprowadzę, a jeżeli cię przyjmie, tak jak tego wisusa, twego kolegę, to pamiętaj, że ci się o to wystarał Thoms Black.

Wsiadłszy w czółno, popłynęliśmy ku okrętowi. Był to dwumasztowy statek kupiecki, zwany »Little

Boy«. Kapitan trudnił się transportowaniem płótna holenderskiego do Stanów Zjednoczonych i zatrzymał się w Boulogne dla dobrania dwóch majtków, w miejsce odprawionych; zamiast tego przyjął dwóch chłopców okrętowych, Jakubka i mnie.

Obawiałem się bardzo, aby nie wypytywał o rodziców, o ich pozwolenie zaciągnięcia się na statek i drżałem, kiedy kapitan przywołał mnie do siebie.

— Jak się nazywasz? — zapytał, roztwierając księgę i maczając pióro.

— John Jackson — odpowiedziałem.

— Wiele masz lat?

— Czternaście i pół.

— Rodem?

— Z Hastings.

— Dobrze! — zawołał, zapisując to wszystko — przyjmuję cię, będziesz miał pomieszkanie, stół i ubranie; jeżeli będziesz się dobrze sprawiał, to pomyślimy o wynagrodzeniu pieniężnem, jeżeli źle, każę ci skórę wyłoić. A teraz precz z tą lądową skorupą — dodał, wskazując na moje suknie. — Hola, Sanders! przystroić mi go na marynarza.

Po chwili, ubrany w drelichowe majtki, kaftan i okrągły kapelusz, co wszystko, mówiąc nawiasem, należało przedtem do jakiegoś z moich poprzedników, myłem wraz z drugimi pokład okrętu. Później dopiero dowiedziałem się, że kapitan, nie mogąc dostać majtków, przyjął pierwszych lepszych chłopców, jacy mu się nawinęli, i dlatego więcej mnie nie badał.

Już od pierwszego dnia wcale mi się nowy stan

nie podobał. Sądziłem, że nie będę nic innego robił, jak tylko przypatrywał się morzu i żaglom i biegał cały dzień po wszystkich kątach okrętu, tymczasem pędzono mnie do pracy bezustanku. Kapitan był surowy i prawie nigdy do mnie nie mówił, chyba coś rozkazując. Sternik i cieśla okrętowy nie odznaczali się wcale łagodnością, a majtkowie swoją drogą wyręczali się mną w każdej potrzebie, słowem, po tygodniu gorzko płakałem nad swą nierozwagą, ale już było za późno.

O mój Boże! jakże mi się wydawał miłym ów mały, wybielony pokoik, w którym, siedząc nad książką, nieraz utyskiwałem, że mnie ojciec do nauki napędza; z jakąż chęcią powróciłbym teraz do niego. Płonne marzenia, trzeba było poddać się losowi i żeglować w świat daleki. Dnia 5 kwietnia 1837 r. opuściłem na długi czas ziemię ojczystą.

Nie będę opisywał mojej pierwszej podróży; powiem tylko, że ledwie po dwóch miesiącach zarzuciliśmy kotwicę w Bostonie, mieście stołecznem stanu Massachusetts, gdzie po trzytygodniowym pobycie kapitan, naładowawszy statek wyrobami bawełnianemi, popłynął do Brazylji, gdzie także kilka tygodni bawił. Nakoniec opuściliśmy port Rio Janeiro, a naładowawszy okręt cukrem, popłynęliśmy ku przylądkowi Dobrej Nadziei, skąd mieliśmy do Europy powrócić.

Cieszyłem się zawczasu na tę myśl. Jakkolwiek ciężko zawiniłem przeciwko ojcu, miałem przecież nadzieję, że się da przebłagać. Ślubowałem sobie uro-

czyście być jak najposłuszniejszym synem i przykładaniem się do nauki zgładzić moją winę. Postanowiłem wreszcie uczynić zadosyć woli ojca i poświęcić się stanowi duchownemu, gdyż marynarka dała mi się już dobrze we znaki. Wprawdzie od pół roku, odkąd zostawałem na statku, już obeznałem się dokładnie ze służbą, lecz surowa karność, a nawet grubjańskie obchodzenie się przełożonych i majtków, przykrzyło mi się bardzo.

III.

Wyspa bezludna.

Przez pierwsze dwa tygodnie po opuszczeniu Brazylji nic ważnego nie zaszło; wiatr nam nie sprzyjał, i płynęliśmy, lawirując bez przerwy. Wkońcu trzeciego tygodnia zerwał się huragan, bardzo pospolity w tych stronach i przez dwadzieścia cztery godzin miotał statkiem bez odpoczynku. W strasznej tej burzy utraciliśmy maszt przedni i wszystkie żagle; powalony na bok okręt nie mógł odzyskać równowagi aż po wrzuceniu w morze wszystkich dział i znacznej części ładunku.

Kilka dni jeszcze potem szalało morze, wicher gnał nas w zupełnie innym kierunku, aniżeli wypadała droga. Okręt był tak skołatany, że bez naprawy niepodobna było dalej płynąć. Na widnokręgu ukazała się ziemia zdaleka; pożeglowaliśmy ku niej. Była to

niewielka wysepka, samotna i pusta, leżąca pod 30° szerokości północnej, a zwana Columbus.

Wyspa ta naga i skalista, oprócz kilku źródeł słodkiej wody, nie miała żadnych innych płodów ziemskich, mogących nam się przydać; ryb jednak znajdowała się taka obfitość, że zaoszczędziliśmy sobie żywności. Naprawa okrętu szła wolno, bo oprócz cieśli jednego, wszyscy majtkowie nie umieli sobie radzić; dobre jednak chęci wypełniały ten brak, a ja zarówno z drugimi pracowałem ochoczo, aby jak najprędzej wyswobodzić się z odludnej wyspy.

Nakoniec już wszystko było do odjazdu gotowe. Nazajutrz o świcie mieliśmy wyruszyć; uprosiłem kapitana, aby mi pozwolił przejść się po wyspie, gdyż od chwili przybycia, zajęty pracą, nie mogłem tego uczynić. Kapitan, ujęty moją pracowitością, pozwolił, lecz rozkazał mi, ażebym na przeciwnym brzegu znajdował się przed wieczorem, albowiem okręt tam popłynie dla nabrania zapasu świeżej wody.

Wziąwszy nieco żywności, puściłem się na wędrówkę.

Byłem podówczas jeszcze bardzo młody, nic więc dziwnego, że ujrzawszy się raz wolnym od nieustannego nadzoru moich przełożonych, chciałem wynagrodzić sobie za wszystkie czasy. Każdy krzaczek, każdy ptak, każda skała zajmowała mię niezmiernie. Ujrzawszy na wzgórzu ogromny głaz z miękkiego kamienia, postanowiłem nożem wyryć moje nazwisko. Praca szła bardzo powoli, lecz tak się nią pilnie zająłem, iż nie uważałem, jak mi na tem kilka godzin

zeszło. Z przerażeniem ujrzałem, że już słońce za chwilę zajdzie. Porzuciwszy więc niedokończoną robotę, puściłem się ku północy, aby dostać się ku brzegowi; lecz w kwadrans potem słońce zaszło. Zmrok trwał bardzo krótko, jak zwykle w tamtych stronach, i wkrótce w zupełnych znalazłem się ciemnościach.

Położenie moje było okropne. Wysepka, złożona po największej części z nagich skał, miała dużo przepaści, tak dalece, że wyruszać w drogę wśród nocy było niepodobieństwem. Zjadłszy więc kawałek suchara, położyłem się w załomku skały, a postanowiwszy wstać jak najraniej, żeby na czas dostać się do portu, usnąłem.

Nie wiem, która mogła być godzina, gdy nagle przebudził mię silny huk. Zerwałem się, mniemając, że wystrzał z działa przyzywa mię na okręt; nim jednak mogłem się zastanowić, w którą iść stronę, olśniewającej białości błyskawica rozdarła niebo i w bliską skałę uderzył piorun.

Co się naówczas ze mną działo, wypowiedzieć nie umiem; z jednej strony lękałem się gwałtownych piorunów raz w raz uderzających, z drugiej zaś trwożyłem się o okręt, co się z nim dzieje. Burza trwała aż do samego rana; deszcz lał jak z cebra; kilkakrotnie musiałem zmieniać schronienie, gdyż naokoło ryczały wezbrane potoki, i bałem się, żeby mię który nie uniósł. Noc ta nie wyjdzie nigdy z mojej pamięci, płakałem gorzko, a najbardziej na siebie, bo bez żadnego powodu, jedynie przez niepotrzebną ciekawość, opuściłem okręt.

Nakoniec nad ranem zaczęło się wypogadzać; nawałnica poszła na zachód, a na wschodzie ukazywały się pierwsze światełka zorzy. Przemokły do nitki, drżący i zgłodniały, puściłem się w kierunku północy, pośpieszając ze wszystkich sił, ażeby na czas stanąć na miejscu. Półtory godziny upłynęło, zanim dostałem się na brzeg morski. Któż opisze moje przerażenie, kiedy, przybywszy na punkt oznaczony, nie ujrzałem statku.

Kilka razy to zbiegałem na brzeg morski, to znów wdrapywałem się na stromą skałę, w nadziei ujrzenia okrętu. Wyniosły przylądek zakrywał przede mną miejsce, skąd statek miał nadpłynąć. Postanowiłem dostać się na szczyt jego, sądząc, że może za przylądkiem okręt spoczywa na kotwicy. Kiedy wdrapałem się na wierzch, obawa moja zamieniła się w rozpacz, gdyż jak okiem zasięgnąć, nic nie było widać, oprócz nieba i ziemi.

— O, ja nieszczęśliwy! — zawołałem głośno łkając — a więc jestem sam opuszczony na pustej wyspie oceanu? Cóż teraz będę robił?... zginę marnie z głodu i niewygód! ani rady, ani ratunku! Co to będzie? — co będzie?

Nagle przyszło mi na myśl, że może okręt pozostał po tamtej stronie wyspy. Otucha mię napełniła, i nie zastanawiając się, co robię, pobiegłem napowrót ku przystani, w której przepędziliśmy trzy tygodnie. W połowie drogi zacząłem rozważać, że może przez ten czas okręt opłynie wyspę, a nie znalazłszy mię na oznaczonem miejscu, rozwinie żagle.

— Najlepiej będzie, pomyślałem sobie, gdy wdrapię się na tę wysoką górę, z której całą wyspę można widzieć, a gdy stamtąd ujrzę okręt, dam mu znak, gdzie się znajduję.

Blisko godzina zeszła, zanim stanąłem na wierzchołku. Niestety, okrętu wcale widać nie było; snadź kapitan, widząc zbliżającą się burzę, kazał podnieść kotwicę i odpłynął na pełne morze.

Długo stałem prawie bez przytomności na wierzchołku, z rozpaczy już i płakać nie mogłem; głód mi dokuczał, a przecież mniej na to zważałem, aniżeli na nieszczęśliwe położenie. Nareszcie zbiegłem z góry, udając się ku zatoce, którą dzisiejszej nocy opuścił nasz okręt.

Ciotka, gdym się czytać nauczył, podarowała mi była książkę mającą tytuł: »Przypadki Robinsona Kruzoe«. Ze wszystkich książek, jakie mi podpadły pod rękę, ta podobała mi się najbardziej; sypiałem, mając ją pod poduszką, aż wreszcie ojciec rozgniewany odebrał mi ją i podarował stryjecznemu bratu, mówiąc, że mi Robinson do nauki przeszkadza. W tej chwili przyszedł mi na myśl Robinson.

Byłem jak on opuszczony na bezludnej wyspie, tylko że on szczęśliwszy ode mnie, opuszczony w krainie obfitującej w rozmaite owoce i kozy; był zresztą starszym i zaradniejszym i miał jaskinię na pomieszkanie, gdy tymczasem wyspa Columbus była zupełnie pusta. Nareszcie i to mię ciężko dotykało, że dostałem się na wyspę, podobnie jak Robinson, za nieposłuszeństwo ojcu; wszak uciekłem z domu także bez

wiedzy rodziców i zapewne tę samą odniosę karę. Mój Boże! mój Boże, czternaście lat przepędzić pośród tych skał nagich bez odzieży i żywności. O ja nieszczęśliwy!

I znowu przypomniałem sobie, jak nieraz, naczytawszy się Robinsona, pragnąłem gorąco dostać się na wyspę bezludną. — Otóż teraz na niej jesteś — mówiłem sam do siebie z rozpaczą — budujże chatkę, uprawiaj ogródek i naciesz się dowoli swym losem.

W takich smutnych myślach doszedłem do zatoki. Zdawało mi się, że ktoś siedzi nad brzegiem, pobiegłem bliżej; patrzę, stoi paka przykryta szczelnie deską i przywalona kamieniem. Otwieram ją prędko i znajduję wewnątrz worek sucharów, kilkanaście funtów solonego mięsa i dużą kołdrę wełnianą, w której zawinięta była karteczka z napisem:

»Byłem tak nierozsądny, że ci pozwoliłem przejść się po wyspie. Burza się zbliża, nie mogę zostać przy brzegach, zostawiam ci więc nieco żywności i okrycie. Nie lękaj się, jeżeli wiatr nie przeszkodzi, wrócę jutro rano po ciebie. Kapitan Bell«.

Odczytawszy tę kartkę, przeszedłem z rozpaczy do największej radości, skakałem i cieszyłem się z tej cudownej odmiany, ale cały dzień przeszedł na daremnem oczekiwaniu. Wyszukałem sobie pod skałą zasłonę i położyłem się spać.

Dzień za dniem upływał, a okrętu nie było widać. Zaczynałem znowu wpadać w smutek, jakiś przypadek musiał się wydarzyć kapitanowi, że po mnie nie przybywał. Z żywnością obchodziłem się

nadzwyczaj oszczędnie i po większej części żyłem muszlami i rakami morskiemi, ażeby mi suchary i mięso na jak najdłuższy czas wystarczyły. Lecz oszczędność nie mogła zaradzić spotrzebowaniu, i dręczyłem się tą myślą, że zapasy moje kiedyś się skończą.

Tak przebyłem już siedm tygodni na wyspie. Naprożno po całych dniach wpatrywałem się w widnokrąg, czy nie dostrzegę jakiego statku, nadaremnie, nic widać nie było. Niekiedy puszczałem się na wycieczki po mojej krainie dla szukania żywności, ale oprócz kwaśnych i niesmacznych owoców, nic nie znajdowałem. Tymczasem żywność już się kończyła, i byłem pewny, że najdalej za dziesięć dni trzeba będzie umrzeć z głodu.

Właśnie raz byłem na takiej wycieczce, kiedy zdala usłyszałem wystrzał z działa. Porzuciłem wszystko i zacząłem biec z całych sił ku zatoce. O pół mili od lądu stał niewielki statek kupiecki na kotwicy i wywiesił sygnał, jaki zwykle daje się na znak, aby powracać na okręt. Natychmiast rozpaliłem ogień, a skoro buchnęły kłęby dymu, statek spuścił na wodę czółno, które szybko zaczęło się zbliżać do brzegu. Pobiegłem na brzeg i oczekiwałem z największą niecierpliwością na mych wybawców.

Plusnęły wiosła, czółno zaryło się przodem w piasek, a najstarszy majtek zawołał:

— No, śpiesz się i siadaj! bo już i tak niemało straciliśmy czasu dla wyłowienia ciebie.

Wskoczyłem w czółno, raz jeszcze obejrzawszy

się na wysepkę, wśród której tyle dni samotnych przepędziłem, i gorąco dziękowałem Panu Bogu, że mię od losu Robinsona uwolnił. W kwadrans potem byłem już na pokładzie.

IV.

Nowa służba, list od ojca, jego następstwa.

Dowódca statku kazał natychmiast, bym się przed nim stawił, a kiedy przyszedłem, zapytał, zaglądając w notatki:

— Czy ty jesteś John Jackson, chłopiec okrętowy na okręcie »Little Boy«?

— Tak jest — odpowiedziałem, skłoniwszy się z uszanowaniem.

— Kapitan Bell nie mógł wrócić po ciebie, bo go wiatr zapędził zbyt daleko: spotkawszy mię i dowiedziawszy się, że płynę w tę stronę, prosił, abym cię zabrał. Było to nieco z drogi. Mniejsza o to, jesteś na pokładzie »Kotwicy«, lecz powiedz mi, co teraz myślisz robić?

— Chciałbym jak najprędzej powrócić do Anglji.

— Chcieć możesz, ale czy ci się łatwo powiedzie, bardzo wątpię, bo ja dla ciebie nie popłynę zamiast do Chili, do Anglji. Wprawdzie kapitan Bell wręczył mi dla ciebie cztery gwineje, lecz za to trudno dostać się do domu z Valparaiso. Chyba, że masz więcej pieniędzy.

— Nie mam ani jednego pensa — odpowiedziałem — gdyż nie pobierałem wcale wynagrodzenia.

— I słusznie, gdyż chłopcom nic się nie płaci; ale cóżbyś na to powiedział, gdybym ci ofiarował miejsce majtka na moim okręcie. Płynę do Valparaiso i odwiozę cię do tego portu, a jeżeli przez ten czas okażesz się zręcznym, w takim razie za podróż do Tajti ofiaruję ci cztery gwineje, a stamtąd do Sydney sześć. W mieście tem, leżącem na wschodnim brzegu Nowej Holandji, łatwo znajdziesz okręt, który cię odwiezie do domu, jedynie za służbę na nim pełnioną. Czy zgoda?

— Przystaję z chęcią, nie wiem tylko, czy pan kapitan będzie z mojej służby zadowolony?

— Jeżeli masz chęć, to już dobrze, a teraz marsz! Przez dziś i jutro wypocznij i odżyw się, pojutrze do roboty; idź zamelduj się sternikowi, a potem pójdziesz do kucharza, niech ci da jeść. Marsz!

Tak więc zostałem majtkiem na statku kupieckim »Kotwica«. W pół godziny potem rozwinęliśmy żagle, kierując się ku cieśninie Magiellańskiej.

Słynie ta cieśnina z mnóstwa rozbić, jakich tu od jej odkrycia doznawały okręty. Wąska, długa, pokręcona, z obu stron ostremi skałami najeżona, jest nadzwyczaj niebezpieczna dla żeglarzy. Od północy otacza ją południowy kraniec Patagonji, od południa wyspy: jedna zwana »Ziemią Ognistą«, druga mniejsza »Desolation«. Wielu marynarzy woli opływać pierwszą z tych wysp; lecz skalisty przylądek Horn, znajdujący się na jej południowej kończynie, równie

jest niebezpieczny. Kapitan nasz postanowił przez cieśninę dostać się z Oceanu Atlantyckiego na Spokojny.

Nie wiem, co go do tego spowodowało, lecz mało brakło, żeśmy utratą okrętu, a może i życia, nie przypłacili przeprawy przez tę piekielną cieśninę. Zaledwie wpłynęliśmy do niej, kiedy zerwał się wiatr przeciwny i nie pozwalał posuwać się naprzód; tymczasem prąd morski nie puszczał statku napowrót. Okręt, kołatany walką dwóch przeciwnych żywiołów, kilkakrotnie o mało nie wpadł na skały. Co wieczór musieliśmy szukać miejsca na nocleg, gdyż sternik, chociaż znający te strony, za żadną cenę nie dałby się skłonić do żeglowania w ciemności. Parę razy nie mogliśmy znaleźć dna stosownego do zarzucenia kotwicy, gdyż grunt był wszędzie skalisty; na szczęście burza nas nie spotkała, bo gdyby jeszcze i to nieszczęście przyłączyło się do tylu przeciwności, niezawodnie znaleźlibyśmy grób w cieśninie Magiellańskiej.

Nakoniec po sześciotygodniowej walce z wichrem i prądem wypłynęliśmy szczęśliwie z niebezpiecznego przesmyku, a w dziesięć dni potem zarzuciliśmy kotwicę w chilijskim porcie Valparaiso.

Służba na »Kotwicy« podobała mi się daleko więcej, niż na poprzednim statku. Kapitan Blackwood był wprawdzie starym wilkiem morskim, to jest człowiekiem, który od dziecka wychowawszy się na okręcie, rzadko kiedy stawał nogą na ziemi. Mieszkańcy lądu byli podług niego największemi niedołęgami,

a chodzenie i jeżdżenie, najgłupszym w świecie wynalazkiem. Tylko na morzu byli ludzie, a kto nie znał się na żegludze, tego kapitan uważał za istotę bez duszy.

Pomimo surowej karności i porządku, w jakim utrzymywał załogę, nie był okrutnikiem; winnego kara nie ominęła, lecz nie pastwił się nigdy nad nim, jak to niejeden dowódca statku, zwłaszcza prywatnego, zwykł był czynić; natomiast chętnie rozmawiał z każdym, a często i pożartował. Niedziela po obiedzie przechodziła nam bardzo wesoło; mieliśmy na pokładzie dwóch majtków, z których jeden grał na trąbie, a drugi na flecie. Już to grali tak, że aż w uszach piszczało: pomimo to jednak majtkowie skakali do upadłego, kapitan zaś chodził pomiędzy nimi, częstował grogiem i zachęcał do tańca.

Za przybyciem do portu napisałem do rodziców list pełen skruchy i żalu, błagając, aby mi przebaczyli, i zawiadamiając, iż będę się starał jak najprędzej powrócić do domu. Dom handlowy, z którym kapitan Blackwood zostawał w stosunkach, przyobiecał odesłać go pierwszym statkiem, odchodzącym do Europy, my zaś, naładowawszy okręt towarami chilijskiemi, po ośmiu dniach odpłynęliśmy w dalszą podróż.

Tym razem pogoda nam nie sprzyjała zupełnie. Płynęliśmy po Oceanie Spokojnym, ale kto mu nadał ten tytuł, chciał sobie widać zażartować z łatwowiernych ludzi, gdyż burzliwszego morza nie widziałem podczas mego zawodu żeglarskiego. Okręt nasz kil-

kakrotnie o mało nie uległ rozbiciu, i gdyby nie energja i doświadczenie starego kapitana, bylibyśmy niezawodnie zginęli. Zwłaszcza też kiedyśmy się znajdowali na wysokości wysp Pomotu czyli Niebezpiecznych, morze szalało tak wściekle, że kapitan dla ocalenia statku musiał skierować go ku południowi, przez co zboczyliśmy o paręset mil z właściwej drogi. Okręt ucierpiał tak mocno, że musieliśmy bawić parę tygodni w zatoce wyspy Walkier, gdzie go naprawiono.

Przecudowny klimat Tajti wynagrodził nam sowicie dwunastotygodniowe tułactwo po morzu; wypoczywaliśmy tutaj przeszło miesiąc. Okręt musiano zaopatrzyć w nową kotwicę i żagle, gdyż pierwszą utraciliśmy przy wyspach Pomotu, a o dwóch mniejszych niepodobna było płynąć do Nowej Holandji; żagle zaś podarły się do szczętu. Kapitan najął do roboty krajowych cieśli, którzy pod nadzorem majstra okrętowego pracowali nad naprawą statku, my zaś mieliśmy przez ten czas wolność przechadzania się po wyspie. Nadzwyczaj zdrowe powietrze przy świeżem pożywieniu bardzo dobrze nam posłużyło, a szkorbut, pokazujący się między załogą, znikł bez użycia leków.

Z żalem odpłynęliśmy z portu tej pięknej wyspy. Mieszkańcy jej nadzwyczaj mili, łagodni, i pomimo odmiennej cery twarzy, wcale ładni, mocno nas ujęli; przy pożegnaniu gromada Tajtianów mocnem szlochaniem nas żegnała, prosząc, abyśmy jak najprędzej do nich wrócili. Musieliśmy pozamieniać z nimi nazwiska, co tutaj jest dowodem największej

przyjaźni; przytem rozdawano sobie nawzajem podarunki, a podczas tego pokazała się największa bezinteresowność nowych naszych przyjaciół, chociaż żeglarze zwykle obwiniają wyspiarzy Oceanu Spokojnego o chciwość i chytrość.

W półtrzecia miesiąca potem okręt wpłynął do sławnej odnogi botanicznej (Botany-bay) w Nowej Holandji. Siedmnaście miesięcy upłynęło od czasu, jak opuściłem moją ojczyznę; aż dotąd nie miałem wiadomości z domu. Bóg wie, co tam zajść mogło: trudno też opisać, jakiego doznałem wrażenia, gdy wstąpiwszy na pocztę w mieście Sydney, otrzymałem list adresowany do mnie ręką ukochanego ojca.

Drżącą ręką rozłamałem pieczęć, lecz gdym go przeczytał, o mało nie zemdlałem z przerażenia. Wprawdzie rodzice i siostra byli zdrowi, ale ojciec, zamiast przebaczenia, obdarzył mnie tysiącami wyrzutów: »Kiedyś nie chciał słuchać łagodnych karceń rodzicielskich — pisał do mnie — słuchajże teraz dyscypliny okrętowej; nie chcę nic wiedzieć o tobie i gdyby nie matka, nie odpisałbym ci nawet na twój list. Nie masz po co wracać do domu. Miałem syna, który był przeznaczony do stanu kapłańskiego, lecz gdy mu się spodobała włóczęga po morzu, nie mam go już więcej. Dziecię nieposłuszne obraża Pana Boga i staje się trucizną swych rodziców. Oby cię nigdy nie spotkały takie zmartwienia, jakich z twej doznałem przyczyny. Bywaj zdrów, i niech ci Pan Bóg w twoim zawodzie błogosławi, ale nie wracaj, bo ja

z zuchwałymi marynarzami nie chcę mieć nic do czynienia«.

Przez kilka chwil stałem jak wryty. Gdyby piorun uderzył przed mojemi nogami, nie byłbym się tak przeraził, jak przeczytawszy ten list nieszczęsny; spodziewałem się wyrzutów, ale nigdy zupełnego nieprzebłagania. Co czynić, gdzie się udać; na morze puszczać się nie miałem ochoty, bo chciaż zasmakowałem w zawodzie marynarskim, to list ojca obmierził mi go ze wszystkiem.

Kiedy wróciłem na pokład, kapitan, ujrzawszy twarz moją zmienioną i wybladłą, zapytał się, coby było powodem tego? Z początku nie odpowiadałem, lecz gdy zaczął nalegać na mnie z ojcowską troskliwością, rozpłakałem się rzewnemi łzami i wyznawszy, co mi dolegało, dałem mu list przeczytać. Blackwood, uczyniwszy to, tupnął nogą z gniewem i rzekł:

— Stary dziwak, a to mi się podoba, pomiata marynarzami, kto? Taki szczur ziemski, co nigdy nogą nie stanął na pokładzie. Przeskrobałeś, to prawda, ale należałoby ci wypalić ze dwadzieścia pięć kotów dziewięcioogonowych [1]) i kwita, a potem przebaczyć, a nie być tak zaciętym w gniewie. No i cóż teraz zrobisz?

— Ja sam nie wiem... — odrzekłem, szlochając — chyba się utopię...

— Ja ci tu dam, bębnie, pleść o utopieniu się; jak mi się raz jeszcze z czemś podobnem odezwiesz,

---

[1]) Rodzaj dyscypliny o dziewięciu rzemieniach.

to chociażbym cię miał wydrzeć z paszczy rekina, taką ci sprawię łaźnię, że mię popamiętasz do śmierci.

Przemowa ta wywarła na mnie wyborny skutek, przestałem mazać się ze strachu i zapytałem kapitana, co mi robić rozkaże.

— Popłyniesz, dudku, ze mną i basta! Widzę, że masz zdolności, wykieruję cię na kapitana okrętu; a jeżeli ci się spodoba, będziesz mógł przejść do marynarki królewskiej. Dopiero się zadziwią w Hastings, gdy wpłyniesz do portu jako kapitan wojennej fregaty. Wtedy i ojciec da się przebłagać.

Nadzieja zabłysła mi w duszy; zostać dowódcą królewskiego okrętu i okrytym sławą rzucić się do nóg ojca, wydawało mi się rzeczą bardzo piękną. Jeżeli gniewał się na nieposłusznego chłopca, to przecież nie sposób, aby się nie dał przebłagać oficerowi tak pięknie ubranemu. Wolałbym zapewne powrócić do domu zaraz, ale gdy to nie było możliwe do spełnienia, postanowiłem usłuchać rady kapitana i oświadczyłem mu to natychmiast.

— Dobrze więc — odpowiedział — wszelako musisz wprzódy do ojca napisać w najpokorniejszych wyrazach, raz jeszcze próbując, czy ci się nie uda wyjednać przebłagania; proś, aby adresował do Madras, gdzie za pół roku będziemy. Jak będziesz miał list gotowy, przynieś go, a ja z mojej strony kilka słów dopiszę o twem nienagannem postępowaniu. Dziwny to upór tych ziemskich kretów, jak sobie upodoba w czem, to już mu tego klinem nie wybije z głowy. Otóż i twemu ojcu zdaje się, że poza ka-

płaństwem niema już nic dobrego na świecie; gdybym go mógł dostać na mój okręt, tobym w pół roku wybił mu z głowy te lądowe urojenia.

Napisałem list i oddałem na pocztę, a potem wróciłem do mojego zajęcia. Kapitan, dowiedziawszy się, że piszę nieźle, powierzył mi prowadzenie dziennika okrętowego i dodał do pomocy sternikowi. Tak więc postąpiłem na wyższy stopień i większą otrzymałem pensję pomimo młodocianego wieku.

V.

Otwór w statku.

Wypłynęliśmy z portu Sydney dnia 17 grudnia 1838 roku. W owej porze panują tu największe upały, tak jak w Europie około św. Jana, gdyż zapewne wiadomo naszym czytelnikom, że kiedy na północnej półkuli panuje lato, na południowej bywa zima i przeciwnie. Gorąco było nie do zniesienia, a czekały nas z każdym dniem większe skwary, gdyż płynęliśmy ku równikowi. Na szczęście wiatr lekki wiał z południa, niosąc chłód od lodowatych krain podbiegunowych, i to nam było bardzo na rękę.

Opłynąwszy wschodnie wybrzeża Nowej Holandji, przebyliśmy szczęśliwie groźną cieśninę Torresa, pomiędzy tym ogromnym lądem a południowemi brzegami Nowej Gwinei znajdującą się, a która prawie tak jest niebezpieczna, jak Magiellańska, z tą tylko

różnicą, że tutaj obok prądów morskich i wiatrów przeciwnych, walczyć jeszcze trzeba z podziemnemi skałami, zalegającemi płytkie dno morza.

Przerzynając wpoprzek morze Arafurskie, w kierunku ku wyspie Timor, mieliśmy i wiatr pomyślny i żeglugę szybką i spodziewaliśmy się w pierwszych dniach lutego zarzucić kotwicę w Kupang. W końcu stycznia wiatr ustał prawie zupełnie; żagle zwisły ciężko na rejach, a okręt tak wolno płynął, iż gdy zmierzono przebytą drogę w ciągu dwóch godzin, pokazało się, żeśmy zaledwie upłynęli pół mili. Kapitan rozkazał wszystkim majtkom, wyjąwszy kilku, udać się na spoczynek, przewidując, że może jutro będziemy mieli burzę, chciał więc, aby niepotrzebnem czuwaniem sił swych nie marnowali.

Nad samem ranem błyskawica rozjaśniła horyzont, a w kilkanaście sekund dał się słyszeć łoskot odległego grzmotu. Natychmiast zbudzono osadę, a za chwilę wszyscy zgromadzili się na pokładzie. Wnet druga zaświeciła błyskawica, a po niej nastąpił grzmot już bliższy; poczem coraz częściej grzmiało, i w ciągu godziny całe niebo pokryło się chmurami, a gwałtowne uderzenia piorunów zwiastowały zbliżający się huragan. Wiatr uspokoił się, lecz wkrótce z nową zerwał się wściekłością, deszcz lał jak z cebra, a nieprzenikniona ciemność otoczyła okręt, którym bałwany morskie jakby piłką miotały. Po kilku minutach musiano ściągnąć resztę żagli, aby się ustrzec całej gwałtowności huraganu. Wtem wicher z zwykłą niestałością orkanów zawył z przeciwnej strony i nie-

szczęsny statek na bok powalił. Sternik padł na sterowe koło, a reszta majtków powaliła się wzdłuż burty i z wielką trudnością zdołała się wydobyć z pomiędzy mnóstwa lin i sprzętów razem z ludźmi w tamtą stronę rzuconymi. Wszyscy mniemaliśmy, że okręt pójdzie na dno. Dzielny kapitan Blackwood był pierwszy, co zerwał się na nogi i pochwycił za rękojeść steru. Po kilku chwilach zdążyło mu na pomoc kilku majtków; lecz wycie huraganu, spiętrzone bałwany, uderzające w okręt, ciemność i położenie skośne okrętu, uczyniły płonnemi pierwsze usiłowania ratunku. Nakoniec sternik pochwycił za topór, majster okrętowy za drugi, i obydwaj zaczęli pracować nad ocaleniem statku; najpierw spadł w morze maszt przedni, dalej zwalono środkowy w spienione wały; teraz dopiero okręt zaczął się zwolna podnosić i zlekka płynąć, ciągnąc za sobą resztki masztów z linami, których ze wszystkiem nie poodcinano.

Wprawdzie wicher dął z gwałtownością, lecz załoga stała się panią okrętu i miała nadzieję uratowania go z całym ładunkiem. Pierwszem zadaniem było uwolnić statek od złomków masztów i rei, lecz chociaż wszyscy do tego się wzięli, nie mogli przecież dać rady, dopóki dzień nie zajaśniał. Jednak i wtedy robota nie szła sporo, ponieważ okręt chwiał się ciągle i nieraz prawie brzegiem dotykał powierzchni wody. Ludzie, którym to polecono, poprzywiązywali się linami, ażeby ich woda nie zmiotła, ale jeszcze w połowie nie ukończyli swej roboty, gdy tylny maszt, złamany siłą wiatru, przez pokład prze-

lecial w morze. Po nowych usiłowaniach uwolniono nakoniec statek od szczątków tej ostatniej zawady.

Nakoniec burza uspokoiła się, i mieliśmy otuchę, że już niebezpieczeństwo przeminęło. Majtkowie, zakładając nowe maszty, śmiali się i żartowali, tem bardziej, iż niebo wyjaśnione wprawiło nas w bardzo wesoły humor. Kapitan przez długi czas przyglądał się spokojnie pracy, gdy nagle zawołał na mnie:

— Słuchajno, chłopcze, zejdźno na dół i przekonaj się, czy też podczas ratowania naszego statku woda nie zakradła się do piwnic? Do licha, nie pomyślałem o tem wprzódy; no, rzuć siekierę i marsz!

Poskoczyłem na dół. O Boże! cóż tam ujrzałem — przeszło siedm stóp wody było w kadłubie.

Kiedym powrócił i drżącym głosem objawił tę straszną wiadomość, wszyscy zbledli i skamienieli z przestrachu. Najstraszliwszą burzę, grad kul nieprzyjacielskich, największe niebezpieczeństwo dzielny majtek znosi śmiało, gdyż w takich razach ufa swym siłom i zręczności; ale otwór w okręcie napełnia go dopiero śmiertelną obawą, wie bowiem o tem dobrze, że usiłowania ludzkie na nic tu się nie zdadzą.

Mieliśmy jeszcze słaby promyk nadziei, że może wówczas, gdy okręt leżał na boku, bałwany z zewnątrz wdarły się do środka, a więc pozostaje jeszcze ratunek.

— Do pomp, chłopcy! do pomp, wiarusy! — krzyknął kapitan — ja będę wraz z wami pracował.

Wnet wszyscy wzięli się do pracy: podzielono załogę na dwa oddziały, zmieniające się co dwie minuty.

Przeszło godzinę pracowano usilnie w trwożliwem oczekiwaniu. Kapitan wysłał mnie na zmierzenie wody. Znalazłem siedm i pół stopy, a więc, pomimo nadludzkich usiłowań, przybyło wody sześć cali w ciągu godziny.

— Źle mierzyłeś, trznadlu — zawołał kapitan — i sam poszedł przekonać się. Widziałem go, jak wychodził z pod pokładu: był blady i zmieniony i nie mówił słowa. Przez chwilę majtkowie stali jak posągi, potem zaczęli miotać najstraszliwsze przekleństwa. Kapitan nie stracił odwagi, lecz kazał dalej pracować, ciągnąc sam rękojeść pompy dla przykładu; ale po upływie następnej godziny znaleziono ośm stóp wody. Jeden z majtków wskoczył w wodę, wypełniającą wnętrze, i przekonał się, że otwór powstał od uderzenia zrzuconych masztów. Podano mu wełniane koce: zanurzył się po raz drugi i chciał zatkać otwór, lecz nie mógł tego dokonać.

Pozostawał tylko ratunek w szalupie i czółnie, lecz mało było nadziei uratowania się wśród rozkołysanego morza. Ponieważ okręt szybko się zanurzał, gdyż przy nowem sondowaniu przybyło o stopę, należało więc śpiesznie myśleć o ratunku. Obie łodzie były dostateczne do pomieszczenia nas wszystkich. Kapitan rozkazał je spuścić na morze. W mgnieniu oka spełniono rozkaz; kilka beczek solonego mięsa i sucharów, oraz baryłki ze świeżą wodą spuszczono do statków. Czółno, w którem znajdował się bosman, pierwsze od okrętu odbiło, zatrzymując się w niewielkiej odległości, nim szalupa odbije. Kapitan wsia-

dał ostatni właśnie w chwili, gdy przednia część okrętu zaczęła niknąć pod wodą.

Majtkowie szybko odbili, aby usunąć się zdala od wiru, powstającego zwykle przy zatonięciu statku. Kapitan, pomimo podeszłego wieku, z nadludzką siłą odepchnął się i wskoczywszy w sam środek czółna, przewrócił kilku majtków. W momencie jednak był na nogach i ster uchwycił. Ponieważ okręt zanurzał się zwolna, Blackwood skręcił ster, aby raz jeszcze dostać się do tonącego statku. Jakoż powiodło mu się wskoczyć na pokład i porwać kilka strzelb i nieco amunicji. Poczem odbił powtórnie, a fale unosiły szalupę z przerażającą szybkością.

Jeszcześmy nie upłynęli mili, gdy poprzedzające nas czółno, uderzone falą, poszło na dno z całą osadą. Na chwilę przedtem i okręt już zatonął. Płynęliśmy w zwątpieniu i trwodze, z ściśnionem sercem na widok śmierci tylu towarzyszów i oczekując tego samego losu.

Bóg jeden i tym razem uratował nas cudownie. W odległości ukazał się okręt, kilkakrotna salwa z wszystkich strzelb zwróciła jego uwagę. Zwinięto żagle i zmieniono kierunek, a w dwie godziny potem znajdowaliśmy się na pokładzie holenderskiego statku »Biesborch«, płynącego do Surabaja.

Kapitan Blackwood milczał w pierwszych dniach uporczywie, czarna troska osiadła na jego twarzy; utracił ulubiony okręt, kilkunastu dawnych i dzielnych towarzyszów, a oprócz tego cały powierzony

mu ładunek. To go najbardziej dręczyło. Wprawdzie w długim swym zawodzie marynarskim niemało trosk doznał, lecz dziś nie był jak niegdyś młodzianem, aby je z pogodną znosić twarzą. Kiedyśmy przybyli do Surabaja, rzekł mi:

— Poczciwy chłopcze, serce mię boli, że się musimy rozłączyć. Ja muszę wracać do Sydney na statku holenderskim, aby osobiście zdać sprawę właścicielom okrętu i kupcom, którzy mi towar powierzyli, z nieszczęścia, jakie mię spotkało. Tobie radziłbym upatrzyć jaki statek, odchodzący do Indyj Wschodnich, i zaciągnąć się w służbę. W Madras zapewne dojdzie cię list ojca, i spodziewam się w nim przebaczenia; więc albo będziesz mógł wrócić do Anglji, lub też dostaniesz służbę na okręcie Kompanji indyjskiej, która wyrównywa prawie służbie królewskiej. Mam kupca znajomego w tem mieście; oto list do niego, a tu — dodał, wciskając mi w rękę kilka sztuk złota — masz sześć gwinei za ostatnią podróż; więcej ci dać nie mogę, bom sam goły. Oszczędności moje połknęła ogromna filiżanka słonej wody, w której i mój biedny statek zatonął. Bywaj zdrów!

Żal mi było rozstawać się z kapitanem, lecz chęć dostania się do Madras przezwyciężyła ochotę powrócenia z nim do Sydney. Nie potrzebując wydać ani grosza, miałem wszystkie zarobione pieniądze, to jest dwadzieścia gwinei; aby jednak je zaoszczędzić, szukałem miejsca na jakim okręcie.

Zdarzyło się, że kapitan holenderskiego kupiec-

kiego statku werbował ludzi, wszyscyśmy więc przyjęli u niego służbę, wyjąwszy sternika, który z kapitanem Blackwood odpłynął.

VI.

Podróż do Madras. — Rozbójnicy malajscy. — Wyprawa przeciwko nim.

Dnia 24 lutego 1838 roku opuściliśmy port Surabaja, kierując się ku cieśninie Malakki, ale wiatr zachodnio-północny, żegludze naszej przeciwny, zmusił kapitana do obrania innej, dłuższej, lecz pewniejszej drogi, a mianowicie przez cieśninę Bali, na Ocean Indyjski; okręt miał opłynąć południowy brzeg Jawy i zachodni Sumatry, a następnie, przy zmianie wiatru, skierować się ku wyspie Cejlon.

Służba morska, chociaż na całym świecie prawie jednakowa, przecież na okrętach holenderskich znacznie się różni od służby na statkach angielskich. Wymagają Holendrzy szczególniej punktualności pod każdym względem w spełnianiu obowiązków, mianowicie też czystość posuwają aż do przesady. Pokład, galerje okrętowe, schody, miejsca pomiędzy pokładami muszą być codzień szorowane, gdy na statkach angielskich tylko raz w tydzień, w sobotę. Nie miałbym nic przeciw tej wzorowej czystości, gdyby to ustawiczne mycie nie pociągało za sobą wiecznej wilgoci, gdyż zanim drzewo z dnia jednego wyschnie, już je na nowo polewają wodą.

Płynęliśmy wolno, gdyż, jak wspomniałem, wiatr pomimo zmiany kierunku, nie sprzyjał nam ciągle. Kiedyśmy mijali cieśninę Sundzką, majtek, siedzący na straży w bocianiem gnieździe, zawołał, że widzi w odległości kilka statków płynących za nami. Ponieważ morza te częstokroć niepokoją korsarze malajscy, przeto kapitan rozkazał przedsięwziąć ostrożności, aby na przypadek spotkania się z nimi, być wpogotowiu. Nabito działa, rozdano załodze broń i amunicję, oraz przygotowano narzędzia do gaszenia ognia.

Przez całą noc mieliśmy się na baczności, lecz nic nie przerwało spokojności; nad ranem ujrzeliśmy w odległości pół mili siedm statków widocznie okrążających nas wkoło. Były to okręty malajskie, długie na 11 do 13 sążni, zaopatrzone, jak dawne galery rzymskie, w jeden lub dwa rzędy wioseł; przy jednym z największych naliczyłem ich przeszło sześćdziesiąt.

Majtek, który już raz bił się z tymi rozbójnikami, opowiadał mi podczas nocnej straży, że na każdym statku oprócz niewolników, używanych do robienia wiosłami, znajduje się 60 do 70 wojowników; statki są dobrze zbudowane i płyną szybko. Pokład, dokoła obwarowany drewnianą grubą ścianą, ma jedną strzelnicę, która zamyka się klapą i tylko otwiera dla wystrzelenia. Zwykle na każdym bywa po jednem wielkiem dziale dwunastofuntowem, a oprócz tego znajduje się jedno lub dwa działka trzyfuntowe i kilka jednofuntowych. Wojownicy bywają uzbrojeni w karabiny, strzelby, dzidy i krysze, czyli krótkie

miecze malajskie. Do walki ubierają się czerwono, a rozpuściwszy długie włosy i wstrząsając orężem, wyzywają przeciwników na bój śmiertelny. Jeżeli im się uda dostać na pokład ściganego okrętu, wtedy wycinają całą osadę wpień, i nikomu nie dają pardonu.

Kapitan, zamiast uchodzić, zwrócił się frontem ku rozbójnikom i, płynąc ku nim, rozwinął flagę holenderską. Natychmiast na masztach siedmiu statków wywieszono bandery czerwone. Ponieważ okręty nieprzyjacielskie płynęły z nierówną szybkością i rozciągnęły się w szeroki półokręg, przeto kapitan, mając wiatr pomyślny po sobie, skierował się ku lewemu ich skrzydłu i płynął wprost na ostatni krańcowy statek. Widząc to, nieprzyjaciel podzielił swe siły na dwie części, tak, że trzy jego okręty chciały nam zabrać tył, dwa z boku, a dwa z przodu zachodziły.

Nasz trójmasztowiec, rozwinąwszy prawie wszystkie żagle, pędził z niezmierną szybkością naprzód, pozostawiając pięć statków malajskich poza sobą wtyle, a zbliżając się coraz bardziej ku dwom pierwszym. Kiedyśmy się zbliżyli na strzał działowy, huknęły dwunastofuntowe armaty nieprzyjacielskie, lecz kule, wymierzone do masztów, małą nam szkodę zrządziły: jedna zerwała chorągiewkę z przedniego masztu, druga zaś zerwała żagiel na tylnym; ani jeden z osady nie otrzymał rany.

Ponieważ działa nasze były mniejszego kalibru, musieliśmy wytrzymać jeszcze dwie salwy bez odpowiedzi, nareszcie przyszła kolej i na nas. Wystrzał

z ośmiu dział dobrze wycelowanych podziurawił cały spód statku bliższego, i widać woda zaczęła się wdzierać gwałtownie wewnątrz, gdyż wszystko zniknęło z pokładu, biegnąc na spód.

Uwolniony od jednego nieprzyjaciela, kapitan posunął się ku drugiemu; pierwszy wystrzał zgruchotał mu dwa maszty. Malaje odpowiedzieli nam z dużego i drobnych działek swoich i widocznie pragnęli zbliżyć się i zahaczyć nasz okręt; ale w odległości pięćdziesięciu sążni kapitan kazał dać ognia kartaczami, które najmniej trzy czwarte wrogów zmiotły z pokładu. Aby dokonać klęski, posłaliśmy im jeszcze trzecią salwę.

Malajczykowie zaczęli uchodzić, nie mieliśmy wcale ochoty ich ścigać, lecz naprawiwszy szkodę, uchodziliśmy pełnemi żaglami. Obejrzałem się wtył: pierwszy statek malajski tonął, jeden z pięciu pośpieszał mu na ratunek, drugi ze wszystkich sił uchodził, ale cztery ścigały nas zawzięcie, i chociaż kule ich sięgać nas jeszcze nie mogły, strzelali raz wraz, widać dla dodania sobie otuchy. Gdyby zdołali nas dognać, nie potrafilibyśmy im sprostać.

Szczęściem okręt nasz płynął bardzo szybko. Pogoń trwała przez pięć godzin, lecz statki korsarzy zostawały coraz dalej poza nami, nareszcie straciliśmy je z oczu. Dowódca, zaniechawszy zamierzonej drogi, zmierzał do Batawji, gdzie też zdążyliśmy drugiego dnia około południa. Zaraz po przybyciu złożono raport gubernatorowi holenderskiemu o tem, co nas spotkało.

W porcie Batawji znajdował się jeden tylko holenderski statek wojenny. Wydano mu rozkaz, aby jak najprędzej przygotował się do ścigania rozbójników. Korweta angielska ofiarowała także swoje usługi: gubernator, lubo niechętnie, przyjął pomoc kapitana, bojąc się narazić na gniew marynarza Wielkiej Brytanji. Mniemałem, że i nasz statek będzie należał do wyprawy, lecz dowódca oświadczył zimno, że do żołnierzy należy bić się, a do okrętów kupieckich wozić towary.

Rozgrzany wczorajszą walką, oburzony na obojętność mojego dowódcy, wymówiłem mu miejsce, a ze mną jeszcze i dwóch majtków innych. Poszliśmy wszyscy trzej do kapitana królewskiej korwety, oświadczając, że jesteśmy Anglikami, i prosząc, aby nam pozwolił walczyć na swym okręcie.

— Mam służbę w zupełnym komplecie, lecz odwaga wasza podoba mi się, i przyjmuję was, jednak starajcie się odznaczyć walecznością w nagrodę za zaszczyt, jaki wam czynię.

Około godziny czwartej po południu podnieśliśmy kotwicę. Radość i chęć odznaczenia się w boju napełniały moje serce. Płynęliśmy przez całą noc, a nad ranem, stojąc w koszu masztowym z własnej ochoty, spostrzegłem sześć statków malajskich, żeglujących ku brzegom Borneo. Wnet wymierzono lunety, a gdy kapitan przekonał się o prawdzie mego doniesienia, dał znać dowódcy holenderskiego okrętu o bytności nieprzyjaciela.

Obadwa statki puściły się w pogoń za Malajczykami, którzy widać nie zaraz nas spostrzegli, bo przeszło godzinę płynęli dosyć wolno, a przez ten czas przybliżyliśmy się o znaczną ku nim przestrzeń. Nareszcie nas ujrzeli, więc, rozpuściwszy wszystkie żagle, pragnęli ujść przed pogonią. Wkrótce odkryto siedm nowych statków, dążących ku pierwszym. Była to więc siła, z którą warto się było zmierzyć.

Pogoń nadbrzeżna z powodu mnóstwa podwodnych haków była niezmiernie trudna. Korsarze zdołali umknąć do zatoki, głęboko wrzynającej się w morze i najeżonej skałami i ławicami piaskowemi. Woda w tem miejscu była płytka, a fale wrzały i pieniły się, roztrącając o podmorskie głazy.

Korsarze mieli czas ustawić swoje statki w półkole, rozciągające się na 80—100 sążni. Okręty nasze nie mogły nawet przybliżyć się do zatoki, tak z powodu płytkości morza, jako i bojaźni, aby nie osiąść na skale lub ławicy. Postanowiono zatem atakować nieprzyjaciela w szalupach.

Kapitanowie obu okrętów mieli około trzystu trzydziestu ludzi, nieprzyjacielską siłę można było liczyć na tysiąc przeszło. Na nieszczęście artylerja okrętowa nie mogła wspierać ogniem działania łodzi, gdyż statki nieprzyjacielskie stały poza doniosłością strzału działowego.

Należałem do liczby stu siedmdziesięciu ludzi, wyznaczonych do atakowania korsarzy. Pięć szalup i łodzi odbiło od okrętów, przebywając ostrożnie mielizny. Zbliżywszy się na trzysta kroków, rozpoczęliśmy

Olbrzymi wódz malajski jakoś mi się nawinął pod karabin.

ogień z dział małego kalibru, któremi po jednem uzbrojone były łodzie. Nieprzyjaciel odpowiadał nam żwawo. Wkrótce kanonada stała się ogólna.

Ogień korsarzy, dobrze kierowany, ubił nam pięciu ludzi, a ośmiu ranił, gdy przeciwnie kule nasze dziurawiły tylko oszańcowania i trzaskały maszty, lecz wcale nie szkodziły rozbójnikom. Majtkowie poczęli szemrać, bo tym sposobem mogliśmy wszyscy wyginąć; ale kapitan angielski, dowodzący łodziami, nie zważał na to i kazał naprzód płynąć. Rozkaz ten był bardzo stosowny. Wkrótce bowiem armaty korsarskie przestały łodziom szkodzić, gdyż nieruchome ich lufy nie mogły tak nisko sięgać, a kule przelatywały nad głowami naszemi.

Statki malajskie po odpływie morza znalazły się na wodzie nie głębszej nad dwa łokcie, i aby się nie przewróciły, rozbójnicy popodpierali je drągami. Kapitan kazał mierzyć z dział w te podpory, a gdy kula zgruchotała wszystkie po jednej stronie, statek się przewracał. Widząc to, rozbójnicy zaczęli wyskakiwać ze statków, a zebrawszy się w liczbie trzystu lub czterystu, z wściekłym okrzykiem poszli wpław do nas. Kartacze i gęsty ogień karabinowy wnet ich zapał ostudziły; morze zaczerwieniło się od czerwonych kaftanów rozbójników, których przeszło stu legło od kul naszych.

Na widok tej klęski olbrzymi Malaj, siedzący dotąd spokojnie na daszku ozdobnej kajuty, znajdującej się na największym statku, opuścił swe miejsce. Z gwałtownych gestów pokazywało się, że wyrzucał

swoim tchórzostwo; zebrawszy ich na nowo i wzmocniwszy zastępem paruset korsarzy, pierwszy wszedł w wodę a za nim cała rzesza do pół tysiąca zbrojnych wynosząca.

Tym razem korsarze nie szli bezładnie, ale szerokim półkręgiem, strzelając ciągle i starając się nas otoczyć. Kapitan angielski rozkazał wznieść zasłony z desek grubych, umyślnie na ten cel wziętych, i szalupom zwolna cofać się wtył. Na ten widok szał ogarnął Malajczyków, mniemali, że uchodzimy, i złamawszy półokrąg, bezładnie rzucili się ku łodziom. Napróżno dowódca ich wybiegł naprzód i starał się pierwszy porządek utrzymać. Wojownicy zaślepieni wściekłością, a może i opjum, biegli naprzód, brnąc w wodzie po pas i wywijając kryszami.

Gęsty i celny ogień, sypany bez przerwy, nie zdołał powstrzymać napastników; kilkudziesięciu padło, lecz reszta pędziła naprzód, jeszcze chwila, a opadną nasze łodzie i rozpocznie się bój ręczny, dla żeglarzy europejskich, natłoczonych w czółnach, zgubny. Pomimo wprawy i męstwa padniemy wszyscy pod nożami tych szatanów. Teraz kapitan na serjo dał znak do odwrotu i myślał tylko o tem, jakby dostać się prędzej na głębię, lecz to było trudne.

Ku naszemu statkowi, na którym powiewała flaga dowódcy, biegł tłum najliczniejszy, a na czele jego ów olbrzymi wódz malajski. Jakoś mi się nawinął pod karabin; nie namyślając się długo, wymierzyłem i dałem ognia. Malaj podskoczył, chwycił się za pierś przeszytą i runął w wodę. I o cudo, cała

rozwścieklona zgraja, na widok padającego wodza, pierzchła w nieładzie, bolesne wydając wycia; posłaliśmy za nimi kilka salw z ręcznej broni. Już nie ku statkom, lecz ku brzegowi biegli. W tłum ścieśniony kapitan rozkazał dać kilka razy ognia kartaczami, co ogromne spustoszenie wśród uciekających sprawiło.

Tymczasem pozostali na statkach, widząc klęskę swoich, nie myśleli wcale o obronie, ale rzucili się na niewolników i zaczęli ich mordować. Na rozkaz naszego dowódcy popłynęliśmy szybko ku statkom i z karabinem w ręku wpadłszy na pokład, zaczęliśmy kłuć okrutnych rozbójników. Niektórzy opierali się i padli pod ciosami naszych bagnetów; inni rzucali się w morze, a w pięć minut nie było już ani jednego korsarza na statkach.

Kilkanaście trupów i ciała kilkudziesięciu niewolników okrutnie pomordowanych walały się na pokładach. Zabrano ogromną zdobycz, a statki rozbójnicze oddano na pastwę płomieni. Kiedyśmy obliczyli poległych, pokazało się, że 380 korsarzy zginęło; z naszej strony mieliśmy 17 zabitych i 22 rannych; mnie kula drasnęła w ramię, lecz rozgorączkowany walką nie czułem prawie bólu.

Za powrotem na okręt kapitan kazał wystąpić wszystkim biorącym udział w wyprawie i stanąwszy przed szeregami, zapytał:

— Czyj to strzał celny powalił malajskiego wodza?

— John Jackson go ubił — odezwał się stojący obok mnie podoficer.

— A więc, mój chłopcze, spisałeś się dzielnie. Sierżant Wilson poległ, mianuję cię na jego miejsce; zasłużyłeś na tę nagrodę, bo twoja odwaga ocaliła życie mnóstwu ludziom, a nawet przeważyła zwycięstwo. Sierżancie Jacksonie! bądź zawsze tak mężnym i przytomnym, jak dziś, a niezawodnie kiedyś dowodzić będziesz statkiem wojennym królewskim.

O mało krew mi nie wytrysnęła z twarzy, gdy kapitan do mnie przemawiał; serce biło gwałtownie, a w uszach szumiało, jakby śród morskiej burzy; zaledwie miałem tyle przytomności, żem podziękował kapitanowi.

Dowódca statku holenderskiego, dowiedziawszy się o tem, posłał mi w podarunku dwieście dukatów; oprócz tego z łupów, zabranych korsarzom, otrzymałem wiele kosztownych rzeczy. W jednem więc dniu postąpiłem na stopień sierżanta i znaczne zyskałem bogactwa.

W Batawji gubernator holenderski wezwał mnie przed siebie i także hojnie obdarzył. Niedługo bawiliśmy tutaj. Okręt nasz pożeglował do Madrasu, gdzie zawinęliśmy w początkach kwietnia. Dwa lata upływały, odkąd porzuciłem rodziców; zaraz po wyjściu na ląd pośpieszyłem na pocztę; wręczono mi list, na kopercie którego poznałem rękę ojca. Z trwogą złamałem pieczęć, lecz zamiast wyrzutów znalazłem w nim zupełne przebaczenie. Znać kochany ojciec żałował pierwszego uniesienia i porywczości w przeszłym liście okazanej. Nietylko nie zabraniał mi pozostać w służbie morskiej, lecz dowiedziawszy się z przy-

pisków kapitana, że się dobrze sprawiam, zachęcał mnie, żebym wytrwał w obranym zawodzie; wkońcu, zasyłając błogosławieństwo, nadmieniał, iż radby jednak jak najprędzej mnie oglądać. Matka i siostra przypisały się do listu ojca, prosząc, abym rychło do domu wracał.

Odpisałem list długi, opowiadając w nim me przygody, a mianowicie ostatnią bitwę i szczęście, jakie mnie w niej spotkało. Potem spieniężywszy zebrane łupy i dołączywszy pieniądze otrzymane od kapitana i gubernatora, kupiłem weksel na 650 funtów szterlingów i posłałem go rodzicom. Pozostawiłem sobie tylko krysz, to jest krótki, krzywy miecz wodza malajskiego.

Rodzice moi byli ubodzy, pensja 80 funtów rocznie i mieszkanie wolne stanowiły cały ich dochód; nieraz ojciec utyskiwał, że nie może zebrać stu funtów dla zabezpieczenia posagu siostrze. Teraz posłałem im przeszło sześć razy tyle. O! jakże mi było przyjemnie!

VII.

Podróż do Europy. — Bitwa z mieszkańcami wysp Fidżi. — Okręt hiszpański.

Z Madras popłynęliśmy do Sydney. Tu dowiedziałem się, że korwetę naszą przeznaczono do Europy. Wicekról Egiptu gotował się do wojny przeciw sułtanowi tureckiemu. Rząd Wielkiej Brytanji, pragnąc

wzmocnić flotę na morzu Śródziemnem, wydał rozkazy różnym statkom, aby powróciły do kraju. Nasza korweta miała wyręczyć statki krążące na kanale pomiędzy Anglją a Francją, która nieprzyjazną przybierała postawę.

Gubernator w Sydney, wręczywszy rozkaz kapitanowi, polecił mu zabrać bryg, krążący około wysp Fidżi, i do Europy popłynąć. W połowie lipca opuściliśmy Sydney, a po pięciotygodniowej żegludze ujrzeliśmy szczyty wyspy Witi Lewu, około której bryg miał się znajdować.

Płynąc ku wschodowi, wzdłuż brzegów wyspy, dopiero drugiego dnia napotkaliśmy poszukiwany statek. Porucznik, nim dowodzący, bardzo smutną doniósł kapitanowi nowinę. Przed kilku dniami, wdawszy się z wyspiarzami w niepotrzebną kłótnię, jedenastu ludzi utracił, których dzicy, ubiwszy, pożarli.

Kapitan postanowił natychmiast pomścić się na krajowcach za tę klęskę. Wprawdzie słuszność była po stronie tamtych, bo Anglicy dali powód do zerwania pokoju i pierwsi na dzikich uderzyli, lecz mocniejszy nigdy o słuszność nie pyta. Statki nasze podpłynęły pod ogromną wieś, zwaną Rewa, na południowowschodnim brzegu wyspy leżącą, i rozpoczęły natychmiast bombardowanie.

Dzicy, widząc straszliwy skutek granatów, opuścili wioskę i uszli do pobliskiego lasu. Kapitan, spaliwszy wieś do szczętu, wysadził na brzeg 80 ludzi z rozkazem ścigania i tępienia krajowców bez litości. Znajdowałem się i ja w tym oddziale. Gdyśmy wy-

siedli na brzeg, w płonącej wsi żywego ducha widać nie było; przeszliśmy ją i pod przewodnictwem porucznika udaliśmy się ku lasowi.

Stary podoficer radził porucznikowi, ażeby nie zapuszczał się głęboko w las, gdzie dzicy, korzystając z gęstwiny i znanych kryjówek, z łatwością mogli wprowadzić nas w zasadzkę. Młody zapaleniec nie korzystał z tej roztropnej rady, lecz wkroczył do lasu, poprzestając tylko na tej ostrożności, iż mnie z czterema żołnierzami wysłał o trzysta kroków przodem. Sam ustawił żołnierzy w łańcuch; co pięć kroków jeden od drugiego szli naprzód z przygotowaną bronią do strzału.

Uszliśmy już kilkaset kroków, a nieprzyjaciel ani się pokazywał. Cisza, przerywana tylko wrzaskiem ptaków, panowała w tym cichym borze. Zatrzymałem się przed wyniosłą skałą i wysłałem dwóch żołnierzy do porucznika z zapytaniem, czy mam postępować dalej. W dziesięć minut po odejściu, chmura strzał wypadła z gęstwiny, dwaj żołnierze padli bez życia, ja zaś, zanim miałem czas wystrzelić, zostałem powalony i skrępowany. Dwóch silnych krajowców, porwawszy mnie na ręce, przez haszcze i manowce biegło galopem.

Co się dalej stało z naszym oddziałem, nie wiem; słyszałem tylko zdaleka gęste strzały, widać więc, że krwawa zaszła potyczka.

Fidżanie, pomimo że byłem jednym z pustoszycieli ich osady, obchodzili się ze mną bardzo łagodnie. Zaniesiono mnie do dużej wsi w górach, a cała lud-

ność wybiegła dla przypatrzenia się białemu człowiekowi. Złożono mnie w chacie, stojącej w pośrodku wsi i dokoła otoczonej balustradą, dość zgrabnie wyrobioną z gałęzi. Chata była obszerna i miała dach wysoki.

Stary krajowiec, snadź wódz dzikich, przystąpił do mnie i długo coś niezrozumiale bełkotał, poczem rozciął me więzy i pozwolił mi przechadzać się po izbie, wskazując przytem na czterech wojowników, uzbrojonych, w łuki, strzały i dzidy, i dając mi do zrozumienia gestem, że jeżeli zechcę wyjść za drzwi, natychmiast mnie zabiją. Na jego znak musiałem zdjąć mundur, w który natychmiast się ubrał; inny zabrał mi kamizelkę, trzeci koszulę, resztę tylko ubrania i obuwie pozostawili nietknięte.

Nad wieczorem przybył tłum wojowników; kilkunastu z nich było ranionych i przewiązanych łykiem i liśćmi. Starzec wyszedł na ich spotkanie. Wtedy z tłumu wystąpił inny wódz młody i długo coś opowiadał, pomagając sobie groźnemi gestami. Wkońcu na jego skinienie wniesiono ciała pięciu poległych Anglików, pomiędzy którymi bez trudu poznałem zwłoki dwóch moich nieszczęśliwych towarzyszów.

Starzec, wysłuchawszy przemowy do końca, potarł swój nos o nos młodego wodza, potem rozkazał mnie przyprowadzić. Na widok jeńca nieprzyjacielskiego wódz zawrzał wściekłością, podniósł dzidę i wyjąc straszliwie, chciał ją w mej piersi zatopić; stary powstrzymał go i znowu coś bełkotał. Mowa ta uspo-

koiła złość wojownika; ułagodził się i opowiadał coś, wpatrując się pilnie we mnie, potem odprowadzono mnie ku drzwiom chaty.

Naczelnik, usiadłszy na ziemi, kazał mi stanąć przy sobie; czterech stróżów pilnowało, ażebym nie uciekł. Wtem wódz młody dał znak, a dzicy, uszykowawszy się parami, przeciągnęli koło nas z bronią w ręku, każdy zaś, mijając starca, przychylał się ku ziemi.

W dziesięć lub dwanaście dni potem powróciliśmy do Rewy. Na horyzoncie okrętów angielskich nie było widać. Zapewne kapitan, sądząc, żem poległ, jak drudzy, kazał rozwinąć żagle. Poczęto śpiesznie pracować nad odbudowaniem wsi, której spalenie, jak się zdaje, nie wywarło wielkiego wrażenia na dzikich, gdyż z wielką obojętnością patrzyli na zgliszcza swoich chałup. Czasami tylko, gdy który znalazł odłam granatu, wydawał krzyk, a wtedy inni zbiegali się i podziwiali straszne pociski białych, wszystkie znalezione czerepy zanosili do świątyni i składali je, jakby jakie wotum, u stóp swych bożyszcz.

Miesiąc upłynął zaledwie, a już wieś stała odbudowana; składało ją około czterystu chałup, wszystkie jednakiej wysokości, oprócz wysokiej bóżnicy i nieco większego domu kacyka.

Jednego dnia, kiedy już wszystko było urządzone, starzec zawołał mnie do siebie, a ukazując karabin angielski, dał mi do zrozumienia, ażebym z niego strzelił. Napróżno usiłowałem mu wytłumaczyć, że bez prochu tego nie można uczynić; kacyk się roz-

gniewał, kazał mnie związać i zmniejszyć rację żywności. Na trzeci dzień przyszedł do mnie i pokazał na migi, że póty będę tak traktowany, dopóki go nie nauczę strzelać.

Nie wiedząc, jak mu objaśnić, że jedynie brak amunicji jest przeszkodą, prosiłem gestami, żeby mnie kazał zaprowadzić do bóżnicy, co gdy się stało, pokazywałem mu kolejno czerepy granatów i strzelbę. I teraz mnie nie pojął, lecz dając w rękę odłam granatu, powtórzył swe żądanie. Wówczas zacząłem mu na migi pokazywać pasy, utrzymujące ładownice; długi czas mnie nie rozumiał, wreszcie zaprowadził mnie do chaty, gdzie były złożone wszystkie rzeczy, odebrane Anglikom. Tu w istocie znalazłem z dziesięć ładownic, napełnionych nabojami.

Kiedy nabiwszy strzelbę i wymierzywszy do papugi, siedzącej niedaleko na drzewie, dałem ognia, a ptak spadł z gałęzi, starzec poskoczył ku mnie, potarł swój nos o mój i włożył mi na głowę przepaskę z czerwonem piórem. Gdy to krajowcy ujrzeli, upadli przed nami na twarz i odtąd obchodzili się ze mną z największem uszanowaniem. Fidżanie jednak nie byli ludem tak głupim, jakby się to niejednemu wydawać mogło; pomimo czci okazywanej pilnowali mnie troskliwie, a co rano musiałem uczyć strzelać sześciu krajowców, przez kacyka wybranych.

W miesiąc potem ukazał się o świcie tuż przy brzegach okręt europejski; mieszkańcy snadź wzięli go za angielski statek, gdyż z wielkim krzykiem umknęli do lasu, zapominając o mnie ze wszystkiem.

Korzystając z tego, pobiegłem na brzeg i począłem powiewać chustką dla zwrócenia uwagi żeglarzy. Wkrótce mnie dostrzegli, czółno szybko przerzynało fale, zbliżając się ku brzegowi. Byłem tak szczęśliwy, jak wtenczas, kiedy mnie kapitan Blackwood z wyspy Columbus wyswobodził.

Skoro stanąłem na pokładzie, otoczyli mnie żeglarze, czyniąc zapytania, których jednak nie mogłem zrozumieć, gdyż byli to Hiszpanie. Kapitan, umiejący cokolwiek po angielsku, zapytał mnie, kto byłem. Po opowiedzeniu przygód prosiłem go, aby mnie odwiózł do pierwszej osady angielskiej, lub co lepsza do Europy, za co mu obiecałem zapłacić. Obietnica ta nie była płonna, gdyż udało mi się ukryć przed dzikimi gwineje.

Kapitan rzekł mi, że mnie odwiezie do Europy, lecz dopiero za cztery lub pięć miesięcy, gdyż interesy wymagają jego bytności na Oceanie Spokojnym; przez ten czas ofiarował mi miejsce żołnierza na swym okręcie. Ha! cóż było robić, zgodziłem się.

Dziwne wrażenie zrobił na mnie statek hiszpański; różnił on się niezmiernie budową od wszystkich tych, na których dotąd służyłem. Kadłub miał bardzo niski i wąski, maszty zaś bardzo wysokie i obciążone takiem mnóstwem żagli, że nie mogłem sobie wytłumaczyć, jak je znieść zdoła. Ośmnaście dział ośmio- i dwunasto-funtowych wyzierało z bocznych bateryj, na przodzie zaś statku stała śmigownica dwudziestoczterofuntowa, obracająca się z wielką łatwością na grubym stalowym czopie we wszystkich kierunkach.

Podobnego uzbrojenia nigdzie nie widziałem. Osada także wydawała mi się osobliwsza. Składali ją po największej części Hiszpanie, lecz byli tam także Holendrzy, Amerykanie północni, Francuzi, Anglik jeden, kilku Arabów, a nawet dwóch Murzynów. Twarze wszystkich marynarzy były spalone od słońca, a w rysach malowała się dziwna bezczelność. Na drugi dzień była niedziela, a jednakże nikt o nabożeństwie nie myślał; nie widziałeś tu uszanowania dla oficerów, a karność nieosobliwsza panowała śród tej czeredy.

Napróżno wypytywałem mego współziomka, nie dawał mi dokładnych odpowiedzi, kiedy zaś zagadnąłem go, komu służą, odpowiedział:

— Sobie samym, a czyż to nie najdogodniejsza służba?

Z tej odpowiedzi domyśliłem się, że jestem na statku korsarza hiszpańskiego. Myśl ta przejęła mnie najokropniejszą trwogą. Gdyby przypadkiem okręt wojenny jakiegokolwiekbądź narodu schwytał nas, zakończyłbym życie na stryczku.

Ze łzami modliłem się po nocach, prosząc Pana Boga, aby mnie z rąk tych rabusiów uwolnił; stokroć mi było lepiej pośród dzikich mieszkańców Witi Lewu. Najbardziej się obawiałem, aby nie nawinął się korsarzom jaki statek kupiecki, gdyż wtenczas byłbym świadkiem, a pod pewnym względem i wspólnikiem szkaradnej zbrodni.

Przez kilka dni staliśmy przy brzegu wyspy, czatując, jak się zdaje, na jakiś okręt kupiecki, który

miał tamtędy przepływać. Jednej ciemnej nocy, kiedy oprócz straży w bocianiem gnieździe i dwóch innych czatowników, odbywających służbę na przodzie okrętu, wszyscy posnęli, wymknąłem się cichaczem z hamaku, włożyłem na siebie podwójne suknie i po linie, wywieszonej przez strzelnicę, spuściłem się do małego indyjskiego czółenka, którego majtkowie do wycieczek na ląd używali.

VIII.

Powrót do dzikich. — Zostaję ulubieńcem kacyka. — Objazd państwa. — Kogut. — Wojna.

Odbiłem od okrętu w jak największej cichości i płynąłem nadzwyczaj wolno, bojąc się, aby rozbójnicy nie dostrzegli mojej ucieczki. Zaledwie ośmieliłem się poruszać wiosłem; na szczęście, prąd morski szedł w kierunku lądu. Wkrótce byłem już daleko od okrętu, a w godzinę biegłem przez opuszczoną wieś Rewę. Pomimo obawy pogoni, nie mogłem się wstrzymać, aby nie paść na kolana i nie podziękować Bogu wszechmocnemu, że mnie wydobył z rąk rozbójników morskich.

Znaną drogą, pośród ciemności, puściłem się ku borom w nadziei odszukania drugiej wioski, dokąd mnie przed trzema miesiącami zanieśli krajowcy; już się rozwidniało, kiedym usłyszał wystrzał z działa, to znaczyło, że spostrzeżono moją ucieczkę; podwoiłem kroku, co chwila zdawało mi się, że ktoś mnie ściga:

nakoniec spostrzegłem kobietę fidżyjską, która mnie też zaprowadziła do osady.

Już wówczas mogłem się cokolwieczek rozmówić językiem krajowców. Więc też przybywszy do naczelnika, to urywanemi słowy, to gestami starałem się dać mu poznać, że uchodzę przed białymi, którzy mnie zamordować chcieli. Starzec ucieszył się niezmiernie z mego przybycia, uważał to za dowód niezachwianej ku nim przyjaźni i od tego dnia zwolnił mnie zupełnie od nadzoru, pod jakim dotąd zostawałem.

Wnet mnóstwo kobiet i dzieci otoczyło mnie wkoło, radosne wydając okrzyki; jedne przynosiły mi gotowane ryby, a obrawszy je z ości, podawały do ust rękami; inne polewką gotowaną i nalaną w łupiny kokosowe częstowały; inne nakoniec podawały mi pieczone korzenie yam-yam, ułożone na liściach; dzieci wreszcie widząc, jak jestem zmęczony, chłodziły mnie wachlarzami.

Starzec, zowiący się Tuitakan, ogłosił mnie swoim ulubionym ptaszkiem, czyli Manu-Manu, co zupełnie odpowiada znaczeniu ulubieńca; od tego dnia musiałem dzielić z nim pomieszkanie i stół, a do pióra czerwonego, otrzymanego dawniej, dodano mi jeszcze dwa inne.

W dwa tygodnie potem powróciliśmy do Rewy, którą od kilku dni opuścił okręt korsarski. Odtąd, gdyby nie brak wygód europejskich i tęsknota za rodziną, byłoby mi bardzo dobrze pomiędzy dzikimi. Kacyk odbywał częste podróże do sąsiednich wysp, zostających pod jego władzą, w takich razach mu-

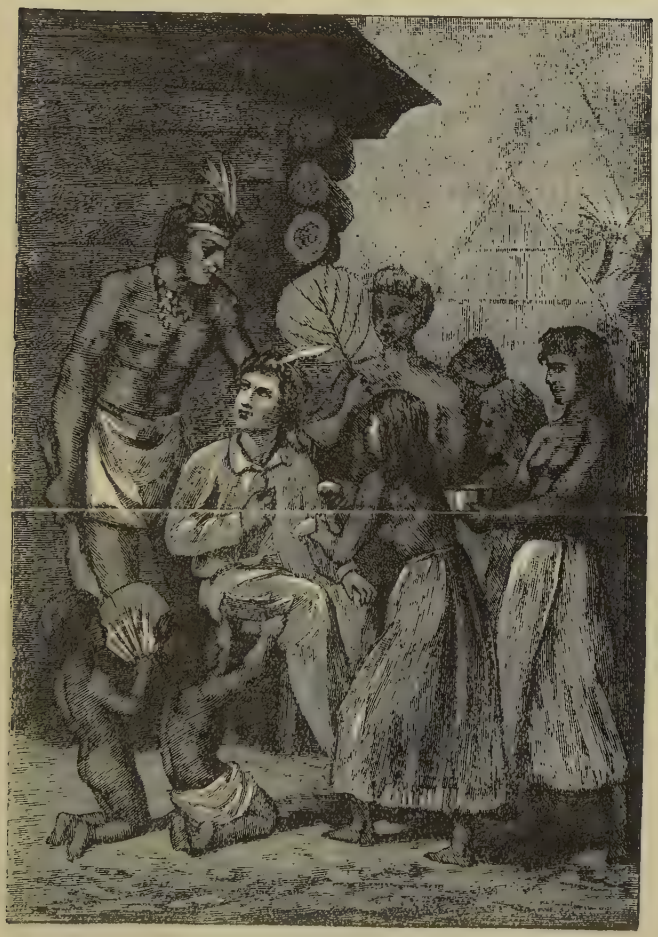

Wnet mnóstwo kobiet i dzieci otoczyło mię wkoło.

siałem mu towarzyszyć. Gdy flota, złożona z mnóstwa łodzi, odbijała od brzegu, sadzano mnie na czółnie kacyka, na krześle stojącem poza tronowem siedzeniem jego. Jako dowód szczególniejszej łaski piastowałem czerwonego koguta, który obok mnie był najulubieńszą istotą starca. Tuitakan bez niego nigdy i nigdzie się nie ruszył.

W ciągu żeglugi ofiarowano człowieka ludojadowi, którego Fidżanie czczą jako bożka zniszczenia. Mnóstwo tych potworów uwijało się około naszych łodzi.

Jednego dnia wylądowaliśmy na wyspie Angau. Miejscowy kacyk wyszedł z całą ludnością na nasze spotkanie i oddał cześć Tuitakanowi, poczem zaraz rozpoczęła się uczta. Rozpalono ogromne ogniska, pieczono żółwie, wieprze, drób; oprócz tego nie zbywało na soczystych owocach i napoju zwanym angona, którym wyspiarze południowego morza zwykli się upijać.

Po tej uczcie, wydanej przez kacyka Angau, wyruszyliśmy w dalszą podróż. Wszędzie podobne odbywały się uczty. Wyspiarze jedli niezmiernie dużo; orszak kacyka prześcigał innych w obżarstwie. Wieczorem, po biesiadzie odbywały się tańce. Kobiety, wykonywujące je, stroiły głowy w kwiaty i pióra, skórę zaś całą miały natartą oliwą i drzewem sandałowem. Suknie składały maty, delikatnie plecione z kory drzew, ozdobionej frendzlami.

Z powrotem zatrzymaliśmy się przy wyspie Kantawu, gdzie zamieszkiwał lud niegdyś bardzo wrogi Tuitakanowi; ten go zwyciężył i ujarzmił. Zrzucony

z tronu kacyk kantawuński był mianowany przez zwycięzcę wielkorządcą wyspy. Skoro Tuitakan wstąpił na wyspę, wielkorządca przypełznął na kolanach i łokciach, aby go powitać. Zaledwo to powitanie ceremonjalne ukończyło się, gdy dostrzeżono, żem zapomniał przynieść z okrętu koguta czerwonego. Zrobił się wielki wrzask, i jeden z dworaków pobiegł po ptaka i wkrótce wrócił, niosąc go za nogi przez matę, bo tej świętości, oprócz mnie i kacyka, nie wolno było nikomu gołą dotykać ręką, pod karą jej odcięcia.

Piastowanie to ustawiczne obrzydłego ptaka sprzykrzyło mi się wreszcie. Jednego dnia, nie zastanowiwszy się nawet nad tem, co robię, kiedy mnie zaczął dziobać i drapać, ukręciłem mu łeb. Nikt nie jest w stanie opisać przerażenia, jakie dwór cały ogarnęło. Wszyscy sądzili, że mnie kacyk zabije; niektórzy przez pochlebstwo tarzali się po ziemi, inni znów ranili sobie ciało, aby żal nad śmiercią ulubieńca okazać, wszyscy zaś groźnie spoglądali na mnie, pewni będąc, że kacyk każe mnie zabić i wyprawi z mego ciała ucztę dla całego dworu. Gdyby krajowiec podobną popełnił zbrodnię, niceby go od strasznego losu nie zdołało ocalić.

Można też sobie wystawić zadziwienie dworzan, gdy Tuitakan, dowiedziawszy się o moim postępku, rozśmiał się i rzekł:

— Czegoż można więcej żądać od nierozsądnego cudzoziemca?

Nie straciłem łaski starca. Mój Boże, gdybym tak zabił w Europie pieska, faworyta jakiej starej

panny lub pani, a ona byłaby kacykiem Fidżi, najniezawodniej upieczonoby mnie i pożarto.

Na początku roku 1840 przybył posłaniec kacyka Tui Matufata do Tuitakana z prośbą, ażeby wspólnie z tamtym wyprawił się przeciwko potężnemu naczelnikowi dzikich, panującemu nad południowemi wybrzeżami wyspy Wanua Lewu, któremu wojnę wypowiedział. Tuitakan, otrzymawszy znaczne podarunki w tkaninach krajowych, zgodził się wziąć udział w wojnie i nakazał podległym mu kacykom, aby zgromadzili swe siły.

W kilka dni zgromadziła się flota, złożona z czterdziestu dużych łodzi, na których znajdowało się przeszło 2.000 zbrojnych. Podczas żeglugi zatrzymywano się przy rozmaitych wyspach dla łowienia raków morskich, których przeszło sto tysięcy ubito; gdzieindziej znowu polowano na dziczyznę, a nie pogardzano także jaszczurkami i wielkiemi białemi robakami. Dziczyznę opiekano tylko z wierzchu przez kilka minut, jaszczurki podobnież, ale obrzydliwe robaki jedli dzicy żywcem, gdyż tego wymagał zwyczaj wojenny.

Nakoniec wylądowaliśmy na zachodnim brzegu wyspy Wanua Lewu, gdzie Tui Matufata na czele wojsk swoich oczekiwał naszego przybycia. Droga prowadziła przez wąską dolinę rzeczną, gdzie drzewa mangrowy tak gęsto rosły, że przez ich liście słoneczne nie przenikały promienie. W środku znajdował się na wzgórzu dom kacyka, pomiędzy 150 innemi chatami, naprzeciw stała wysoka bożnica, do której zaprosił naszego władcę z naczelnikami podwładnymi.

Najstarszy kapłan miał wojenną przemowę, w której dużo o ludzkiem mięsie gadał.

O świcie ruszyliśmy w pochód, a przed południem stanęliśmy przed górą, wznoszącą się nakształt głowy cukru, na której szczycie znajdowała się warownia nieprzyjacielska. Natychmiast dano znak do boju, lecz wojska nasze, mimo przeważających sił, nie mogły się wedrzeć na pochyłość góry.

Przeciwnicy, zaufani w sile swojego położenia, szydzili z napastników, gotując ogromne głazy do stoczenia ich na nasze głowy. Trzech z pomiędzy nich wyszło przed wały i wywijając dzidami, zaczęli miotać obelgi. Naówczas strzelcy, wyuczeni przeze mnie i uzbrojeni w karabiny, dali ognia; kule powaliły nieprzyjaciół, a trupy ich stoczyły się na dół. Wojownicy Tuitakana rzucili się, aby ich porwać. Załoga wypadła dla obrony ciał. Nastąpiła krótka walka, a wróg, utraciwszy blisko trzecią część swych sił, cofnął się poza wały twierdzy.

Nasi żołnierze pochwycili trupy i unieśli je w szeregi. Dano znak do odwrotu. około czwartej byliśmy już w czółnach i odbiliśmy od brzegu; tak w jednym dniu ukończyła się wojna dwóch fidżyjskich ludów.

IX.

Uczta ludożercza. — Oszustwa kapłanów. — Wykrycie. — Niebezpieczeństwo.

Zadziwiło mnie to niezmiernie, że pobitych wrogów posadzono, oparłszy o brzegi czółen, i dano im w martwe ręce dzidy. Następnie kapłan zaczął im

nacierać twarze czerwoną glinką i sadzami, poczem miał do trupów, jakby do żywych, groźną przemowę, natrząsał się z nich i kopnięciem nogi poprzewracał wszystkich pokolei.

Przez całą drogę z powrotem dzicy zachowali milczenie ponure. Kiedyśmy wysiedli w Rewa, wyniesiono trupy na barkach. W pośrodku wioski ustawiono wielki stos z ludzkich kości, na nim usiadł kapłan fidżyjski; jeden z podrzędnych kapłanów podał mu dwie czaszki, odpiłowane w kształcie miseczek, inny napełnił je napojem angonowym. Kapłan, wysączywszy nieco krwi z ran poległych, zmieszał ją z napojem i podał jedną czaszkę Tuitakanowi, a sam spełnił drugą. Poczem zkolei dworzanie, wodzowie i wojownicy spełniali te obrzydliwe puhary.

Następnie wziął nóż i rozćwiartował jednego z zabitych. Na to hasło rzucili się podrzędni kapłani i zaczęli płatać innych. Wkrótce rozpalono ogniska i zaczęto piec ciała nieszczęśliwych, a gdy już były gotowe, najstarszy kapłan podał serce nieprzyjacielskiego wodza Tuitakanowi, który je zaczął chciwie pożerać. Uczta stała się powszechna, radosne wycia oznajmiły radość biesiadników.

Kacyk, przywoławszy mnie, podał mi nos, uszy i palce upieczonego wodza. Była to nadzwyczajnie wielka łaska, nie mógł też wyjść z podziwienia, gdy je ze wstrętem odrzuciłem.

Po uczcie pito obficie angonę; rozpoczęły się tańce, trwające do późnej nocy, przy blasku roznieconych ogni i krzykach nieustannych pijanej zgrai.

Uczta ta szkaradna obrzydziła mi do reszty pobyt między dzikimi, czyhałem na sposobność wydostania się z wyspy, lecz na nieszczęście nie pokazywał się ani jeden statek przy brzegach Witi Lewu, i z każdym dniem traciłem nadzieję wydostania się z niewoli.

Tymczasem zaszedł wypadek, mogący mieć dla mnie nadzwyczaj zgubne skutki. Zbliżała się wielka uroczystość; wyspiarze nazabijali mnóstwo świń i, napiekłszy mięsiwa, część rozdzielili między siebie, a nierównie większą zanieśli do świątyni, aby niem swych bałwanów uraczyć. Mięso to, corocznie poświęcane bóstwu, zabierali potajemnie na swój użytek kapłani. Wyszpiegowałem ich w nocy, jak przez ukryte drzwi, zakradłszy się do bożnicy potajemnie, wynosili wieprzowinę.

Na drugi dzień z rana lud dowiedział się z niezmierną radością, że bożyszcze raczyło skonsumować całą porcję świniny; tłum zgromadzony wydawał szalone okrzyki, albowiem łaska ta oznaczała, że ofiara została chętnie przyjęta, i bożek żąda jeszcze więcej do zaspokojenia swego apetytu. I nic dziwnego, bo na 2.000 mieszkańców Rewy znajdował się starszy kapłan z trzema żonami i kilkunastoma dziećmi, a oprócz tego pięćdziesięciu trzech kapłanów z licznemi rodzinami, bożek więc mógł trawić niezmiernie szybko.

Otóż przez cały dzień następny zajmowano się uroczystem przygotowaniem żywności dla bałwana; według panujących wyobrażeń u wyspiarzy bóstwu można było tylko szynki ofiarować; zaniesiono ich

sześćdziesiąt sztuk i zawieszono w świątyni. Starszy kapłan zamknął drzwi i postawił przy nich straż, z rozkazem zabicia każdego, coby się odważył zbliżyć w nocy do świątyni.

Oszustwo to oburzyło mnie do najwyższego stopnia; postanowiłem zedrzeć maskę z tych szalbierzy. Ponieważ kapłani dopiero o północy przychodzili zabierać wieprzowinę, przeto jak się tylko zmierzchło, zakradłem się w gęstwinę, zakrywającą tylne drzwi świątyni. Nikt mnie nie mógł wypatrzeć, gdyż w miejsce to nikomu z prywatnych nie było wolno zbliżyć się pod utratą życia; znalazłszy drzwi, otworzyłem je z łatwością, a potem biorąc po dwie i trzy szynki, zanosiłem je przed dom starszego kapłana i opierałem o ścianę. Po ukończeniu tej roboty powróciłem milczkiem do domu i z poddasza przypatrywałem się, co będzie dalej.

Około północy oszuści, skradając się cicho, udali się do świątyni, lecz zaledwie tam weszli, natychmiast wybiegli nadzwyczaj pomieszani. — Przełożony ich dał znak, aby zachowali milczenie, i poszli do domu, lecz widać, że i jego to niezmiernie zmieszało.

Przed świtem zgromadzili się mieszkańcy Rewy dla dowiedzenia się, czy bożek równie jak wczoraj miał dobry apetyt. Można sobie wystawić, co się działo, gdy lud zobaczył szynki nietknięte przed mieszkaniem przełożonego kapłanów. Tuitakan przystąpił do niego, a podnosząc straszną maczugę, zapytał, co to miało znaczyć.

Sądziłem, że szalbierz przyzna się natychmiast

do popełnionego oszustwa i spłonie od wstydu; gdzież tam, spojrzał czelnie w twarz Tuitakana i odpowiedział bez zająknienia:

— Kapłan Manua musi się wprzódy zapytać wojowników, stojących na straży, czy kto wchodził do świątyni; niech Tuitakan sam zada im pytanie.

Zapytani strażnicy powiedzieli, że przez całą noc jak najściślej pilnowali wejścia do świątyni, nikt się nie pokazywał, nikt nie wchodził, bo gdyby nawet znalazł się jaki śmiałek, zamordowaliby go bez miłosierdzia, choćby to był sam Tuitakan.

Naówczas przełożony rzekł, iż się zapyta bożka Malamba, dlaczego nie raczył spożyć mięsiwa, i skąd się ono wzięło przed mieszkaniem jego sługi? Tuitakan skłonił głowę na znak przyzwolenia, a oszust wszedł do świątyni i zamknął za sobą podwoje.

Kacyk, wodzowie i lud oczekiwali w milczeniu, lecz z największą niecierpliwością rozwiązania tej ważnej sprawy. Manua więcej jak pół godziny zostawał w świątyni. Wreszcie dał się słyszeć straszny huk, a po chwili roztworzyły się naoścież podwoje bożnicy, i przełożony kapłanów wyszedł.

— Cóż zwiastuje wielki Malamba? — zapytał kacyk.

— Malamba, chcąc wynagrodzić sługę swego niewidomą mocą przeniósł mięsiwo przed dom jego, i rozkazał, abym je z dziećmi i żonami pożywał.

Szmer wybuchnął między niższymi kapłanami, niezadowolonymi, jak widać, z wykrętów Manuy, który sobie całą przywłaszczył ofiarę.

Nie mogłem już dłużej znieść takiego szalbierstwa, wybiegłem naprzód i oddawszy pokłon Tuitakanowi, zawołałem:

— Manua skłamał, bożek nie darował mu wcale mięsiwa, ale ja je przeniosłem przed dom Manuy.

— Którędy Manu Manu wyniósł wieprzowinę, kiedy drzwi świątyni były zamknięte, a straż moja przy nich czuwała? Niechaj wyzna prawdę, bo inaczej głowa jego spadnie, a ciało zjedzą wojownicy Rewy.

Wtedy chciałem zaprowadzić Tuitakana w gęstwinę i ukazać mu w niej drzwi ukryte, ale kacyk żadnym sposobem nie dał się do tego nakłonić, bo przestąpienie świętego okręgu i na jego głowę ściągnęłoby pociski śmierci. Manua podburzył kapłanów, którzy rozbiegłszy się między ludem, potrafili rozjątrzyć jego nienawiść przeciwko mnie. Widziałem, że zginę, jeżeli prędko nie potrafię wykryć szalbierstwa kapłanów. Namawiałem kacyka, ażeby wszedł ze mną do świątyni, a pokażę mu ukryte przejście, którem oszuści wynoszą mięsiwa, lecz i tego wzbraniał się uczynić.

— Cóż to? — zawołałem — czy potężny Tuitakan, którego moc wychwalają biali, lęka się zgrai oszustów, którzy obdzierają jego poddanych? Czy Tuitakan boi się drewnianego bożyszcza, które Manua zrobił z drzewa, aby przez nie wyłudzać wieprze, jamsy i angonę? Czy Tuitakan mniej znaczy, jak Manua?

Na te słowa Tuitakan nabrał odwagi i przywoławszy kilku naczelników, wszedł do świątyni. Zaprowadziłem go za bałwana wtył i odsunąłem deskę,

pokrywającą otwór w ziemi, który do ukrytych drzwi prowadził; otworzyliśmy te drzwi i doszliśmy przez krzaki aż do domu Manuy. Kacyk oburzył się niezmiernie, że chytry kapłan tak długo nadużywał jego łatwowierności. Przywołał go i zgromił, nie chciał jednak karać śmiercią, gdyż zabobonny lud niezmiernie uwielbiał Manuę, wódz zaś potrzebował Manuy. Kiedyśmy wyszli przed drzwi świątyni, Tuitakan przemówił do ludu, twierdząc, że biały cudzoziemiec omylił się i niesłusznie posądził Manuę, ale mu należy przebaczyć, bo wiadomo, że każdy biały jest głupi jak papuga. Lud począł groźnie szemrać, lecz na rozkaz kacyka rozszedł się spokojnie do domów.

X.

Ucieczka z wyspy Witi Lewu. — Okręt francuski. — Przylądek Dobrej Nadziei. — Powrót do Anglji.

Tejże samej nocy zbudził mnie Tuitakan i wyprowadziwszy z domu, rzekł:

— Manu Manu miał słuszność, Manua jest wielkim oszustem, ale Tuitakan, chociaż potężny kacyk, może być zamordowany przez kapłanów potajemnie, bo strzała zatruta, wypuszczona z krzaków i najdzielniejszego obali wojownika. Oto jest kij ognisty, sadze i ołów. Weź to i siadaj w łódź, a Tuitakan sam cię odwiezie na wysepkę Watu Lele.

— Dlaczegóż mam uciekać? — zapytałem — czy nie zostaję pod twą opieką?

— Opieka Tuitakana wiele znaczy, lecz Manua ma długą rękę i każe wojownikom, aby cię jutro zabili i pożarli na cześć Malamby. A więc uciekaj.

Przyjąłem więc strzelbę, proch i kule, w kilka godzin stanęliśmy przy wysepce Watu Lele, podległej kacykowi. Naówczas rozkazał tamecznym wyspiarzom, aby mnie odwieźli do Wanua Lewu i polecili kacykowi Turanga, którego władzę uznawał cały archipelag, nie wyjmując samego Tuitakana.

Trzy dni byliśmy na morzu, a przez ten czas przewoźnicy obchodzili się ze mną z wielkiem uszanowaniem. Turanga przyjął mnie bardzo dobrze; otrzymałem obok niego mieszkanie i żywności poddostatkiem, a kacyk ogłosił mnie znowu swoim Manu Manu.

Wyspiarze ci czcili ogromnego i bardzo starego węgorza, przebywającego w stawie umyślnie dla niego wykopanym. Rybę tę żywiono mięsem niewolników, umyślnie dla niego zabijanych. Kiedy mi pokazano bożyszcze, wymierzyłem ze strzelby i chciałem je zabić, lecz Turanga uchwycił mnie za rękę, i strzał poszedł w górę.

Kacyk w ostrych słowach skarcił moją bezbożność, twierdząc, że gdybym zabił węgorza, całą wyspę pochłonąłby Ocean. Poczem dla przebłagania bożyszcza zabił własną ręką niewolnika i drgające jeszcze ciało kawałkami rzucał na pastwę potwora.

Jednego dnia Turanga zaprowadził mnie do składu amunicji, gdzie było dwieście baryłek prochu i kilkanaście cetnarów ołowiu. Kacyk użalał się, że ma zbyt

mało zapasów strzeliwa i z wielką niecierpliwością oczekiwał przybycia amerykańskiego okrętu, który mu dostarczał broni i amunicji wzamian za rozmaite produkty wyspy.

Zapytałem go, czy mi pozwoli odpłynąć z Amerykanami.

— Przysięgam na bożyszcze, któreś chciał zabić, że ci pozwolę odpłynąć, pod warunkiem, że mi narobisz kul ołowianych.

Poczem otworzył skrzynię i pokazał mi łyżki żelazne i formy na kule, których mu także rząd Stanów Zjednoczonych dostarczył.

Zażądałem do pomocy dwóch młodych krajowców i w ciągu miesiąca odlałem kilkanaście tysięcy kul karabinowych. Turanga był bardzo zadowolony.

Dnia 30 grudnia 1841 roku okręt amerykański wpłynął do zatoki. Ucieszyłem się niezmiernie i prosiłem Turangi, aby swojego przyrzeczenia dotrzymał. Kacyk przystał i wziął mnie z sobą na pokład okrętu. Przez kilka godzin odbywał się handel zamienny, nareszcie, gdy mieliśmy już opuszczać statek amerykański, przypomniałem znowu kacykowi o sobie. Turanga z kapitanem przez długi czas rozmawiał, wciąż prosząc za mną, tamten zaś kręcił głową na znak odmowy.

Przybliżyłem się do kapitana i przyłączyłem moje prośby, lecz on z gniewem zawołał:

— Przeklęty John Bullu [1]), czy myślisz, że na mym okręcie jest miejsce dla takiego psa, jak ty.

[1]) Obelżywy przydomek, nadawany Anglikom.

Po tej odpowiedzi nie pozostawało nic innego zrobić, jak tylko wynieść się z okrętu. Niegodziwy kapitan w pięć dni potem opuścił naszą wyspę i pożeglował ku archipelagowi Sandwich.

Domyślałem się, że Turanga, potrzebując mych usług, namówił Amerykanina, aby mnie na okręt nie przyjął. Wymówiłem mu to gorzko i twierdziłem, że wielki wódz nie powinien łamać danego słowa.

— Biały człowiek ma wielki rozum. Prawda, namówiłem go, ale jeśli Manu Manu naprawi mi broń ognistą, to przysięgam, że nietylko mu pozwolę, ale prosić będę wodza białych, żeby go wziął na swoje wielkie czółno.

Turanga zaprowadził mnie do zbrojowni, gdzie znajdowało się przeszło tysiąc karabinów i paręset fuzyj, ale zaledwie czwarta część zdolna była do użytku. Pilniki, cęgi, śrubsztaki, młoty, kowadła walały się w arsenale bez użytku. Ponieważ na okręcie nieraz pomagałem ruśnikarzowi broń naprawiać, a znaczna ilość karabinów lekkie tylko miała uszkodzenia, jak np. odśrubowane lub zardzewiałe zamki, odhartowane sprężyny, przeto robota była łatwa.

Założyłem warsztat w zbrojowni i przez pięć miesięcy pracując, sporządziłem blisko pół tysiąca karabinów i sto szesnaście strzelb. Reszta wymagała znajomości rzemiosła rusznikarskiego, lecz te paręset sztuk nienaprawionych niewiele znaczyło.

Turanga uściskał mnie i zaczął tak silnie trzeć swym nosem o mój nos, że mi aż napuchł do drugiego dnia. Poczem ponowił swoje obietnice, iż jak

tylko pierwszy okręt zawinie, pozwoli mi na nim odpłynąć.

W końcu czerwca, pewnego dnia, gdy król wyspiarzy wystroił się na jakąś uroczystość, spostrzegłem pomiędzy paciorkami z drzewa, muszelek i sznurkami kółek mosiężnych, zawieszony na szyi sznurek dużych i pięknych pereł. Zapytałem, skąd je otrzymał. Turanga odpowiedział, że przed dwoma laty zatonął okręt, lecz między innemi rzeczami wyratowano z niego i te paciorki.

— Jeżeli ci się podobają, weź je, biały człowieku; u mnie one nic nie znaczą, bo mam piękniejsze — dodał, wskazując na sznurki kółek mosiężnych, jakich u nas zwykle używają się do ozdoby rzemieni przy uprzęży. Ma się rozumieć, iż nie odmówiłem przyjęcia daru.

Jednego dnia przybył wódz fidżyjski, wracający po dwuletniej podróży z Sydney. Wszystkie znakomitości wyspy zgromadziły się, aby słuchać opowiadania wojażera, który taki kawał świata opłynął. Umiałem już tyle języka dzikich, że zrozumieć mogłem dobrze mowę podróżnika.

Był to zbiór niedorzeczności i kłamstw. Między innemi opowiadał, że koszary wojska angielskiego w Sydney są tak ogromne, iż mierząc je sznurem, na dziesięć sążni długim, przez dwa miesiące codziennie nie mógł dokonać pomiaru i musiał wreszcie tę robotę porzucić; potem mówił o tartakach, rznących pnie na deski, mniej więcej w następnych słowach:

— Chciałem sam zobaczyć, jak biali krają deski, i poszedłem do lasu, położonego daleko od Sydney. Na cztery dni wprzód, zanim dostałem się na miejsce, już powietrze tak było napełnione trocinami, że nie mogłem widzieć na kilkadziesiąt kroków przed sobą. Im bardziej się zbliżałem, tem chmury trocin stawały się gęstsze, tak, że wkońcu zrobiło się zupełnie ciemno, musiałem oczy zatkać, ażeby nie oślepnąć. Nakoniec, macając przed sobą, doszedłem do tartaków i cóż zobaczyłem? Przeszło sto tysięcy pił, obracanych wodą. Hałas sprawiony ich zgrzytem był mocniejszy od najgwałtowniejszych piorunów, tak, że za powrotem przez dwa miesiące nic nie słyszałem.

W kilka dni potem spuszczano na morze ogromne czółno, zbudowane dla Turangi; aby ze zepchnąć do wody, trzeba było przepchnąć je przez kawałek lądu. Okrutni wyspiarze, zamiast użyć prostych walców drewnianych, przywiązywali łykami do nich niewolników i po ciałach tych nieszczęśliwych zepchnięto statek. Czterdzieści trupów zmiażdżonych pływało we krwi. Miało to niby przynieść szczęście statkowi, podług zabobonnego przesądu dzikich wyspiarzy.

Turanga, aby się pochwalić przede mną, zaprosił mnie na statek. Przy próbie spuszczania masztu stało się nieszczęście; lina pękła, a maszt, padając, zgruchotał człowieka. Kacyk przelękniony, widząc w tem sprawkę bóstw nieprzyjaznych, dla przebłagania ich rozkazał zabić dwudziestu niewolników, których następnie upieczono i pożarto.

W pierwszych dniach sierpnia bryg francuski »Belle Isle« zawinął do Witi Lewu. Kapitan przyjął mnie bardzo chętnie i ofiarował się za darmo odwieźć mnie do przylądka Dobrej Nadziei. Prosiłem, aby mi pozwolił zająć się jakim obowiązkiem. Powierzył mi posadę pomocnika sternika. Żegluga poszła nam bardzo pomyślnie. W końcu listopada zawinęliśmy do Table-bay na przylądku Dobrej Nadziei.

Spotkała mnie tutaj nowa niespodzianka. — W zatoce spoczywała na kotwicy piękna korweta »Prozerpina«, na której pokładzie odbyłem wyprawę przeciw korsarzom malajskim; kapitan Blighs ucieszył się niezmiernie, widząc mnie przy życiu, i natychmiast ofiarował mi miejsce młodszego podporucznika na swym statku, zaręczając, że admiralicja wybór ten zatwierdzi.

Czternastego grudnia opuściliśmy przylądek, a po trzechmiesięcznej żegludze ujrzeliśmy brzegi Anglji; kapitan Blighs miał rozkaz płynąć wprost do Portsmouth, dlatego z wielkim żalem moim nie mogłem udać się do Hastings.

W Portsmouth otrzymałem w nagrodę owej bitwy z korsarzami stopień porucznika na korwecie »Prozerpina«. Blighs odtąd był mi prawdziwym bratem; otrzymałem za jego staraniem urlop dwuletni dla kształcenia się w szkole marynarki.

Kiedy owo pozwolenie przyszło, Blighs, mający rozkaz krążenia w kanale brytańskim, zawiózł mnie do Hastings. Ażeby niespodziewaną wieścią o mem przybyciu nie zaszkodzić rodzicom, kapitan posłał do

ojca z doniesieniem, iż ma dla niego listy ode mnie i chce je osobiście wręczyć. Drogi ojciec, zamiast czekać na przybycie kapitana, przyszedł z matką.

Popłynęliśmy w szalupie na ich spotkanie. Gdyśmy wysiedli, starzec, nie poznawszy mnie, zapytał:

— Czy to pan porucznik przywiózł mi wiadomości o moim synu, Johnie Jackson?

Nie mogłem odpowiedzieć, łzy mi głos tłumiły. Ale tkliwe serce matki przeczuło, że ma syna przed sobą.

— To on! to on! to mój syn! — krzyknęła i pochwyciła mnie w swoje objęcia.

Więcej pisać nie mogę. Opowiadać nasze szczęście zimnemi słowy — niepodobna! Szczęście to ten tylko pojąć zdoła, kto tak, jak ja, przez lat sześć drogich rodziców nie oglądał.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

Str.

Aleksander Selkirk na wyspie Juan Ferdinandez (1705—1709) 7

Jan Staden w pierwotnych puszczach Brazylji (1549) . . 27

Rozbitki, przygody rodziny angielskiej 70

Emanuel Crespel pośród zlodowaciałych ziem Labradoru (1736) 148

Teksas. — Opowiadanie amerykańskiego podróżnika . . 172

Kajetan Osculati wpośród puszczy zalanej wodą (1847) . 206

Przygody Johna Jacksona i jego pobyt na wyspach Fidżi (1836—1842) 235

OKUPARNIA
M·L· ANCZYCA
I SPÓŁKI
W PRAPOWIE